

Rita Clay Estrada

KLUCZ Z KOŚCI SŁONIOWEJ

(The Ivory Key)

ROZDZIAŁ 1

Ktoś ją obserwował.

Hope* [hope – (ang) nadzieja] Langston siedziała na szczycie niewielkiego wzgórza i wpatrywała się w połyskujące błękitem jezioro Minnesota, którego fale niemal bezgłośnie omywały brzeg wyspy Teardrop. Wokół rozciągał się częściowo zalesiony teren. Powinna być rozluźniona i zadowolona, chłonąc spokój tej półdzikiej jeszcze krainy, ale ciało miała napięte, a na skórze pojawiła się gęsia skórka. Ktoś ją obserwował. Wiedziała to, czuła na sobie czyjś wzrok.

Ostrożnie położyła aparat na miękkim mchu. Oparła się o pień sosny i utkwiała spojrzenie w wodę. Z koron drzew dolatywały głosy ptaków, ciepły letni wiaterek pieścił jej kark i burzył włosy. Hope nie zwracała uwagi na to, co dzieje się wokół, była skoncentrowana na czym innym. Serce jej waliło, oddech stał się krótki i przyspieszony.

Była pewna, że ktoś ją obserwuje.

Odwróciła szybko głowę, usiłując dojrzeć cokolwiek wśród drzew. Niczego szczególnego nie zauważyła. Po jej lewej stronie wystawał z ziemi głaz tak ogromny, jak gdyby to od niego Bóg zaczął tworzyć tę brunatną, żyzną ziemię. W popołudniowym słońcu cienie rzucone przez skały przypominały gigantyczne bakłażany i na samą myśl o tym Hope zachichotała nerwowo. To musi być to. Wciąż jeszcze dawały o sobie znać ostatnie przeżycia.

Ojciec i szef mieli rację. Rozpaczliwie potrzebowała urlopu, ucieczki od wszystkiego, co przypominało jej ten koszmary kraik w Ameryce Środkowej, gdzie zwyczajem policji stało się porywanie bogatych ludzi, torturowanie ich, a następnie przepraszanie. Dwa miesiące w więzieniu powinno wystarczyć, by ją zabić, ale miała szczęście i jakoś przeżyła... choć z trudem.

Powinna być ostrożniejsza. Była przecież córką człowieka, który stał na czele amerykańskiego towarzystwa naftowego z siedzibą w Ameryce Środkowej, gdzie sytuacja polityczna przez cały czas była napięta. Miała piekielne szczęście, że przeżyła. Innym więźniom to się nie udało.

Hope podniosła aparat i skierowała go na gigantyczny głaz, później przesunęła na otaczający ją las, małą ścieżkę prowadzącą na szczyt wzgórza, wreszcie na brzeg jeziora poniżej. Nie zauważyła niczego szczególnego.

Widocznie znowu coś jej się wydawało. Ile razy siadła w tym właśnie miejscu, najwyższym na tej dziesięcioakrowej wyspie, miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Po rozwodzie rodziców, gdy była mała, spędzała tutaj z matką wakacje. Wtedy lubiła nawet to uczucie, wydawało jej się, że Bóg dobrodusznie zagląda jej przez ramię. Była samotnym dzieckiem i dawało jej to poczucie bezpieczeństwa. Gdy dorosła, uczucie to stało się niezwykle, ale zniknęło natychmiast, gdy schodziła ze wzgórza.

Zaczął się zachód słońca, ta przepiękna pora, gdy dzień zmienia się w noc. Cienie wydłużały się. Hope powoli zeszła ze wzgórza i skierowała się ku staremu piętrowemu

domowi na farmie. Stał tutaj od ponad pięćdziesięciu lat. Początkowo należał do pewnego rybaka i jego rodziny, który, jak mówiono, zajmował się raczej uprawą ziemi za domem niż rybołówstwem.

Na wyspie, sama, z dala od ludzi, Hope czuła się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Nawet gdy wydawało jej się, że jest obserwowana, wiedziała, że ktokolwiek by to robił, nie jest do niej wrogo usposobiony. Może czynił to powodowany ciekawością, może troskliwością, a może miłością.

Nie, to bez sensu. Jak mógł ktoś ją kochać, jeśli nie znała nikogo naprawdę interesującego. To tylko wyobraźnia płata jej figle.

Na obiad zjadła gotowe danie z piersi kurczaka na grzance polanej sosem i puree z ziemniaków. Nareszcie rozsądna dieta, której była pozbawiona w ciągu ostatnich paru miesięcy. Wzmocniła się witaminami przepisany jej przez lekarza. Wyrzała przez okno zastanawiając się, czyby nie wywołać filmu, który zrobiła tego popołudnia. Czemu nie? W końcu i tak nie miała nic lepszego do roboty.

Ciemnia mieściła się w komórce. Gdy matka jeszcze żyła, Hope nigdy nie przebywała na wyspie na tyle długo, by urządzić sobie warsztat pracy. Teraz przyjechała tu spędzić koniec lata i jesień albo też pozostać, dopóki nie wróci do równowagi po ostatnich przejściach, gdy pojmano ją w charakterze zakładniczki.

Włożyła do magnetofonu kasetę Paula Horna, wyregulowała poziom dźwięku i sięgnęła po aparat. Ciekawe, czy któreś ze zdjęć będzie się nadawało do jednego z tych magazynów, z którymi kiedyś współpracowała.

Kupiła aparat, gdy tylko ukończyła college. Fotografowanie wciągnęło ją jak żadne inne zajęcie. Od tego czasu nie rozstawała się z aparatem, dzięki czemu miała wstęp do tych wszystkich miejsc, gdzie dobrze ułożone młode kobiety na ogół nie bywają. Ludzie, których fotografowała, myśleli, że jest profesjonalistką. Niebawem rzeczywiście się nią stała. Była wszędzie tam, gdzie coś się działo, utrwalając na filmie to, co widziała, a to, co słyszała, w pamięci. Politycy nie przerywali przy niej rozmów, gdyż nigdy nie widzieli jej z długopisem w ręku.

Wciąż jeszcze dziwiło ją, że zdjęcie, które wydawało się całkiem zwyczajne, okazywało się wyjątkowe. Niejedno sprzedała za wysoką cenę. Inne wisały w jej domu na farmie obok oprawionych w ramki dyplomów i nagród. Jeszcze inne ozdabiały siedzibę „Today’s World”, magazynu, z którym była teraz na stałe związana. No, prawie na stałe. Czasami jeszcze sprzedawała swoje zdjęcia innym redakcjom.

Dla „Today’s World” również pisała. Ta podwójna rola dawała jej szerokie możliwości. Mogła utrwalić to, co widziała, na zdjęciu i uzupełnić szczegółami, których świadkiem nie była. Niejeden raz narażała życie i dlatego odnosiła takie sukcesy.

Historia, którą właśnie ukończyła, będzie najlepsza z dotychczasowych. Może najlepsza w ogóle.

Tę opinię potwierdził jej szef Joe Bannon, korpulentny mężczyzna, który wyglądał na lat sześćdziesiąt, choć dobiegał zaledwie pięćdziesiątki i zawsze z szacunkiem odnosił się do

słowa pisanego.

– Wiesz, że zrobiłaś świetną robotę. Wiesz również, że jesteś wykończona i potrzebujesz więcej czasu, niż ci się wydaje, by dojść do siebie. Dwa tygodnie nie wystarczą – orzekł. – Miesiąc też nie byłoby za dużo.

Hope opadła na krzesło. Głowę miała ciężką jak kamień. Wróciła trzy dni wcześniej z wyprawy do Ameryki Środkowej. Po krótkim pobycie w szpitalu udała się prosto do hotelu i zasiadła do wypożyczonej maszyny, aby napisać tekst do zdjęć, które już wcześniej wywołała.

Kto by uwierzył, że porywacze zwrócą jej bagaż i kliszę? Pozwolili się nawet sfotografować na pożegnanie. Była zadowolona z artykułu. To jej najlepszy tekst. Szef wiedział o tym.

– Dwa tygodnie, Joe. Później zadzwonię, żeby się dowiedzieć, co masz w planie – nalegała, walcząc z ogarniającym ją uczuciem słabości.

– Hope, myślę, że nie zdajesz sobie w pełni sprawy ze stanu swego zdrowia. Jesteś wykończona. Głodzono cię i grozono ci śmiercią. Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że powinnaś odpocząć?

Słyszała jego głos jak przez mgłę. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, jęknęła i bezwładnie osunęła się na podłogę.

W ciągu godziny znów znalazła się w szpitalu – tym razem w Chicago. Po pięciu dniach wypuszczono ją, napominając, by nie wracała do pracy, dopóki całkowicie nie odzyska sił. W godzinę później była już w drodze na lotnisko. Leciła do Duluth, gdzie miał czekać samochód, by zabrać ją do północno-wschodniej części Minnesoty, w pobliże Two Harbors. Było to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Jezioro upstrzone małymi zielonymi wysepkami otaczały przepiękne dziewicze lasy. Gdy przybyła na miejsce, dostała się małą motorówką na swoją wyspę, leżącą tuż przy rezerwacie, na końcu szlaku wodnego.

Nie była w stanie zebrać myśli. Wciąż wracała do wydarzeń ostatniego roku, na które patrzyła już teraz z dystansu. Szef zawsze w pełni wykorzystywał jej umiejętności, dając jej dwa lub trzy tygodnie na zebranie materiału. Wysłał ją do Francji, skąd wróciła po to tylko, by natychmiast polecieć do Egiptu, a następnie do Ameryki Południowej.

Mimo tak napiętego harmonogramu zdążyła jeszcze pojechać do Ameryki Środkowej, ponieważ mieszkał tam teraz jej ojciec. Była to okazja do odnowienia stosunków, które nigdy właściwie nie były naprawdę rodzinne. W chwili rozwodu rodziców Hope miała dwanaście lat i wyjechała do Minneapolis wraz z matką, która otrzymała tam pracę jako programistka. Z wyjątkiem krótkich, dla obojga kłopotliwych wizyt Hope i jej ojciec nigdy się nie widywali ani nie korespondowali ze sobą. Kontakty stały się jeszcze rzadsze, gdy skończyła siedemnaście lat, i zmarła matka, a ojciec nawet nie przyjechał na pogrzeb. Od tego czasu Hope zwracała się do ojca po imieniu. W ten sposób łatwiej było utrzymać dystans.

Czas jednak leczy rany, więc gdy otrzymała propozycję wyjazdu do Ameryki Środkowej, była gotowa zawrzeć z ojcem pokój. Nie upłynęły jednak nawet dwadzieścia cztery godziny od jej przybycia, a zamieszki na przedmieściach przekształciły się w regularną wojnę

domową.

Hope i sekretarka ojca, Joannę, zostały porwane, gdy wracały do hacjendy Franka Langstona z zakupów w centrum. Przez pierwsze dwa tygodnie trzymano je w ciemnej, wilgotnej piwnicy jakiegoś domu w mieście. Później, gdy rząd USA nie mógł się zdecydować, czy zapłacić okup, a jej wydawca również nie, zaczęły się zawile negocjacje.

Hope i Joannę rozdzielono. Hope trzymano przez dwa miesiące w dżungli, w najstraszniejszym więzieniu, w brudzie, prawie bez jedzenia. Dopiero po zwolnieniu zdała sobie sprawę, jakie miała szczęście. Joannę w ogóle nie wróciła...

Ale teraz było już po wszystkim, była bezpieczna, otoczona przyjaciółmi. Joe zatroszczył się o wszystko, łącznie z zaopatrzeniem w żywność na parę tygodni.

Gdy zapasy się skończą, wróci do miasta i do swoich obowiązków. Był cudowny jako szef... i jako przyjaciel. W pełni zasługiwał na to miano.

Hope spojrzała na rolkę filmu, który trzymała w ręce. Wywoła go jutro. Albo pojutrze. Czas nie ma już znaczenia. Zostawiła negatyw na półce w ciemni, zgasiła światło i przeszła do sypialni. Stała przy oknie i zaczęła rozpinąć bluzkę. Zrzuciła dzinsy. Nie miała na sobie ani biustonosza, ani majtek. Może to dziwne, prowokacyjne, ale nie musiała wkładać na siebie niczego, jeśli nie chciała. W każdym razie tutaj.

Stała nago przy oknie na piętrze i patrzyła na niewielkie wzgórze za domem. Światło księżycy rozjaśniało jej twarz. Wydawało jej się, że ktoś delikatnie pieści jej policzek.

Zadrzała. Widocznie rozpaczliwie potrzebuje towarzystwa mężczyzny, skoro przychodzą jej takie myśli do głowy. Wyobrażnia znów nią zawładnęła, tak jak w więzieniu. I tak jak tego popołudnia, gdy siedziała na szczycie wzgórza. Być może jest bardziej samotna, niż jej się wydaje. Kto wie, czy Joe nie miał racji, gdy mówił, że przydałby się jej odpoczynek dłuższy niż miesiąc? Być może myśl o kochaniu jest najlepszym sposobem na pozbycie się złych wspomnień...

Następnego dnia była wspaniała pogoda, jak z reklamy wakacji w Minnesocie. Słońce odbijało się w wodzie jeziora. W dali widać było kolorowe żagle małych łódeczek. Lekki wiatr delikatnie poruszał firankę w oknie.

Hope spała tej nocy mocniej niż kiedykolwiek w ciągu minionych miesięcy. Rozpierała ją energia. Nie należało tego dnia spędzać beczynnie.

W pół godziny była już po śniadaniu, sprzątnęła kuchnię i mogła zabrać się do wywołania filmu.

Miała w tym wprawę. Zrobiła to błyskawicznie i przeszła do najciekawszego zajęcia: odbitek.

Od kiedy pamięta, kochała fotografię. Dla niej prawdziwy akt tworzenia zaczynał się wtedy, gdy z negatywu powstawały zdjęcia. Mogła wtedy zabawiać się światłem i cieniem, zmiękczać lub wyostrzać kontury. Wtedy w ciemni zwyczajne zdjęcie zmieniało się w dzieło sztuki. Ten moment lubiła najbardziej.

Przez chwilę zastanawiała się, czyby nie przygotować stykówek, aby wybrać zdjęcia do powiększenia. Postanowiła jednak robić każdą odbitkę oddzielnie. Przecież miała wakacje,

nie musiała decydować, co przyniesie jej najwięcej pieniędzy w najkrótszym czasie. Uśmiechnęła się. Wakacje pracoholika.

Z radością patrzyła na wyłaniające się przed jej oczami obrazy. Nagle znieruchomiała. Coś było nie w porządku. Pochyliła się nad kuwetą i wpatrywała w pływającą w utrwalaczu biało-czarną odbitkę. To powinno być zdjęcie skały, które zrobiła wczoraj. Skała na nim była mniejsza, niż ją zapamiętała, ale w poprzek papieru były rozrzucone jakby białe strzałki.

Analizowała każdy szczegół. Znów pokryła ją gęsia skórka, tak samo jak poprzedniego dnia na wzgórzu. Upewniwszy się, że nie wywołany jeszcze film jest szczelnie zamknięty, zapaliła światło.

– To szaleństwo – mruknęła do siebie, wyjmując mokre jeszcze zdjęcie i wpatrując się w nie tak, jak gdyby mogła w ten sposób zatrzeć te maleńkie srebrnobiałe strzałki. – Wyobrażam sobie duchy, a to przecież tylko cholerny papier.

Woda kapała z jej drżących rąk na kamienną dębową podłogę. Musi być jakieś wytłumaczenie. Coś albo ktoś ponosi winę za to...

– Widocznie uszkodzili papier, gdy rozpakowywali mój bagaż. To wszystko – podsumowała.

Obejrzała dokładnie inne odbitki, upewniając się, że tylko to jedno zdjęcie dużego głazu na szczycie urwiska będzie miało skazę. Serce zaczęło jej bić przyspieszonym rytmem. Nie myliła się.

Jeszcze raz obejrzała zdjęcia. Maleńkie smugi przypominały postaci mężczyzn stojących w półkolu. Nie mogła rozpoznać rysów twarzy, ale ręce i nogi były wyraźnie widoczne.

Niemożliwe. Poczula ucisk w żołądku.

Zgasła światło i wróciła do pracy. Zaczęła zmusznie powiększać ten fragment skały, na którym widoczne były skazy. Niecierpliwie zanurzyła papier w utrwalaczu, czekając, aż ukaże się obraz.

Otworzyła szeroko oczy, zaczerpnęła powietrza. Te maleńkie białe strzałki wcale nie były strzałkami. Drżącymi dłońmi chwyciła szczypce, ujęła nimi mokrą odbitkę i powiesiła ją, by wyschła. Potem następną i jeszcze następną. Miała teraz przed sobą pięć fotografii dużej skały, a na każdej z nich widoczne były te tajemnicze strzałki. Teraz powiększy następnę. Starła się pracować powoli, metodycznie. Jeżeli jej podejrzenia są słuszne, spędzi resztę dnia na rozwiązywaniu tej tajemnicy.

Późne popołudnie zastało Hope w oknie sypialni wpatrującą się w szczyt niewielkiego urwiska. Zabawne. Od dziecka przyjeżdżała na tę wyspę, a od dziewięciu lat była jej właścicielką. Ileż to razy przemierzała wzdłuż i wszerz swoje królestwo, badając je i odkrywając wciąż na nowo. Po raz drugi w ciągu dwóch dni przypomniała sobie to uczucie, jakby zawsze była przez kogoś lub przez coś obserwowana. Albo strzeżona. Gdy dorosła, starała się ignorować, tłumacząc sama sobie, że to tylko wytwór rozbudzonej wyobraźni.

Teraz jednak nadszedł czas, by stanąć twarzą w twarz z przeszłością, dociec, skąd brało się to uczucie. Będzie musiała przeanalizować zdjęcia. Powiększyła wszystkie pięć i każde z

nich potwierdzało jej początkowe przypuszczenia. Widnieli na nich ludzie. Ale nie realni ludzie, nie dzisiejsi. Zjawy? Duchy?

Musi zrobić więcej zdjęć. Musi dowiedzieć się czegoś więcej o tych ludziach i dziwnej skale.

Sięgnęła po aparat, założyła film i wybiegła z domu. Poszła w kierunku wzgórza. Tam będzie musiała znaleźć odpowiedź.

Kilkadziesiąt metrów od skały poczuła nagle czyjaś obecność, choć wydawało się to irracjonalne. Nie wiedziała, czy coś jej zagraża, czy nie, ale była pewna, że tym razem dowiedzie samej sobie, że nie zwariowała...

Pstryknęła jedno zdjęcie, potem jeszcze jedno i jeszcze jedno. Przykłękała, przysiadła, stała, starając się ująć z każdej możliwej strony ów tajemniczy głaz.

Gdy film się skończył, usiadła na trawie. W głowie kłębiły jej się dziesiątki myśli. Rozważała najrozmaitsze możliwości. Żadna z nich nie zdołała rozproszyc uczucia, że jest obserwowana. Oparła się plecami o skałę, rozkoszując się jej ciepłem. Na twarzy czuła świeży powiew wiatru zwiastującego burzę. Na ogół, niezależnie od pory roku, wieczory tutaj były chłodne, a nawet zimne. Ale nie tego dnia. W każdym razie nie tutaj. Jakże to wszystko dziwne.

Zanim zapadł zmrok, postanowiła wrócić do domu. Podnosząc się spod skały, miała niesamowite wrażenie, jakby ktoś ją podtrzymywał, obejmował, zamykał w ramionach. Przeraziła się, gwałtownie odskoczyła od kamienia i pobiegła w kierunku ścieżki.

W miarę jak oddalała się od tego miejsca, wracała jej trzeźwość myśli.

Przecież to niedorzeczne. Stała i odwróciła się powoli. To tylko skała oświetlona mdłym blaskiem wschodzącego księżyca. To wszystko. Po prostu skała. Niebo zasnuły ciemne chmury, jakby tylko czekając na to, by uwolnić się od ciężaru zebranej w nich wody. Nie ulegało wątpliwości, że w nocy będzie lało.

Odsuwając od siebie myśli o duchach, Hope poszła prosto do sypialni i od razu pogrążyła się w głębokim śnie.

Ranek był tak wilgotny, jak przewidywała. Ale czuła się lepiej niż poprzedniego dnia, bardziej wypoczęta. Zjadła szybko śniadanie i udała się do ciemni. W świetle poranka wszystko to, co wydawało jej się tak ważne poprzedniego dnia, nagle stało się błahe i pozbawione sensu.

W dwie godziny później, gdy wywołała film i zrobiła odbitki, serce podeszło jej do gardła. Siedziała w kuchni przy stole, zdjęcia rozrzuciła przed sobą. Układała je niczym puzzle, dopóki nie uznała, że znalazła właściwą kolejność.

Zobaczyła czterech mężczyzn toczących walkę na polanie, trzech z nich ubrani byli jak traperzy. Traperzy francuscy przybyli w tę okolicę przed wiekami po zwierzęce futra, które tak chętnie nosiły bogate Europejki. Na ostatnim zdjęciu widać było mężczyznę śmiertelnie ранego. Miał na sobie staroświecki mundur wojskowy, elegancki płaszcz sięgający kolan i trójgraniasty kapelusz.

Wpatrywała się w zdjęcie, próbując rozpoznać rysy twarzy, ale były zatarte. Jakieś wydarzenia, które działy się kiedyś, na skale rozgrywały się na nowo. W jakim wieku byli ci mężczyźni i co robili na jej wyspie? Naprawdę powinna być bardziej wystraszona. Duchy, w każdej postaci, przerażały ją.

Podniosła jedno ze zdjęć i zaczęła je dokładnie studiować. Przez lupę oglądała każdy fragment munduru, wysilając pamięć. Nie wiedziała dlaczego, ale była niemal pewna, że był to mundur francuski.

Nagle coś ją olśniło. Oczywiście, że francuski. Przecież ten teren, po części należący do Michigan, po części do Kanady, był przedmiotem walk między Francuzami a Brytyjczykami, w które często zamieszani byli traperzy.

W którym to mogło być roku? Usiłowała przypomnieć sobie dawno zapomniane fakty z historii. Champlain pierwszy odkrył wartość futer na terenie dzisiejszej Kanady i natychmiast ściągnęły tam setki Francuzów, zakładając to, co nazwano później „Nową Francją”, i zbijając fortuny na futrach. Później do kanadyjskiej Zatoki Hudsona przybyli Brytyjczycy, a następnie zaczęła się wojna między Francuzami a Indianami. Była prawie pewna, że działo się to gdzieś w połowie XVIII wieku.

– Mój Boże – wyszeptała, uświadamiając sobie nagle, że nie jest to wytwór jej wyobraźni. Te fotografie istnieją naprawdę. Sytuacja na nich przedstawiona również. Ogarnęło ją podniecenie. Nagle rozbłysła błyskawica i rozległ się grzmot. O szyby uderzyły ciężkie krople deszczu.

Całkowicie pochłonięta zdjęciami Hope nie zwracała uwagi na to, co dzieje się na zewnątrz. Jeszcze raz popatrzyła na fotografię. Wzrok jej zatrzymał się na młodym drzewku tuż obok mężczyzn. Młode drzewko? Zapamiętała je jako potężny dąb. Czyżby to było to samo drzewo?

Skoczyła na równe nogi i wciąż trzymając w ręku zdjęcie, rzuciła się do drzwi. Niczym sprinterka na olimpiadzie pomknęła ścieżką na szczyt wzgórza. Nie czuła deszczu. Nogi grzęzły jej” w błocie, w połowie drogi przemokła już do suchej nitki. Zrzuciła dres i buty.

Nagle poczuła, że niema siły, by wspinać się jeszcze kilkadziesiąt metrów do stóp kamienia.

Błyskawica rozświetliła niebo. Hope trzymała przed sobą zdjęcie, ocierając krople deszczu z twarzy. Patrzyła na ogromny dąb stojący naprzeciw głazu. Ogarnęło ją podniecenie. Do diabła, miała rację, to jest to samo drzewo. I ten sam głaz w kształcie bakłażana.

Roześmiała się głośno.

– Eureka – wykrzyknęła prosto w niebo. A niebo odpowiedziało jej piorunem trafiającym prosto w głaz.

Ostatnia rzecz, jaką zapamiętała, to widok oświetlonej skały. Siła piorunu rzuciła ją o ziemię. Głową uderzyła o korzeń drzewa. Ogarnęła ją ciemność.

ROZDZIAŁ 2

Poczuła szorstką dłoń delikatnie gładzącą jej czoło. Ktoś głębokim głosem mruczał przekleństwa, a może modlitwy. Hope nie wiedziała kto. Gołe nogi pokrywała jej gęsia skórka. Z dębu, pod którym leżała, spadały na nią krople deszczu. Dziwne, ale było jej ciepło. Rozkoszowała się tym ciepłem, oczy miała zamknięte. Ból z boku głowy nie pozwalał zapaść w błogą nicość.

– Faith! O, moja Faith, proszę cię, obudź się, *chérie* – usłyszała znów ten sam głos i spróbowała unieść powieki. W głowie jej huczało.

Poruszyła wargami, ale nie wydała żadnego dźwięku. Spróbowała ponownie. Tym razem jego usta zetknęły się z jej ustami i wydobyło się z nich westchnienie ulgi. Usta były ciepłe, cieplejsze nawet niż podtrzymujące ją ramiona. Ich dotyk był taki delikatny, taki czuły, taki słodki...

Szarpnęła w tył głowę, resztką świadomości pojmując, że nie wie nawet, kto ją trzyma, w ramionach, starając się obudzić pocałunkiem. Wytężyła wzrok, ale mimo wszelkich wysiłków wciąż wydawało jej się, że widzi przed sobą dwie postacie.

Pochylały się nad nią dwie ciemne głowy. Widziała ciemnobłękitne oczy, dwie sięgające niemal do ramion, czarne jak heban czupryny, dwoje ust wypowiadających słodko brzmiące pieszczoty i dwie ręce odgarniające jej z czoła wilgotne włosy. Dotknął stłuczenia na jej głowie.

– Boli – syknęła, chwytając go za nadgarstek, by po raz drugi jej nie uraził.

– Och, kochanie – jęknął – wybaczone, moja Faith. Bardzo cię boli?

– Jak diabli – odpowiedziała, starając się podnieść. Ale trzymał ją mocno. – Kim, u licha, jest ta Faith?

– spytała.

– Nie przeklinaj – przywołał ją do porządku. – Zawsze miałaś ostry języczek. – Jego głos brzmiał ostro, ale uśmiech łagodził surowe rysy przystojnej twarzy. Obserwowała jego kształtne usta. Nie czuła chłodu powietrza.

– Faith? – Ściągnął ciemne brwi. – Moja najdroższa, czy lepiej się czujesz? Pamiętasz, co się stało?

– Zatrzymał przez chwilę ręce na jej nagiej talii, po czym przesunął je w górę, ku piersiom. – Co ty tu robisz, taki kawał od Port Huron? – spytał z niespodziewaną gwałtownością. – I dlaczego przyszedłeś do mnie bez ubrania? Przecież nie byłeś aż taka chętna... ?

Może nie myślał, że jest chętna, ale z pewnością wiele sobie obiecywał, pomyślała Hope, gdy usiłując się wyswobodzić z jego uścisku, poczuła, jak bardzo jest podniecony. Zmieszała się. Wreszcie udało jej się wyzwolić z jego objęć, usiadła naprzeciw niego na miękkim mchu pod ciężkim konarem dębu. Musi być wysoki, pomyślała.

– Kim ty jesteś? – spytała, odgarniając włosy i wpatrując się w niego. Nie obchodziło jej, że jest naga, bo i tak nic nie mogła na to poradzić. A zresztą to on powinien być zakłopotany, nie ona. W końcu jest u siebie. To jej wyspa.

– Nie pamiętasz? – Jego głos brzmiał czule i szorstko zarazem, mówił z lekkim obcym akcentem. Oczywiście, z francuskim. Popatrzyła na jego ramiona, mundur, który miał na sobie. Też francuski. Taki sam jak u mężczyzny na zdjęciach.

Mężczyzna na zdjęciach – olśniło ją. Znów spojrzała mu w oczy. Teraz, kiedy mogła już zobaczyć twarz, zdziwiła się, że wcześniej nie dostrzegła podobieństwa. Był tak bliski i czuły jak ten wyimaginowany kochanek z marzeń.

– Ty jesteś mężczyzną, którego podobiznę widziałam – wyszeptała.

– Masz mój portret? – Zesztywniał. – Nigdy przedtem mi tego nie mówiłaś, *chérie*. Kiedy został zrobiony? Przez kogo? – Mówiąc to, ściągnął z siebie kurtkę od munduru, ukazując pięknie skrojoną białą koszulę z rękawami zapiętymi na guziki w przegubie. Miał szerokie ramiona. Otulił ją mocno kurtką w obawie, by nie zmarzła teraz, gdy nie ogrzewał jej już ramionami.

Potrząsnęła głową i znów poczuła przeszywający ból. Przyłożyła rękę do skroni.

– Nie, nie mam twojego portretu. Mam fotografię – wyjaśniła.

Odetchnął z ulgą. Uśmiechnął się, a ona poczuła ogarniające ją ciepło.

– Masz ogromnego guza na głowie, kochanie – powiedział. – Zaraz poczujesz się lepiej – dodał, jak gdyby to wyjaśniało wszystko. – Na razie wróc w moje ramiona i pozwól, bym cię ogrzał, dopóki ta burza się nie skończy. Drzewo nas wprowadzie chroni, ale musi ci być zimno. Później natychmiast opuścimy to miejsce.

Opuścimy? Natychmiast? Kto tu zwariował? Uśmiechnęła się, mimo że przeszedł ją dreszcz. To najlepszy sposób, by go uspokoić. W końcu nie co dzień zdarza mu się widzieć nagą kobietę siedzącą pod drzewem w czasie burzy. Ona też nieczęsto spotyka mężczyznę w mundurze, który wygląda jak muzealny eksponat. Wiedziała, że zanim się rozstana, powinna zadać mu parę pytań. Logicznie rzecz biorąc, wiedziała, że rozmawia z duchem, ale emocje brały górę nad rozumem.

– A dokąd to się udajemy, skoro mamy natychmiast opuścić to miejsce? – spytała.

– Do Francji, a dokąd by? – Zmarszczył brwi.

– Oczywiście – bąknęła, odgarniając kosmyk z czoła. Nagle coś sobie przypomniała. Skoro on jest tutaj, to gdzie są trzej inni mężczyźni ze zdjęć? Wpatrywała się w zarośla, próbując coś w nich dojrzeć. Co innego spotkać jednego ducha, a co innego cztery. A ci trzej pozostali wyglądali groźnie. Nagle roześmiała się. Ponad dwa miesiące w Ameryce Środkowej nie dały jej rady, a teraz miałyby przestraszyć się czterech duchów?

Ale on nie może przecież być duchem. Jest mężczyzną z krwi i kości. W stu procentach. Czyż nie przekonała się o tym?

Popatrzyła na niego. Zbliżył się ku niej. Cofnęła się, opierając plecami o pień drzewa. Serce podeszło jej do gardła, gdy spojrzała w jego oczy. Ściągnęła poły kurtki. Drugą rękę wysunęła przed siebie.

– Nie ruszaj się. Nie ruszaj się, dopóki wszystkiego nie wyjaśnimy.

– Faith, kochanie, o co chodzi? – spytał błagalnie. – Przecież wiesz, że za nic w świecie bym cię nie skrzywdził. – Był taki zagubiony, taki kochający. Hope widziała jednak błysk w jego oczach. Chciał czegoś więcej niż tylko jej bronić...

– Wolnego – ostrzegła go i uniosła w górę palec. – Po pierwsze, na imię mam Hope, a nie Faith. Po drugie, jesteś duchem. Mogę być na tyle głupia, żeby siedzieć tu z tobą i dyskutować, ale nie na tyle, żeby rzucać ci się w ramiona.

Gdyby mogła teraz zrobić zdjęcie, utrwaliłaby twarz człowieka kompletnie zszokowanego. Chciało jej się śmiać, krzyczeć, wrzeszczeć. Z drugiej strony nie była w stanie opanować drżenia, które zaczęło się gdzieś w okolicach kręgosłupa i stopniowo ogarniało całe jej ciało. Nie drżała z zimna, to nerwy dawały znać o sobie.

Odkasznął i posłał jej blady uśmiech. Wiedziała jednak, że coś, co powiedziała, nie dawało mu spokoju. Spuścił wzrok, poruszał niespokojnie długimi palcami, które wydawały się zdolne do odegrania na fortepianie skomplikowanej sonaty.

– Ależ na pewno nie jestem duchem, *chérie*. Jestem tutaj. I ty tutaj jesteś. Czy to są ręce ducha?

– Nie, ale to niczego nie zmienia. – Wpatrywała się w niego, zastanawiając się raz jeszcze, czy to aby nie ona zwariowała. Irytowała ją coraz bardziej ta sytuacja.

– Albo jesteś duchem, albo uciekłeś z zakładu dla obłąkanych. – Hope głęboko zaczerpnęła powietrza, po czym uśmiechnęła się nieśmiało. Może jeśli nie będzie zwracać uwagi na ból głowy i będzie miała czas, by zebrać myśli, jej umysł zacznie lepiej pracować. – Opowiedz mi coś o sobie – zaproponowała – a potem ja ci opowiem o sobie.

Otworzył szeroko ciemnobłękitne oczy, zmarszczył brwi. A później wzruszył ramionami i uśmiechnął się, jak gdyby chciał ją udobruchać.

– Jestem Armand Santeuil.

– Santoy?

Skinął głową.

– Jak to się pisze? – spytała.

– Tak jak słyszysz. Santeuil. Jestem kapitanem armii francuskiej, przysłanym tutaj – zresztą nieważne po co, przypomnisz sobie później – i jesteśmy w sobie zakochani. Nie pamiętasz? – Czekał na jej reakcję, ale milczała, uśmiechając się tylko. – Wreszcie zdołałem cię przekonać, żebyś wyrwała się spod opieki ojca – kontynuował – i spotkała ze mną poza Port Huron. Że natychmiast wyruszymy do Francji, gdzie pobierzemy się i zadamy o ciągłość rodu Santeuil. – Uśmiechnął się szeroko. – Obiecałaś mi dziesięcioro potomków.

– Dziesięcioro dzieci? – Hope szeroko otworzyła usta ze zdziwienia.

– *Oui*.

– Widocznie Faith była zbudowana jak Rambo – wymamrotała.

– Co to jest Rambo?

– Nieważne – machnęła ręką. – Mów dalej. Wyczuwała jego zmieszanie i zdawała sobie sprawę, że mówi rozkazującym tonem, ale jej myśli były zbyt zajęte czym innym, by mogła

przejmować się jego zakłopotaniem. Zresztą prawdopodobnie sama była w o wiele bardziej kłopotliwym położeniu.

– Co mam mówić? To wszystko – stwierdził.

– Czas, żebyś sobie przypomniała. – Wyciągnął rękę, by odgarnąć jej z policzka mokry kosmyk. Miał ciepłą, niemal zmysłową dłoń. Mimo woli pochyliła się ku niemu, po czym szybko cofnęła.

Duch. On jest duchem. Powtarzała to raz po raz. Wciąż jeszcze nic o nim nie wie. Nie wie nawet, czy był porządnym facetem. Jeśli tak, to dlaczego tamci trzej go zabili? Przypuszczalnie czymś się im poważnie naraził.

Myśli kłębiły jej się w głowie. Aby zyskać na czasie zaczęła opowiadać o sobie.

– Nazywam się Hope Langston. Pracuję jako fotoreporterka w jednym z największych magazynów w kraju. Dużo podróżuję, a później wracam tutaj, żeby popracować i odpocząć. To moja wyspa, jest w posiadaniu mojej rodziny już od dobrych paru lat.

Wolno potrząsnął głową, na jego zmysłowych wargach błędził blady, pobłażliwy uśmiech.

– Cii... cii, nie, *chérie*. Nie próbuj' mnie oszukiwać. Jesteś Faith Trevor. Twój ojciec jest oficerem brytyjskim wysłanym ostatnio do Port Huron na terytorium Nowej Francji, które jest przyłączone do kolonii. Nie zgadzał się na nasze małżeństwo, więc postanowiliśmy pobrać się wbrew jego woli. – Znów się uśmiechnął. – Jesteś moją narzeczoną. – Patrzył jej prosto w oczy. – Teraz sobie przypominasz, *chérie*!

– Nie – parsknęła. – Nie chcę pozbawiać cię złudzeń, chłopie, ale nie jestem twoją „*chérie*”. Jestem tym, za kogo się podaję, i mamy rok 1990. Stan, w którym się znajdujemy, nazywa się Minnesota i stanowi część Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ty nie żyjesz, ale ja żyję. – Przerwała, widząc jego zmieszanie. Z pewnością myślał, że zwariowała. – W twoich czasach, niezależnie od tego, kiedy to było, żadna kobieta nie biegałaby nago po deszczu. W moich czasach jest to możliwe.

– *Mon Dieu, chérie!* – Przyłożył dłoń do czoła. – Nie jesteśmy w przyszłości. Jest rok 1762. Czy to uderzenie zamroczyło ci pamięć? Jest gorzej, niż myślałem. – Raz jeszcze spróbował wziąć ją w ramiona, ale mu się oparła.

– Nie – krzyknęła. – Nic nie rozumiesz! To ja jestem tutaj na właściwym miejscu, a nie ty! To moje czasy, nie twoje!

Wyciągnął ku niej ramiona. Gorączkowo rozglądała się wokół w poszukiwaniu jakiejś broni. Nagle przestała się szarpać, a on przestał ciągnąć ją ku sobie. Obserwował ją z troską. Nie miała pojęcia, co zrobić. Jakiej broni używa się przeciwko duchom? Krzyżyka, który zawsze nosiła?

Wolno sięgnęła ręką do szyi. Łańcuszek wciąż tam był. Armand śledził wzrokiem ruch jej ręki, po czym rozluźnił nieco silny uchwyt. Nie spuszczała z siebie wzroku. On mierzył ją ciemnobłękitnymi oczami, ona jego piwnymi.

Nagle coś ją olśniło. Przecież krzyży używa się przeciwko wampirom, a nie przeciwko duchom. Znów zaczęła gorączkowo zastanawiać się, co czynić.

– Udowodnię ci, że mówię prawdę – wyjąkała.

– Jak?

– Pozwól, że pójde po mój dres.

– Dres? Co to takiego?

– To strój, który miałam na sobie, gdy biegłam na wzgórze. Nasiąkł wodą i zrobił się taki ciężki, że go zdjęłam, ale nie powinien być dalej niż jakieś pięćdziesiąt metrów stąd.

– Pójde z tobą – zaproponował po chwili wahania. Niebo rozświetliła kolejna błyskawica. Deszcz nagle zmienił się w mżawkę. Armand pomógł jej wstać. Czowała mocny uścisk jego dłoni, przeszedł ją lęk. On był o wiele za męski, a to przypominało jej dni i noce spędzone w Ameryce Środkowej. Lęk i ból przyprawiły ją o mdłości. Zanim jednak zdołała zaprotestować, puścił jej ręce i stanął obok, czekając, co teraz zrobi.

Szczelniej owinęła się kurtką i poszła ścieżką w dół wzgórza. W miejscu, gdzie tworzył się niewielki płaskowyż, leżał jej dres utyłany w błocie. Piękny niebieski kolor zmienił się w rdzawo-brązowy. Podniosła go i wykręciła najstaranniej, jak mogła. Gdy zawróciła, by wejść z powrotem na wzgórze, ujrzała Armanda obok siebie.

Stał spokojnie, z rękami opartymi na biodrach, na rozstawionych nogach, jakby chciał lepiej utrzymać równowagę na stromym zboczu. Wyglądał jak posąg. Mokra koszula przykleiła się do ciała, uwypuklając każdy mięsień. Ciemnozłote spodnie były niemal tak obcisłe jak damskie, znikwały w czarnych wysokich butach kończących się tuż pod kolanami. Bez eleganckiej szamerowanej złotem kurtki przypominał bardziej pirata niż oficera armii francuskiej. Wydawało się, że jest zagniewany.

– No dobrze, moja Faith. Cóż takiego jest w tym kawałku brudnego materiału, co ma dowieść, że mówisz prawdę?

– To. – Pokazała mu przód bluzy.

Pochylił głowę, wpatrując się bacznie. Długimi, pięknymi palcami dotykał welurowej tkaniny.

– Nie chodzi o tkaninę, tylko o suwak! – Hope potrząsnęła materiałem.

– O co?

– Suwak – wyjaśniła cierpliwie. – To zapięcie zostało wynalezione na początku XX wieku i używa się go teraz prawie do każdego ubrania. – Zbliżyła do siebie dolne brzegi bluzy i zapięła ją, później rozpięła i zapięła ponownie.

– Widzisz?

Wziął dres i sam spróbował zapiąć i rozpiąć suwak. Nie patrząc na nią, zrobił to kilka razy, mruczając coś pod nosem.

– Francuzi to wynaleźli? – spytał wreszcie.

– O Boże – jęknęła. – Nie wiem, ale to nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, że wymyślono to, kiedy was już tutaj nie było.

– Francuzi zawsze decydowali o modzie – powiedział nieprzejednanie. – Jesteśmy z tego bardzo dumni, i ty też powinnaś być, moja Faith, jeśli masz zostać Francuzką.

– Nie zamierzam zostać Francuzką, a na imię mam Hope – odparła słodko, choć w oczach jej pojawiły się groźne błyski.

Zauważyła, że on zaczyna wątpić w swoje własne słowa. Nie znaczyło to bynajmniej, że wszystko, co mówiła, uważał za sensowne, ale w końcu coś zaczęło do niego docierać. Nagle Hope przypomniała sobie, po co w ogóle przyszła na wzgórze.

– Och! Chodź tutaj – zawołała, zapominając o przytrzymywaniu kurtki. Pobiegnęła z powrotem w górę zbocza. – Coś ci pokażę.

Znalazła ją. Fotografia, którą upuściła na mech u podnóża skały, była co prawda mokra i zamazana, ale wciąż jeszcze mogła służyć za świadectwo nowych czasów.

– Widzisz? Po to tutaj przyszedłam. Wczoraj je zrobiłam. To ty.

Jej ręce drżały, gdy wręczała mu zaplamione zdjęcie.

Ciemnobłękitne oczy mężczyzny spoważniały, gdy uważnie oglądał fotografię ze wszystkich stron. Zesztywniał na widok pozostałych postaci.

– Jak to się nazywa? – W jego głosie brzmiało podniecenie.

– Fotografia.

– I jak to się robi?

– Przystawiam aparat do oka. Kieruję na wybrany obraz, ustawiam ostrość. Naciskam spust. Aparat zatrzymuje obraz na takiej specjalnej taśmie, która nazywa się film. – Wyjaśniała najprościej jak mogła cały proces, nie mając pojęcia, czy on cokolwiek z tego rozumie.

– Ile to trwa?

Uświadomiła sobie, że przypuszczalnie nie pojął tego, co do niego mówiła. Jakżeby mogło być inaczej, skoro nawet nie wiedział, co to jest aparat.

– Około sekundy lub dwóch, aby zrobić zdjęcie, a później godzinę, aby je wywołać.

– Kpisz sobie ze mnie? To żarty czy co? – Oczy mu się zwięziły.

Powoli potrząsnęła głową. Rozumiała, że nie mógł jej uwierzyć. Na jego miejscu też by nie uwierzyła.

– Nie, w ten sposób zarabiam na życie.

– *Mon Dieu* – wyszeptał. Oparł się o skałę i dalej wpatrywał w zdjęcie. – A więc to nie jest rok 1762.

– Nie.

– I nawet jeśli ją przypominasz, nie jesteś moją Faith – powiedział z rozpaczą.

– Nie – szepnęła, w głębi serca pragnąc nią być, byle tylko zniknął ten wyraz rozpacz z jego twarzy.

– A ja jeszcze żyję.

Hope nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Dotknij mnie. Dotknij mego serca – nalegał.

– Uważasz, że jestem żywy? Ze oddycham tym samym powietrzem co ty, dotykam tego co ty? – Chwyił jej dłoń i przyłożył sobie do piersi. Serce uderzało mu mocno, równym rytmem.

Gdzieś daleko rozległ się grzmot. Burza powoli słabła, nawet deszcz ustał.

– Widzę cię. Czuję. Ale nie wiem, czy jesteś żywy.

– Wzrokiem błagała go, by zrozumiał jej zakłopotanie, ale był za bardzo zajęty sobą, by móc jej pomóc. Westchnęła.

– Chodź ze mną do domu. Muszę się ogrzać. Porozmawiamy u mnie – zaproponowała.

– *Oui*, chodźmy – zgodził się, nie spuszczać wzroku ze zdjęcia.

Poszła przodem. Wiedziała, że idzie za nią, bo czuła jego obecność. Obecność kogoś silnego, opiekuńczego, przy kim czuła się bezpieczna.

Schodzili ostrożnie w dół zbocza. Zanim dotarli na dół, usłyszała, że zaklął. Odwróciła się, stał nieruchomo, z wyciągniętymi do przodu rękami zaciśniętymi w pięści.

– O co chodzi? – spytała podchodząc.

– Nie mogę dalej iść. – W jego głosie brzmiało zdumienie i zawód. Uderzał pięściami powietrze, jak gdyby z czymś walczył. Przypominał jej mima, którego widziała kiedyś w Nowym Jorku. Udawał, że między nim a publicznością znajduje się szklana ściana. Tylko że Armand nie był mimem...

– Chodź, daj mi rękę. – Dotknęła delikatnie jego koszuli.

Próbował, lecz nie mógł jej dosięgnąć, dopóki nie zrobił kroku w tył.

– Spróbuj teraz – zachęciła go jeszcze raz. Nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Zrobił krok do przodu po to tylko, by znów się zatrzymać. Hope przysięgłaby, że w jego oczach widzi łzy. Zamknął je, wzniosł twarz ku niebu, oddychał głęboko. Gdy ponownie otworzył oczy, popatrzył na nią z jeszcze większą rozpaczą.

– Ja nie żyję – stwierdził.

To już nie było pytanie, to była odpowiedź.

– Spróbuj jeszcze raz – nalegała.

– Nic z tego. – Potrząsnął głową. – Nie żyję. Jestem tylko zjawą. Muszę tu zostać. Wiem o tym.

– Nie! – krzyknęła, szarpiąc go za rękę. Chciała, by poszedł z nią do domu. Chciała z nim być. Wszystko na nic. Między nimi wyrosła jakaś niewidoczna ściana.

Łzy zawodu popłynęły jej po policzkach. Nie starała się nawet ich ukryć.

Przyciągnął ją ku sobie, zamknął w ciepłych objęciach.

– Nie martw się, *chérie*, powinienem był to wiedzieć. Teraz widzę, że wygląda tu jakoś inaczej. – Przycisnął jej twarz do piersi. Słyszała bicie jego serca. – Naprawdę, myślę, że wiedziałem, tylko nie chciałem tego przyjąć do wiadomości.

– Dlaczego? – Pociągnęła nosem.

– Bo myślałem, że jesteś moją Faith, i że Bóg był tak wspaniałomyślny, by mi cię zwrócić.

– I co teraz będzie? – Odchyliła się do tyłu zmieszana nagłym wybuchem uczuć. Jeśli miała tyle fantazji, by biegać nago, powinna mieć na tyle rozsądku, by wytrzymać spotkanie z duchem.

– Kto to wie? – Uśmiechnął się smutno. – Być może pozostanę tu tak na wieczność. A może zniknę tej nocy i odnajdę jeszcze czekającą na mnie Faith.

– Ale dlaczego tu jesteś? Musi być jakiś powód. Zawsze jest jakiś powód.

– Czyżby? A ile to duchów znałaś dotychczas? – Ujął jej twarz w swoje silne dłonie.

– Żadnego – przyznała.

– Nawet jednego?

– Nie – roześmiała się.

– A więc jestem pierwszy?

– Tak – zachichotała. Sytuacja była rzeczywiście komiczna i absurdalna. Stoi tutaj, naga, okryta starą francuską kurtką wojskową, i rozmawia z duchem.

– *Alors*. Jeden do jednego. Ty jesteś pierwszą osobą, którą spotkałem, od kiedy jestem duchem.

– Skąd wiesz? – Uniosła brwi. – To znaczy, jeśli jeszcze parę minut temu nie wiedziałeś, że jesteś duchem, to skąd możesz wiedzieć, kogo spotkałeś przedtem?

– Po prostu wiem. To wszystko. – Popatrzył na nią z rozbawieniem. – Przypomniałbym sobie, tak jak zaczynam sobie przypominać inne rzeczy. – Spojrzał ponad jej ramieniem na rysujący się w oddali brzeg jeziora.

– Na przykład?

– Na przykład, że nie wiedziałem na pewno, czy moja Faith przeciwstawi się ojcu i zostanie ze mną. Byłem pewien swojej miłości, ale jej nie.

Musi czuć ból, czekając i nie wiedząc, czy nie na próżno, pomyślała Hope. Tyle pytań tłoczyło jej się do głowy, pytań bez odpowiedzi. Była jednak pewna, że w końcu wszystko się wyjaśni.

– Armandzie, zostań tutaj – zaproponowała. – Ja pójdę się umyć i ubrać. Później przygotuję coś do zjedzenia i przyniosę ci.

– Dobrze – zgodził się. – Umieram z głodu.

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że duchy nie mogą umierać z głodu – roześmiała się.

– Ten jeden może – zaprotestował.

Hope odwróciła się i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku domu.

ROZDZIAŁ 3

Uśmiech znikł z jej twarzy, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o chłodną ścianę i wsłuchiwała w ciszę panującą w domu. No dobrze, zwariowała. Pobyt w Ameryce Środkowej doprowadził ją na skraj wytrzymałości nerwowej, a obecność Armanda to spóźniona reakcja na napięcie psychiczne. Wyobraźnia płatała jej figle.

Nie. Przecież on istnieje. Jest kimś rzeczywistym tak jak i ona. Spojrzała przez okno w kierunku wzgórza. Armanda nie było. Miała rację. Zwariowała. Serce biło przyspieszonym rytmem. Bała się samej siebie.

Czyżby cała ta scena – Armand, burza, rozmowa – rozegrała się tylko w jej wyobraźni? Czyżby tak bardzo chciała uwierzyć, że są jeszcze porządni mężczyźni w przeciwieństwie do tych bydlaków, którzy porwali ją parę miesięcy temu? Czyżby to jej umysł próbował znaleźć jakieś pozory ładu w tym chorym świecie?

Opadła na krzesło i przymknęła oczy. Potarła policzkiem o szorstką kurtkę Armanda i poczuła zapach deszczu, ziemi i... jego. Podniosła gwałtownie głowę. Przecież ma jego kurtkę. Może i jest duchem, ale ona go sobie nie wymyśliła. Ściągnęła okrycie i przyjrzała mu się uważnie. Wydało jej się teraz starsze i bardziej sfatygowane. Kolor zmienił się z jasnego złota w brąz, srebrne i złote szamerowanie na ramionach poszarzało. Przetarła dłonią pełne łez oczy, jeszcze raz uniosła kurtkę do twarzy. Wciąż czuła jego zapach. Uśmiechnęła się przez łzy. Przycisnęła kurtkę do piersi i pobiegła na górę. Puściła wodę do wanny, wyciągnęła z szafy dzinsy i ciemnobrązowy sweter.

Położyła ostrożnie kurtkę na półce obok umywalki i weszła do wanny.

Gdy zanurzała się w gorącej wodzie, uświadomiła sobie nagle, że po raz pierwszy, od kiedy Armand wypuścił ją ze swych męskich ramion, znów było jej ciepło.

No dobrze, ale co teraz, mądralo?

Faith. Młoda kobieta, która nie potrafiła dokonać wyboru między ojcem a kochankiem. Najwidoczniej zabrakło jej odwagi, by porzucić ojca i zostać z mężczyzną, którego kochała. Czy zdawała sobie sprawę, że o tym, co czuł do niej ten żołnierz, większość kobiet mogła jedynie marzyć?

Hope potrząsnęła głową. Siedziała tutaj i rozpamiętywała romantyczną historię miłości, która nawet jej nie dotyczyła. W rzeczywistości ta przeklęta historia rozegrała się ponad dwieście lat temu.

Wyszła z wanny i owinęła się dużym ręcznikiem kąpielowym. Ubrała się w pięć minut, ale potrzebowała aż dwudziestu, żeby wysuszyć swoje gęste włosy. Następne dziesięć zajęło jej przygotowanie posiłku. Wzięła butelkę wina, parę kanapek, trochę owoców i musztardę.

Uśmiechnęła się do siebie. Cała nadzieja w tym, że Armand nie jest smakoszem. Gotowanie nie było jej specjalnością. Zresztą bała się przytyć.

O czym ona myśli? Przecież od czasu pobytu w Ameryce Środkowej dzinsy niemal z niej spadają. Może jednak powinna zacząć jeść coś tuczącego. Przydałoby jej się parę kilogramów

więcej. Włożyła wszystko do koszyka, wrzuciła plastikowe kubki i zaczęła się zastanawiać, czym by tu nakryć zaimprovizowany stół. Przypomniała sobie nagle o plastikowym obrusie, który jej matka kiedyś kupiła i nigdy nie używała. Będzie w sam raz.

Ciekawe, czy zostanie jeszcze Armand na wzgórzu. Może zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. Do głowy cisnęły się jej dziesiątki pytań.

Szła powoli pod górę, nastawiona na piknik w samotności. On na pewno już zniknął, więc będzie na wzgórzu sama, tak jak przedtem.

Przypuszczalnie był pewien, iż ona jest jego Faith, dlatego tak chciał się do niej zbliżyć. Teraz, gdy znał już prawdę, uda się najprawdopodobniej tam, dokąd mają zwyczaj odchodzić duchy.

Przez całą drogę na wzgórze przygotowywała się na to, że go tam nie zostanie. Gdy wreszcie stanęła pod dużym dębem, stwierdziła, że się nie myliła.

Nikogo nie było.

Poczuła nieopisane wprost rozczarowanie. Powoli, ostrożnie rozłożyła plastikowy obrus. Usiadła po turecku na mchu, otworzyła butelkę, nalała trochę wina do plastikowego kubka i wychyliła jednym haustem. Będzie miała swój piknik, niezależnie od tego, czy ten dziwny francuski oficer dotrzyma jej towarzystwa, czy nie.

Rozłożyła kanapki i wypila jeszcze trochę wina. Nie zamierza się nim przejmować, upije się i nawet nie zauważy jego nieobecności.

Nagle usłyszała, że ktoś gwizdże. Melodia wydała jej się znajoma. Podniosła głowę, wpatrując się w odległą kępę drzew. Ta melodia. Prześladowała ją. Kiedyś ją nuciła. Nasłuchiwała. Być może ktoś przycumował do jej wyspy, gdy była w domu. Niekiedy turyści tutaj zaglądali, nie zdając sobie sprawy, że to teren prywatny. Czekala w napięciu, wstrzymując oddech.

Armand pojawił się na niewielkiej polanie po prawej stronie skały. Przestał gwizdać, gdy zauważył ją przycupniętą pod dębem. Faith. Nie, Hope. Hope, która jest tak bardzo podobna do jego ukochanej. Nawet w zachowaniu ją przypomina, taka pewna siebie na pozór, a delikatna w głębi duszy. Widział w jej oczach troskę, a uczucia, jakim tego ranka dała wyraz, były bardziej wymowne niż wszelkie słowa. Całkiem jak Faith.

Złamał w palcach gałązkę. Zwróciła ku niemu wzrok. W pierwszej chwili wyglądała na zaskoczoną, później przerażoną, wreszcie uradowaną jego widokiem.

– Hej! – zawołała. – Myślałam, że sobie poszedłeś.

– Dokąd miałbym pójść? – Uniósł brwi.

– Może z powrotem na skałę – odparła.

– Myślisz, że stamtąd przyszedłem? – Zbliżył się z pochyloną ku niej twarzą, pozornie spokojny i rozluźniony. Czowała jednak emanujące z niego napięcie.

– Właśnie tak – skinęła głową. – Odkąd sięgam pamięcią, zawsze myślałam, że ta skała żyje. Wydawało mi się, że mnie zna, broni, ochrania.

– I myślałaś, że to nie jest zwyczajna skała, że ma duszę człowieka? Mężczyzny, który bardzo kochał?

– Ależ nie – rzuciła z zakłopotaniem, upijając łyk wina. Poczwała miłe ciepło w przełyku i żołądku.

Armand usiadł naprzeciw niej, wyciągnął długie nogi na trawie i podparł się na łokciu. Bawił się gałązką.

– Nie wstydź się swoich uczuć, *chérie* – powiedział. – Są tak ważne jak prawdziwa miłość.

– Mówisz jak prawdziwy Francuz – uśmiechnęła się.

– Cóż w tym dziwnego? Jestem prawdziwym Francuzem.

– Masz rację. – Szybko zasłoniła dłonią usta. Nie mogła powstrzymać śmiechu. Każdy Francuz, jakiego kiedykolwiek znała, podobnie się zachowywał. Dlaczego ten miałby być inny?

– Czemu się śmiejesz? – spytał. – I czemu starasz się to ukryć?

– Kto, ja? – zdziwiła się z miną niewiniątka.

– A czy jest na tej wyspie ktoś jeszcze? – odparował.

– No cóż, nie – zgodziła się. – Ale widzisz, mówi się, że Francuzi są pewni siebie i myślą tylko o miłości. Mają też opinię szowinistów.

– Co to znaczy: szowinistów?

– To słowo pochodzi od nazwiska jednego z twoich rodaków, Chauvina, żołnierza, który był całkowicie oddany Napoleonowi i jego sprawie. To słowo oznacza przesadny patriotyzm lub inne skrajne uczucia. Kobiety na przykład chętnie określają tym mianem mężczyzn, którzy uważają, że nad nimi dominują.

– Nic o tym nie wiem – przyznał się Armand, ściągając brwi. – Nigdy nie słyszałem o tym Napoleonie.

– Słusznie. – Wyciągnęła ku niemu rękę. Zamknął jej dłoń w swojej. – Zapomniałam, wybac mi. Był generałem, później cesarzem Francji na początku XIX wieku. Ale widzisz, wciąż zapominam o tym, w którym miejscu historii ty się znajdujesz. – Głos jej brzmiał łagodnie. – Miałam zajęcia z historii na uniwersytecie, ale już nic nie pamiętam. – Jego dłoń była aż za ciepła, za silna. Jego dotyk miał w sobie coś erotycznego. Cofnęła swoją.

– Byłaś na uniwersytecie? – Szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

– Tak. Na Uniwersytecie Stanu Maryland – skinęła głową.

– Dużo kobiet studiuje na uniwersytecie?

– Prawie połowę studentów we wszystkich szkołach stanowią kobiety – uśmiechnęła się.

– W każdym razie przez pierwsze dwa lata.

– Kobiety chodzą na ten sam uniwersytet co mężczyźni? – Nie posiadał się ze zdumienia.

– W dawnych czasach kobiety chodziły do szkół przeznaczonych tylko dla nich – wyjaśniła Hope.

– Szybko się to jednak zmieniło i teraz możemy nawet żyć bez ślubu z mężczyzną, który nam się podoba. Prawdę mówiąc, wiele z moich koleżanek z uniwersytetu mieszkało z chłopakami w czasie studiów. Kobiety nie służą już wyłącznie do rodzenia dzieci. Mogą się cieszyć taką samą swobodą jak mężczyźni, z seksualną włącznie.

– Ależ to źle. Jak takie kobiety mogą bez wstydu spojrzeć sobie w oczy? – Armand podniósł się, wzburzony.

– Co za wstyd? Kto powinien się bardziej wstydzić – mężczyzna, że żyje z kobietą, czy kobieta, że żyje z mężczyzną?

– Przecież to oczywiste. To kobiety powinny się wstydzić, że pozwalają na coś takiego. Jest takie określenie na te kobiety, i to wcale nieładne – stwierdził z całym przekonaniem.

– Widzę, że mamy pewien problem edukacyjny – powiedziała Hope. – Ani jedno, ani drugie nie ma się czego wstydzić. Jeśli tylko oboje są pełnoletni, jest to ich wybór i ich sprawa. Nikomu nic do tego.

Armand odchylił się do tyłu. Widziała, że stara się przetrwać w sobie to, co od niej usłyszał. Popatrzył w końcu na nią badawczo.

– Umiesz czytać, prawda? – spytał. Zaskoczyło ją to.

– Oczywiście – odparła. – Każdy chodzi do szkoły co najmniej do ukończenia szesnastu lat. Ci, którzy chcą, mogą kontynuować naukę, a później iść do college’u lub na uniwersytet. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

– Coś podobnego! – Zawahał się przez chwilę. – Będziesz mi czytać – oznajmił, jakby to już było przesądzone.

– Ja? – A może to Chauvin we własnej osobie? – A cóż to takiego miałabym ci czytać? – spytała z sarkazmem.

– Cokolwiek. – Machnął ręką. – Może coś na temat dzisiejszego świata. – W jego oczach malowała się niepewność. Zrozumiała, jak bardzo obcy był dla niego ten świat, w którym się znalazł. – Masz w domu jakieś książki, prawda?

– Tak. Myślę, że mam też trochę starych gazet i czasopism.

– Cudownie – uśmiechnął się szeroko. – To na początek.

– Och – westchnęła. Gdyby znał ją tak dobrze, jak myślał, że ją zna, wiedziałby, że mu się sprzeciwi. – A dlaczego, u diabła, nie miałbyś sobie sam poczytać?

– Nie przeklinaj. Damie to nie uchodzi. Nawet takiej, która nosi spodnie – upomniał ją, patrząc z mieszaniną przyjemności i zgorszenia na jej szczupłe biodra opięte dżinsami. Westchnął, jak gdyby zaczynał już tracić cierpliwość. – Dlatego, *ma chérie*, że nie najlepiej czytam po angielsku. A skoro ty jesteś Angielką i mówisz po angielsku, przypuszczam, że i czytasz po angielsku. Mam rację?

Tym razem roześmiała się szczerze. Prawdziwa mądrość rodzi się, gdy ma się ponad dwieście lat. Nie będzie się z nim spierać o to, czy jest Angielką. Już i tak dostarczyła mu dostatecznie dużo informacji.

– Masz rację – przytaknęła.

– A więc przyniesiesz je i poczytasz mi? – dopytywał się cierpliwie.

– Później. Teraz jestem głodna. Spochmurniał, ale nic nie powiedział. Sięgnął po butelkę i nalał sobie wina.

– Faj – wykrzyknął, plując i ciskając kubek o ziemię. Coś tam mruknął po francusku. Hope miała niejasne wrażenie, że jest na nią zły, ale nie wiedziała dlaczego. Jej szkolna

francuszczyzna wystarczała na zrozumienie zaledwie najprostszych zdań.

Odgryzła kawałek kanapki, obserwując go bacznie. Zastanawiała się, czy wyjaśni jej, o co chodzi.

– Co to ma być? Jakiś sikacz. Paskudztwo. Myślałem, że tu się pije wino, ale ten płyn to coś nowego, to jakieś lekarstwo, a może trucizna – oburzał się.

– To tanie wino amerykańskie – wyjaśniła z całym spokojem. – Nie jestem szczególną znawczynią win, a więc uważam, że jest niezłe.

– Wino? Coś podobnego! To jakaś kwaśna, farbowana woda. Jakżeż się ono nazywa, to wino?

– Jest tu napisane „chablis” – przeczytała napis na nalepce.

– Nie jest nawet na tyle przyzwoite, by je podać Anglikom – stwierdził.

Hope nie wytrzymała i zaczęła się śmiać. Śmiała się coraz głośniej i serdeczniej.

– Co cię tak bawi? – spytał z irytacją. Widziała, że się zastanawia, czy nie ma przypadkiem lekkiego bzika. Śmiała się coraz bardziej. Nie był daleki od prawdy.

– Przepraszam – wyjąkała, gdy wreszcie złapała oddech. – To z powodu tej głupiej sytuacji. Przyjechałam tutaj, aby wypocząć i dojść do zdrowia. Tymczasem spotykam ducha, a nawet siedzę z nim w lesie ijemy razem lunch. I wszystko, co możemy zrobić, to dyskutować o kiepskim winie.

– A więc zgadzasz się ze mną co do wina? – ucieszył się Armand.

– Co do wina? – Znow ogarnął ją śmiech. – Pozwól mężczyźnie udowodnić swój punkt widzenia, a dowiedzie ci nawet, że Ziemia się nie kręci.

Armand bez słowa sięgnął po kanapkę. Bacznie się jej przyjrzał, zanim ostrożnie spróbował.

– Powiedz, nie lubisz mężczyzn? To dlatego jesteś taka złośliwa?

– W tej chwili szczególnie nie przepadam za mężczyznami. – Uśmiech znikł z jej twarzy.

– Ale jeśli masz zamiar spytać, czy wolę kobiety, odpowiedź brzmi „nie”.

– Wcale cię o to nie podejrzewałem, czułem, jak reagowałaś, gdy trzymałem cię w ramionach.

– To była reakcja instynktowna, podobnie jak u ciebie. Byłeś ciepły, a ja byłam zmarznięta.

– Nie powinnaś była zorientować się, że ogarnęło mnie pożądanie – zachnął się. – Damom to nie uchodzi.

– Na litość boską – zniecierpliwiła się.

Uniósł brwi, ale nic nie odpowiedział. Hope sięgnęła po następną kanapkę. Zrobił to samo. Był za bardzo głodny, by pytać, z czego jest zrobiona, choć najwyraźniej budziła jego podejrzenia.

– Jak myślisz, co teraz zrobimy? – spytał.

– Sądzę, że powinniśmy się dowiedzieć, dlaczego nigdy nie odpoczywałeś od czasu, hm, twego zejścia.

– Mojej śmierci?

– Tak. Musi być jakaś przyczyna. – Zajrzała do torby i po chwili wyjęła z niej zdjęcia. Gdy objaśniała mu proces fotografowania, zapomniała pokazać mu wszystkie odbitki i spytać o utrwalone na nich wydarzenia.

– Popatrz. Przyjrzyj się im i powiedz, co z tego pamiętasz. – Podała mu zdjęcia.

Patrzył na nie z nie ukrywaną niechęcią.

– Weź je, nie ugryzą cię – nalegała.

Usiadł na skrzyżowanych nogach, wytarł ręce o spodnie i dopiero wtedy sięgnął po fotografie. Studiował je wnikliwie, jedną po drugiej. Gdy skończył, zaczął jeszcze raz od początku.

– No i co? Pamiętasz cokolwiek? – spytała podekscytowana.

– Oczywiście. Wszystko pamiętam.

– Wspaniale – ucieszyła się. – Kto to jest? Czego oni chcieli? Który z nich cię zranił?

Armand wskazał mężczyznę w wysokich butach, z peleryną z futra na ramionach.

– Ten był traperem. Nazywał się Francois Tourbet. Częściej przebywał w Grand Portage niż w lesie. A ten – pokazał mężczyznę o długiej twarzy stojącego obok Tourbeta – służył u ojca Faith. Spokojny człowiek. Jacques Pillon. A ten – dotknął na fotografii palcem postaci stojącej z boku – to jeden z najokrutniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Nazywa się Henri Houdon. Nieustannie prowokował ludzi do walki. Wszystkich nienawidził, z wyjątkiem kapitana Trevora. Czasami myślę, że tylko tolerował kapitana, ponieważ potrzebował jego przychylności, jeśli nie chciał być wyrzucony z kraju.

– Który z nich cię zabił? Znowu popatrzył na fotografię.

– Nie jestem pewien – powiedział jakby do siebie. Powędrował wzrokiem ku skale, najwidoczniej wracając pamięcią do przeszłości. – Byłem taki niecierpliwy. Powędrowałem do Port Huron przebrany za trapera, ponieważ francuscy żołnierze nie byli tam mile widziani. Wynająłem jako przewodnika Jacquesa Pillona, by zaprowadził mnie do mego brata do Fort Francis, ostatniego znanego miejsca jego pobytu. Zatrzymaliśmy się w Grand Portage tylko po to, by stwierdzić, że Odżibweje prowadzą wojnę z innym szczepem. Jacques wynajął dwóch mężczyzn, którzy dobrze znali tamtejsze tereny, i zamiast iść z biegiem rzeki Pigeon do Fort Francis, musieliśmy przedostawać się łądem, by omijać walczące szczepy. Szliśmy od Grand Portage na południe i zaczęliśmy piąć się w górę, gdy dotarliśmy do tej wyspy i zatrzymaliśmy się tutaj, gdzie Indianie nie mogli nas łatwo dosięgnąć. Zakopałem swój kuferek i przebrałem się w mundur. Znajdowaliśmy się na terytorium kontrolowanym przez Francuzów. Kuferek był zbyt nieporęczny, aby nieść go dalej, a ja nie ufałem moim towarzyszom podróży. Miałem w nim swój dziennik i miniaturę Faith.

Zamknął na chwilę oczy, a gdy znów je otworzył, były tak smutne, że Hope poczuła nagły skurecz serca.

– Próbowałem namówić brata, żeby wrócił do domu i przejął obowiązki głowy rodziny – ciągnął dalej Armand – ale odmówił. Wreszcie dałem spokój i wróciliśmy tą samą drogą, którą przyszliśmy. Gdy znaleźliśmy się na wyspie, moi współtowarzysze rozbili obóz na dole, a ja poszedłem na wzgórze, żeby wykopać kuferek. Wtedy mnie zaatakowali.

– Po co im był ten kuferek? – zapytała z ciekawością Hope. – Chyba nie miał dużej wartości?

– Miałem przy sobie klucz. Duży klucz z kości słoniowej oprawny w mosiądz. Zamknąłem kuferek, ponieważ był w nim mój prezent ślubny dla Faith. Chciałem go jej wręczyć na statku, gdy kapitan dokona ślubnej ceremonii. – Zamyślił się na chwilę. – Ona była moim życiem, moją miłością. Wszystkim.

Hope poczuła ucisk w gardle, gdy patrzyła na tego przystojnego mężczyznę, któremu łzy spływały po policzkach.

– Była dla mnie wszystkim – wyszeptał. – Gdy nie było jej przy mnie, słońce traciło blask.

– Dlaczego chcieli mieć miniaturę Faith? – dopytywała się Hope.

Spojrzał na nią, jakby widział ją po raz pierwszy. Uśmiechnął się z goryczą.

– Nie chodziło im o jej podobiznę. Chcieli mieć mój dziennik, wiedząc, że może on zaszkodzić ojcu Faith i im. Tam, na podróży szlaku nie wszystko było w porządku. Oszukiwano zarówno Francję, jak i Anglię. Przypuszczali, że mam notatki na ten temat.

– I dlatego cię zabili? – Hope pochyliła się do przodu, dotykając go lekko, jakby chciała go zachęcić, by mówił dalej.

– *Oui*. I również dlatego, że skądś wiedzieli, iż Faith i ja zamierzamy uciec, gdy dotrę do Port Huron. – Twarz wykrzywiła mu się z bólu. – Skąd mogli wiedzieć? Nikt o tym nie wiedział, tylko Faith, ja i człowiek, który miał nam pomóc w przepłynięciu jezior i rzeki.

– Być może się przestraszył. I wydał was kapitanowi.

– Nie – zaprzeczył zdecydowanie Armand. – Chciał stamtąd uciec tak samo jak i my. Jego żona z dzieckiem czekała na niego w Nowym Jorku. Zamierzał otworzyć piekarnię. Był taki podniecony, taki szczęśliwy, że wydostanie się wreszcie z tej głuszy i wróci do cywilizacji, jeśli można tak nazwać zatłoczone ulice Nowego Jorku.

Hope przypomniała sobie swój ostatni pobyt w Nowym Jorku. Gdybyż Armand mógł zobaczyć teraz to miasto!

– A może ojciec Faith zmusił ją do powiedzenia prawdy? W końcu był jej ojcem.

– Nie. – Armand potrząsnął głową. – Wiem, że się go bała, ale chciała ze mną wyjechać tak bardzo, jak ja pragnąłem, by do mnie przyjechała. Kochała mnie. Wiem o tym.

Hope rozumiała jego uczucia. Wbrew temu, co powiedział, wiedziała jednak, że nagle zaczął wątpić w miłość Faith. Początkowo była skłonna wierzyć, że Faith nie kochała go dostatecznie, ale teraz nie była pewna. A może chciała wierzyć, że ich miłość była bardziej realna niż ta Romea i Julii?

– Myślisz, że znaleźli kuferek?

– Chyba nie. – Wzruszył ramionami. – Klucz z kości słoniowej był jedyną rzeczą, jaką mogli zabrać. A zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Już po wszystkim.

– Oczywiście, że ma. Jeśli znaleźli, to mieli to, czego chcieli. Jeśli nie, to musieli resztę swego życia rozglądać się z niepokojem i zastanawiać, kto go znajdzie i oskarży ich o to, o czym pisałeś.

– Kradli futra, a za uzyskane pieniądze kupowali ziemię na wschodzie. Utworzyli spółkę i lokowali w niej swój kapitał. A później pewien adwokat z Anglii kupił ziemię poza koloniami. Zamierzali utworzyć własne państwo.

– No cóż – skwitowała z satysfakcją Hope – przynajmniej wiesz teraz, że ich plany się nie powiodły. Kolonie walczyły z Anglią i uzyskały niezależność. Później cały kraj podzielono na tak zwane stany, i każdy z nich rządzi się sam pod sztandarem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Armand sprawiał wrażenie zainteresowanego, ale i zdumionego.

– Ale kto sprawuje rządy? – spytał. – Anglik, Francuz, Hiszpan?

– Nowa Francja, jak ty to określasz, nazywa się teraz Kanada i rządzi nią premier. Ameryką rządzi prezydent i jest on Amerykaninem.

– Amerykanin? Czy to Indianin?

– Nie – odparła chichocząc. – To Amerykanie. Ludzie urodzeni w Ameryce lub tacy, którzy żyją tu na tyle długo, by być jej obywatelami.

– Jest ich tak dużo? Nawet za moich czasów kobiety brytyjskie wydawały na świat brytyjskich obywateli. – Wydawało się, że nie nadaża za jej słowami i nie może ich złożyć w sensowną całość.

– Powiem ci coś. Jutro przyniosę książki historyczne i gazety. Na farmie musi ich trochę być. Może objaśnią ci wszystko lepiej niż ja. – Zaczęła pakować rzeczy do kosza, uzmysłowiwszy sobie po raz pierwszy, że zbliża się zachód słońca. Spędzili ze sobą całe popołudnie.

– Przyjdę tu jutro – obiecała, bardziej sobie niż jemu. – I przyniosę ci zapas jedzenia, żebym nie musiała chodzić wciąż w górę i w dół tego cholernego wzgórza.

– Nie przeklinaj, to...

– Wiem... to nie uchodzi damie – dokończyła. Zaśmiała się, zastanawiając, co by to było, gdyby zabrać go z tej wyspy do miasta. Przeżyłby szok cywilizacyjny. Przypuszczalnie dostałby zawału. – Postaram się zapamiętać, choć to nie będzie proste – dodała.

– *Merci* – mruknął, wstając z ledwo widocznym uśmiechem.

– Nie ma za co – odpowiedziała odruchowo, myśląc o czymś zupełnie innym. Gdzie on będzie spał tej nocy? Na ziemi, a może w powietrzu, albo na skale? Gdzie? Wręczyła mu złożony obrus. – Masz. Zostawiam ci go. Na wszelki wypadek.

– Na wypadek czego?

– Gdybyś potrzebował – odparła cierpliwie.

– Myślisz, że zechcę jeść, kiedy ciebie tu nie będzie?

– Nie, ale... ale gdzie będziesz spał? – wykrztusiła wreszcie. Najwidoczniej on wcale się nad tym nie zastanawiał.

– Punkt dla ciebie, *chérie*. Pojęcia nie mam, gdzie będę spał, i czy w ogóle. I nawet czy będę tu jeszcze, gdy zapadnie zmrok. – Uśmiechnął się, a ją znów ogarnęło znajome ciepło. – Przekonamy się?

– Tak, przekonamy się – przytaknęła. – Tymczasem postaraj się myśleć o czym innym, może o tym, jak to się dzieje, że wciąż jeszcze tutaj jesteś. Może połączymy nasze umysły i uda nam się znaleźć jakąś odpowiedź. Co dwie głowy to nie jedna.

– Bardzo chętnie połączyłbym z tobą wszystko co się da, *cheñe*. Byłoby to niezwykle, hm, pobudzające. Prawda?

– I ty się uważasz za szacownego ducha – upomniała go. – Szanowane duchy nie czynią awansów spotkanym przypadkowo kobietom.

– Skąd wiesz? Mówiłaś, że jestem twoim pierwszym duchem.

– Mężczyźni. Wszyscy tacy sami. Twierdzisz, że kochasz Faith, ale chętnie zabawiłbyś się z każdą inną dziewczyną.

– Masz rację. – Zesztywniał, jakby go uderzyła. – Kocham Faith. Przez chwilę udawałem, że ty nią jesteś. Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość.

Wiedziała, że powinna przestać go dręczyć, ale coś ją kusiło, żeby ciągnąć to dalej.

– A więc zapamiętaj sobie, kim jestem, proszę. Rozwiąż swój problem, żebyś mógł wrócić tam, gdzie prawdopodobnie powinieneś być, a mnie pozwól żyć własnym życiem.

– *Oui* – mruknął, odwracając się do niej plecami. – Właśnie to teraz zrobimy, *mademoiselle* Hope. Miłego wieczoru. – Odszedł wolnym krokiem i po chwili zniknął za głazem, pozostawiając ją samą. Gdy straciła go z oczu, poczuła, jak bardzo jest samotna.

ROZDZIAŁ 4

Nad spokojną wodą jeziora zawisła mgła. Niczym anielskie włosy spowijała sosny, szarpiąc gałęzie, jak gdyby prosiła, by pozwolono jej lecieć swobodnie tam, dokąd poniesie ją lekka bryza. Wszystko to wydawało mu się takie znajome.

Skulił się pod nieprzemakalnym obrusem i obserwował szczupłą sylwetkę kobiety biegnącej w dół w kierunku małej łódki przycumowanej u brzegu. Dokąd tak pędziła? Nie było sensu wołać jej ani biec za nią. Nie był w stanie przekroczyć niewidocznej ściany, a wątpił, by usłyszała jego głos. Odczuwał przemożną chęć, by przejechać palcami po jej długich, sięgających niemal do pasa włosach i przytulić jej głowę do piersi.

Zadrzał na samą myśl o tym. Mocniej otulił się obrusem. Nie był jednak w stanie pozbyć się tych myśli. Ogarnął go przytłaczający smutek. *Mon Dieu!* Jest duchem. Duchem. Nie ma znaczenia, że czuje się bardziej mężczyzną niż zjawą. Fakt pozostaje faktem. Wy dostał się poza swoje czasy, swoją przeszłość, swoje własne życie... przechwycony przez wirujący, nieobliczalny prąd przyszłości. I nie wie nawet, co go czeka.

Jego krewni i przyjaciele, a także wrogowie odeszli, pozostawiając go całkowicie samotnym. Było mu przeznaczone spotkać kobietę podobną do Faith. Kobietę, która przysięgała, że ona i inne podobne do niej są wyzwolone. Co to znaczy?

Co jeszcze może robić w tym nowoczesnym społeczeństwie poza bieganiem nago? Widział obrazki – fotografie – ale nie bardzo rozumiał, na co miałyby się przydać. Widział urządzenie, które nazywała suwakiem, ale do czego jeszcze mogło ono służyć? Wyglądało na to, że zastępuje guziki. To nic nowego. Po prostu zamiana czegoś, co i tak dobrze funkcjonowało. Nie mógł zrozumieć sensu tego wszystkiego, co pokazywała mu Hope.

Mała łódka zawarczała, przerywając wieczorną ciszę. Zmrużył oczy. Dopiero teraz zauważył, że na rufie było urządzenie, które wydawało dziwny odgłos. Hope sterowała w kierunku małej przystani na drugim brzegu. Łódź posuwała się szybko, o wiele szybciej niż łódzie wiosłowe, którymi poruszali się poszukujący skór traperzy.

Armand zasepił się. O tylu rzeczach jeszcze nie wiedział i tak wielu nie rozumiał. A może przestraszył Hope tak bardzo, że postanowiła opuścić wyspę na zawsze? Wydawało mu się to niemożliwe, ale czy może być pewien?

Oparł głowę o kolana i zacisnął powieki. Mimo że poprzedniego dnia zachowywał się tak swobodnie, był śmiertelnie przerażony. Przerażony wspomnieniem przeszłości i perspektywą przyszłości. Najbardziej jednak bał się utraty Hope.

Nieważne, co ona myślała, nie potrafił się zachowywać inaczej, niż jakby była jego Faith. Jego miłością. Jego życiem. Żadnego mężczyzny kobieta nie będzie pociągała tylko dlatego, że wygląda jak ta, którą kochał. Musi się między nimi wytworzyć pokrewieństwo dusz.

Z gardła wyrwał mu się przeciągły jęk, ale w pobliżu nie było nikogo, kto by go usłyszał.

Hope nacisnęła pedał gazu. Dojeżdżała do Two Harbors, miasteczka leżącego w dole szosy prowadzącej od przystani. Chciała być przez chwilę sama, aby przemyśleć to wszystko,

co się wydarzyło. Musiała znaleźć w tym jakiś sens. Czuła, że inaczej zwariuje.

Jednak cała ta sytuacja wydawała się całkowicie pozbawiona sensu. Duch? Na jej wyspie? Niemożliwe. W dodatku duch starszy od niej o przeszło dwieście lat i tak samo pewny siebie jak dzisiejsi mężczyźni. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, który cisnął jej się na usta. Pewne rzeczy nie zmieniały się z upływem czasu, a z pewnością jedną z nich była męska natura.

Dlaczego jednak Armand tutaj jest? Co spowodowało, że on czy jego duch, pojawił się w obecnych czasach? I dlaczego akurat teraz? Nie umiała znaleźć sama odpowiedzi na te pytania. Pojedzie do biblioteki. Tam na pewno będą książki o duchach, o reinkarnacji lub o tym wszystkim, co dotyczyło Armanda. Nie potrafiła rozstrzygnąć, czy to gwałtowność śmierci, jaką zginął, czy głębia uczucia do Faith spowodowała go z powrotem na ziemię. A może coś zupełnie innego.

Tak czy inaczej, musiało istnieć coś, co go tu zatrzymało. Może tajemnica kryła się w zakopanym kufierku z miniaturą Faith, a może w kluczu z kości słoniowej? A może chodzi o to, by odnaleźć grób Faith i wypowiedzieć nad nim jakąś magiczną formułę? Albo grób Armanda? Nie wiedziała, Armand najwyraźniej też nie. Bezsensowność ostatniej nocy potwierdziła jednak to, co oboje już wiedzieli. Musi znaleźć jakieś odpowiedzi, a dzisiejszy poranek nadaje się do tego jak każdy inny. Poza tym potrzebuje tylu rzeczy, aby uczynić ich życie nieco łatwiejszym, gdy będą wspólnie zastanawiać się nad tym problemem.

Na razie nie znała jeszcze żadnych odpowiedzi, ale czuła, że je znajdzie. Muszą po prostu systematycznie próbować i zobaczyć, co z tego wyniknie. Przypuszczalnie poszukiwania w bibliotece dadzą jakiś efekt.

Dopiero gdy dojechała do małego, malowniczego miasteczka, uzmysłowiła sobie, że niewiele tu wskóra. Potrzebuje większej biblioteki, większych księgarni, więcej źródeł informacji. Z wyjazdem do Duluth będzie jednak musiała zaczekać. Na razie musi się zadowolić tutejszą biblioteką, a przede wszystkim zrobić zakupy.

Szła główną ulicą, zaglądając do miejscowych sklepów, w których można było kupić lub wypożyczyć wszystko, co potrzeba na kemping w tej okolicy. Innego dnia prawdopodobnie rozkoszowałaby się senną atmosferą miasteczka, ale dziś musi się spieszyć. Ma tyle do zrobienia.

Hope westchnęła głęboko, gdy sięgnęła do bagażnika po ostatnią torbę. Zrobiła większe zakupy, niż planowała. Bagażnik, tylne siedzenie i miejsce pasażera były zawałone paczkami. Musiała odbyć parę rund, aby zanieść to wszystko na łódkę. Kupiła to, co, jak sądziła, będzie im potrzebne w ciągu kilku następnych tygodni, aby pobyt Armanda na wyspie uczynić wygodniejszym. Zapasy, jakie miała w domu, z pewnością nie wystarczyłyby na zaspokojenie jego apetytu. A ten mu dopisywał.

Gdy podpływała do wyspy, było już późne popołudnie. Słońce wisiało nad horyzontem jak wielka pomarańczowa kula. Mimo zmęczenia nie mogła nie zauważyć pięknego widoku.

Ktoś zawołał ją po imieniu. Odwróciła się i przebiegła wzrokiem wzdłuż brzegu. W odległości około dwustu metrów od przystani stał Armand, machając rękami, by zwrócić jej uwagę. Biała koszula, rozpięta pod szyją, ukazywała ciemny zarost na piersi. Buty wydawały się czarne jak atrament, ciemnozłote spodnie opinały silne, muskularne nogi. Musiał być wysoki jak na czasy, w których żył, oceniła. Może mierzyć około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Nikt nie mógłby wyglądać bardziej realnie niż on. W niczym nie przypominał ducha.

Kierując ku niemu motorówkę, obserwowała, jak jego sylwetka staje się coraz większa. Dreszcz szczęścia wstrząsnął nią, gdy uświadomiła sobie, że on wciąż tu jest. Nie miała na tyle doświadczenia z duchami, by wiedzieć, czy go jeszcze zastanie. Mogła jedynie mieć taką nadzieję.

Zmieszał się nieco, gdy wyłączyła silnik i przybiła do brzegu. Pochylił się i silnymi rękami przyciągnął łódź do brzegu.

– Nie spodziewałem się, że wrócisz – powiedział.

– Musiałam zrobić zakupy – wyjaśniła pośpiesznie. – Ale co z tobą? Wydawało mi się, że nie możesz zejść ze wzgórza?

Zanim umknął wzrokiem, zobaczyła ból malujący się w jego oczach.

– Wciąż nie mogę, ale, jak się wydaje, z tej strony jestem w stanie dojść do wody. Z przeciwnej wyrasta przede mną wciąż ta niewidoczna ściana. – Na twarzy błąkał mu się smutny uśmiech. – Przynajmniej już teraz wiem, gdzie się mogę wykapać.

– Próbowaleś wszędzie? Może jest gdzieś jakaś dziura? – spytała.

– Nic z tego, kochanie – potrząsnął głową. – Nie mogę ani wspiąć się na nią, ani pod nią przepłynąć. Próbowalem od samego rana, gdy tylko odjechałaś.

– No to pomóż mi wnieść to wszystko na górę. – Wskazała paczki leżące w łódce. – Mam dla ciebie parę niespodzianek.

– Dla mnie? Prezenty? – Armand nie krył zdumienia.

Roześmiała się, odpowiedziało jej echo. Nie rozumiał, z czego się śmieje. On nie miał powodów do śmiechu.

– Tak. – Rzuciła mu największą torbę. – Umilę ci życie, dopóki...

– Dopóki tu będę, czy tak? – dokończył, chwytając torbę.

– Właśnie. – Sięgnęła po następną, nie zważając na bolesne ukłucie, jakie poczuła na samą myśl, że mogłoby go tutaj nie być.

Obładowani ruszyli ścieżką w górę. Szła za nim, obserwując jego muskularne plecy, które napinały się przy każdym kroku. Jak na ducha był zdumiewająco dobrze zbudowany. Jak na mężczyznę wybitnie przystojny.

– Co jest w tych torbach? – spytał, rzucając je pod rozłożysty dąb.

Hope usiadła i zaczęła powoli wypakowywać rzeczy.

– Proszę – powiedziała z zadowoleniem, podając mu jakiś nieforemny miękki tłumoczek.

– A cóż to takiego? – wykrzyknął.

Hope przez chwilę oglądała tkaninę, później popatrzyła na niego z uśmiechem.

– To śpiwór ze specjalnie ocieplanym spodem. Jeden z najlepszych, jakie są na rynku. – Rozłożyła go na trawie. – Widzisz?

Armand przykucnął, pomacał materiał, przewrócił śpiwór na drugą stronę.

– Suwak? Czy dobrze mówię? – spytał, bawiąc się jego skuwką.

– Tak, suwak. Wchodzisz do śpiwora, podciągasz suwak i jest ci ciepło.

– I wygodnie?

– Oczywiście – przytaknęła z zapalem.

– *Merci bien, ma petite* – powiedział miękko, dotykając jej policzka. Poczowała, że robi jej się gorąco.

– Nie ma za co – odpowiedziała odruchowo. Wbił wzrok w jej usta, całym ciałem pochylił się ku niej.

– Jaka ty jesteś słodka – wyszeptał, delikatnie muskając jej wargi. Jego pocałunek był ciepły i miękki, a równocześnie stanowczy. Krew w niej zawrzała, gdy poruszył wargami przyciśniętymi do jej ust, by spić z nich to, co najśłodsze.

Chwyliła koniec śpiwora, palcami szarpała materiał, jakby go chciała podrzeć na strzępy. Przestała panować nad sobą, bezwolnie poddawała się subtelnej pieśczości jego ust.

Gdy się odsunął, zadrżała. Oczy miała na wpół przymknięte, widać było tętno pulsujące na jej szyi.

– To nadzwyczajne, że tak się o mnie troszczysz – wyszeptał.

Przełknęła ślinę i uśmiechnęła się zmieszana.

– Nie mogę pozwolić, by duch zamarł. Co bym z nim zrobiła?

Roześmiał się z ulgą. To dziwne, ale przez chwilę mogłaby przysiąc, że pocałunek poruszył go tak samo jak ją.

– Mogłabyś go używać do przechowywania jedzenia, żeby się nie zepsuło.

– Jedzenie – ożywiła się. – Wciąż jest na przystani.

– Zerwała się na nogi i pobiegła do ścieżki. – Trzeba przynieść resztę rzeczy.

Nie odwróciła się nawet, by sprawdzić, czy idzie za nią. Potrzebowała czasu, by uporządkować jakoś swoje uczucia. Była pewna, że oboje wiedzieli, iż ten pocałunek znaczył coś więcej.

– Mam też dla ciebie levisy i koszulę – zawołała przez ramię. – Będzie ci wygodniej niż w tym stroju.

– Co to są levisy?

– Dżinsy – roześmiała się, wyobrażając sobie jego minę, gdy je zobaczy.

– Nie chcę ich – powiedział, biorąc z jej rąk torby. – Mam świetnego krawca. Tylko jemu ufam.

– Spodobają ci się – zapewniła. – Zresztą twego krawca tutaj nie ma, a więc przyda ci się to, co kupiłam.

– Zobaczymy – rzucił, ale wywnioskowała z jego tonu, że nie jest w pełni przekonany.

W dwadzieścia minut później okazało się, że miał rację. Z trudem wstrzymywała śmiech. Koszula z cienkiej flaneli, którą dla niego kupiła, okazała się za ciasna, a rękawy za długie.

Za to džinsy... Dżinsy wyglądały jeszcze zabawniej.

Stał przed nią ze zdegustowanym wyrazem twarzy.

– Nie wiem, jak Amerykanie mogą nosić coś podobnego – wymamrotał, patrząc na swoje nogi.

– Musisz je trochę obciągnąć, żeby opierały się na biodrach, a nie sięgały do talii – powiedziała, usiłując zachować powagę.

– Na biodrach? – Nie rozumiał. – Jeśli to zrobię, będą odstawać na siedzeniu. – Odwrócił się, by pokazać, o co mu chodzi. – Ten materiał jest bardzo sztywny i szorstki. Zrobiony dla chłopów, którzy pracują w polu, prawda?

– Nie – zachichotała. – To ulubiony strój Amerykanów po pracy.

Zaczął rozpinać guziki, pragnąc jak najszybciej zrzucić z siebie spodnie.

– Francuzi nigdy by czegoś tak okropnego nie wymyślili – stwierdził z wymownym spojrzeniem.

Hope nie wytrzymała. Roześmiała się serdecznie. Łzy pociekły jej ze śmiechu. Tymczasem Armand wrócił zza skały, gdzie się przebierał.

– Śmiejesz się ze mnie, Hope? – spytał.

– Proszę! – Wyciągnęła ku niemu rękę. – Postaraj się zrozumieć. Wszyscy je noszą, we Francji również. Nie znałam twojego rozmiaru, dlatego kupiłam nie takie jak trzeba. Nie śmiałam się z ciebie, po prostu popatrzyłam na nasze ubranie twoimi oczami i stwierdziłam, że rzeczywiście jest śmieszne. Nie mam do ciebie pretensji, że nie chcesz tego nosić.

Obserwował ją w skupieniu, jakby się nąd czymś zastanawiał. Wreszcie i on się uśmiechnął.

– Już wiem – powiedział. – Ponieważ ty je nosisz, chciałaś, żebym ja też miał coś równie wygodnego. Ale widzisz, Hope, twoja figura o wiele lepiej nadaje się do takiego stroju niż moja. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę nadal nosił to, w czym się dobrze czuję. Mogę pracować swoje rzeczy w jeziorze.

– Masz rację – zgodziła się. – Może następnym razem uda mi się kupić właściwy rozmiar.

– Nie będzie następnego razu, Hope – zaprotestował. – Będę nosił to, co mam, i musi mi to wystarczyć.

– Dobrze – nie oponowała. Rzeczywiście, musi nienawidzić džinsów.

– A teraz obejrzyjmy resztę zakupów – zaproponował.

Zanim wszystko wypakowali, zrobiło się prawie ciemno. Rozbili namiot, napełnili lampę naftową i zawiesili ją na gałęzi.

– Zrobione. – Hope wytarła ręce o džinsy. – Teraz o wiele lepiej.

– Lepiej niż co? – zdziwił się Armand.

– Lepiej niż nic.

– Śpiwór to lepiej niż nic. Jest miękki.

– Śpiwór puchowy – dodała.

– Muszę się lepiej nauczyć angielskiego, prawda? To całkiem przypomina *couvrepied*, pierzyne, jaką mieliśmy w domu, tylko jest pokryta innym materiałem.

– To specjalna tkanina zwana nylonem – wyjaśniła. Wydawało jej się śmieszne i trochę żenujące zarazem objaśnianie czegoś, co od zawsze uważała za oczywiste. – Ale, ale, czy za twoich czasów we Francji były biblioteki? To znaczy miejsca, dokąd można było pójść i wypożyczyć książkę do czytania?

Potrząsnął głową.

– Tylko bogacze mogli sobie pozwolić na posiadanie biblioteki w domu. Zresztą po co biedni mieliby pożyczać książki? – Wzruszył ramionami. – Nie umieli przecież ani czytać, ani pisać.

– Teraz jest inaczej. Są drukarnie, w których co miesiąc drukuje się setki książek. W bibliotekach znajduje się większość z nich. W ten sposób ludzie mogą czytać wszystko, co ich interesuje.

– Teraz jest tak dużo książek? Ale po co? Aby żyć na tym świecie, nie potrzeba aż tak wielu informacji.

– W ten sposób każdy może przeczytać o tym, co go najbardziej interesuje. Mówię ci o tym, bo byłam dzisiaj w bibliotece i szukałam informacji przydatnych dla nas – powiedziała. – Znalazłam coś o duchach i zrobiłam notatki. I jestem jeszcze bardziej zdezorientowana, niż byłam.

– Dlaczego?

– Z tego, co przeczytałam, wynika, że są tysiące przyczyn, dla których duchy wracają na ziemię. Albo z powodu dozgonnej miłości, albo by dopełnić na przykład zemsty za zbrodnię przeciwko sobie. Albo też dlatego, że nie pochowano ich tak jak należy. – Starła się nie patrzeć na niego, utkwiała wzrok w notatki, mimo że znała je na pamięć.

– A co ty o tym wszystkim myślisz? – spytał, unosząc jej twarz w górę tak, by oczy ich mogły się spotkać.

– Sama nie wiem.

– Hm – uśmiechnął się z lekkim rozbawieniem. – Sądzę, że już za późno, by urządzić mi należyty pogrzeb. Nie wiem nawet, co moi mordercy ze mną zrobili.

Hope skrzywiła się.

– Faith też niema. Od czasu, gdy przysięgłaś, że nie jesteś Faith, a ja jestem pewien, że musiała zostać pochowana jak należy, uważam, że już za późno na niewygasłą miłość.

– Nie kpij sobie, Armandzie. Próbuję ci pomóc – Nie wiem, co jeszcze można zrobić – wzruszył ramionami. – Nic z tego nie rozumiem, ale na pewno nie możemy zmienić niektórych rzeczy. A więc proponuję, żebyśmy zmienili to, co możemy, i nie martwili się o resztę.

– Na przykład?

– Na przykład, moim pierwotnym celem był powrót do Port Huron i do Faith. Skoro nie mogę opuścić tej wyspy, nic nie zdziałam w tej sprawie. Ale skoro w kradzieży mego dobytku byli zamieszani trzej mężczyźni, być może moja obecność tutaj ma z tym coś wspólnego.

– Myślisz, że zamiast wrócić po Faith, wróciłeś z powodu tych trzech mężczyzn?

– *Oui* – przytaknął. – Zresztą, tkwię na tym samym wzgórzu, gdzie zostałem zabity, prawda?

– Tak – odparła z namysłem, zastanawiając się nad sensem jego słów. – A może wróciłeś, żeby odzyskać swój dobytek? O takiej ewentualności też wspomiano w książkach, które czytałam.

– Może.

– Albo... – zawahała się – może zablądziłeś w drodze do nieba.

– Do nieba? – Wzniósł oczy ku górze. Hope zachichotała nerwowo. Trochę to dziwaczne, siedzieć tak tutaj i rozmawiać o śmierci Armanda.

– Niebo. Pola Elizejskie, kraina szczęśliwych łowów, Walhalla. W jednym z artykułów pisano, że duchy tęsknią za tymi miejscami, ale coś im blokuje do nich dostęp.

– Interesujące. – Uniósł brwi. – Ale nic z tego nie wynika. W jaki sposób można duchowi pomóc w odnalezieniu drogi do jego nieba?

– Może seans spirytystyczny?

– Ach, Hope. To zwykle sztuczki. Nie wierzę, że ktoś to potrafi. Za moich czasów byli ludzie, którzy przysięgali, że umieją rozmawiać z umarłymi, ale to byli zwykli oszuści. Wyłudzali pieniądze od naiwnych, robiąc im fałszywe nadzieje.

– W porządku, a więc to odpada. Co dalej?

– Trzeba sprawdzić, czy istnieje jakaś informacja o tych mężczyznach. Przekonać się, czy oni ukradli moje rzeczy. To byłoby najsensowniejsze.

– Masz rację – uśmiechnęła się. Jak ktoś może z takim spokojem i obojętnością roztrząsać własną śmierć, a nawet kpić sobie z niej?

– Co jeszcze robiłaś w mieście? – dopytywał się, jak gdyby czytał w jej myślach.

– Przywiozłam ci coś do czytania. – Z jednej z toreb wyciągnęła kilka starych pism francuskich. – Znalazłam je w antykwariacie, myślę, że sprawią ci przyjemność.

Przekartkował jedno z nich, zatrzymując wzrok na słowach niemal tak często jak na zdjęciach samochodów, mody, biżuterii.

– Ten język przypomina francuski, ale jest jakiś inny – zauważył.

– Naprawdę? – Spojrzała mu przez ramię. – Rzeczywiście aż tak bardzo się zmienił?

– Myślę, że tak – bąknął, zerkając na reklamę zegarków. – To prawdziwy cud, że można nosić zegarek na ręce – zauważył.

– Och, to nic takiego – rzuciła od niechcenia. – Za parę lat będziemy pewno nosić na ręce telewizor.

– Co to takiego?

– Nieważne. – Odwróciła się i zabrała do wypakowywania pozostałych toreb. Z gałęzi na gałąź przeskoczyła sowa. Echo niosło w dal jej pohukiwanie.

– Opowiedz mi coś jeszcze – zażądał, rzucając pisma na śpiwór. – Będę czytał, gdy sobie pójdziesz.

– Dokąd to mam pójść? – Obejrzała się przez ramię, zdziwiona jego tonem. Było w nim zniecierpliwienie.

Stał z rękami opartymi o biodra, przechylony na bok.

– Do swego domu, oczywiście. Ale zanim pójdziesz, chcę wiedzieć coś więcej. Muszę wszystko zrozumieć.

Przysiadła na piętach.

– Ja też muszę wiedzieć parę rzeczy – powiedziała. – Kupiłam magnetofon. Chciałabym, żebyś mi opowiedział wszystko, co wiesz o trzech mężczyznach, którzy cię zaatakowali, a także o ojcu Faith. W ten sposób może uda mi się jakoś złożyć to wszystko w logiczną całość i pomóc ci w odnalezieniu powrotnej drogi do... tam, gdzie powinieneś się znajdować. Rozwiążemy tę zagadkę i pójdziesz swoją drogą.

– Skąd wiesz, że to się uda?

– Nie wiem, ale musimy spróbować. To jedyna szansa. – Spojrzała mu w oczy. – Być może Faith gdzieś na ciebie czeka.

– Myślisz, że to możliwe? – Utkwił wzrok w ciemności.

Podniosła głowę, zastanawiając się, dlaczego nagle stracił cały entuzjazm. Czyżby nie kochał Faith na tyle, by chcieć ją odnaleźć? Musiał zauważyć zmieszanie na jej twarzy, bo zmienił ton.

– Po prostu zastanawiam się, czy Faith chce, żebym ją odnalazł – wyjaśnił. – Może jestem tu dlatego, że nie kochała mnie dostatecznie mocno?

– Nie trać nadziei – pocieszyła go Hope, zanim uświadomiła sobie sens tych słów. Szybko zamachała ręką, jakby chciała je wymazać. – Mniejsza o to. Porozmawiamy na ten temat później. – Wstała, szykując się do odejścia. Poprzedniej nocy prawie nie spała, a dzień był bardzo wyczerpujący. Nie odzyskała przecież jeszcze w pełni sił. Zapięła kurtkę, bojąc się, że zmarznie.

Ciemnobłękitne oczy przeszywały ją na wylot.

– Jestem głodny – oświadczył, jak gdyby na te słowa miał się przed nim pojawić czarodziejski stolik.

Zaniemówiła. W końcu ten mężczyzna jest w stanie sam się nakarmić.

– Świetnie. A więc w tej torbie masz pieczonego kurczaka, kukurydzę, puree ziemniaczane i herbatniki. Obsłuż się sam.

– Ty już idziesz?

– Tak. – Odwróciła się ku ścieżce prowadzącej w dół zbocza. – Jestem zmęczona. Dobranoc.

– Nie boisz się tam sama spać? – spytał, pochylając się nad nią.

Zwróciła ku niemu twarz. Zobaczyła lekki uśmiezek błakający się w kącikach ust.

– A niby czego? Duch jest tutaj – unieruchomiony.

– Są gorsze rzeczy niż duchy, moja Hope. Powinnaś nocować tutaj, mógłbym cię chronić.

– Nie potrzebuję ochrony.

– A gdybyś jej nagle potrzebowała? Nie będę w stanie przedostać się do ciebie. – Uniósł brwi.

– Niewidoczna ściana, nie pamiętasz?

– Bardzo dobrze pamiętam. Zobaczymy się jutro – dodała, odrzucając jego propozycję. – Będę nagrywać naszą rozmowę, przygotuj się na to.

– Dobranoc, moja Hope. – Usłyszała w jego głosie jakiś dwuznaczny ton.

– Dobranoc. – Pomachała ręką i poszła w kierunku domu.

Nie minęła jeszcze północ, gdy uświadomiła sobie, że miał rację. Powinna była zostać na wzgórzu razem z nim, jej dom i jej łóżko były najbardziej pustymi miejscami na świecie...

Następnego ranka Armand stał tuż pod szczytem wzgórza i czekał, aż pojawi się Hope. Oparł się o pień najwyższej sosny, wpatrując się w mały piętrowy dom w dole. Na ile mógł zobaczyć z tego miejsca, nie różnił się on wiele od drewnianych domów w stylu rustykalnym, jakie widział w Montrealu, Nowym Jorku, Bostonie czy w którymkolwiek z rozrastających się miast Nowego Świata.

Z jednym wyjątkiem: w tym domu mieszkała jego Hope.

Dobrze spał tej nocy. Namiot chronił go przed wiatrem, śpiwór przed chłodem. Próbował czytać magazyny, które zostawiła Hope, tak długo, aż powieki same mu opadły. Różne myśli kłębiły mu się w głowie, ale jedna powracała niezmiennie. Kochał Faith z całego serca. Nic nie było w stanie zmienić tej miłości. Aby mógł czuć do Hope to, co czuł do Faith, musiałaby przyciągać go czymś więcej niż samym wyglądem. Nie wiedział, co by to mogło być.

Gdzie ona teraz jest? Obiecała, że wróci rano. Świadomość, że nie może do niej pójść, ciążyła mu coraz bardziej. Niewidoczna ściana, jaka wyrastała przed nim, zamykała go jak w więzieniu, skuteczniej niż wszelkie zapory i przeszkody. Był więźniem i nie mógł się uwolnić. Owszem, próbował. Cały poprzedni dzień zmagał się z tą ścianą, walił w nią, kopał, nawet zanurkował w jeziorze w poszukiwaniu jakiegoś otworu. Wszystko na nic.

Zacisnął pięści ze złości. Do diabła! Czy ona nie wie, że na nią czeka, że chce ją zobaczyć, śmiać się z nią, być na nią zły?

Podniósł z ziemi kamień i cisnął w kierunku domu, licząc, że uderzy w tę przeklętą ścianę. Na próżno.

Podniósł następny, ważył go przez chwilę w dłoni, wreszcie rzucił. Kamień wylądował tuż przed progiem domu, potoczył się i zatrzymał przy samych drzwiach.

Rzucił jeszcze jeden. I jeszcze jeden. I jeszcze. Jeśli kamienie mogły przejść przez tę barierę, to czemu on nie może? Czyżby nie był dostatecznie szybki? Może właśnie w szybkości kryje się cała tajemnica.

Ściągnął but i rzucił go z całej siły w kierunku domu. Upadł na podwórze tuż przy schodach. Armand krzyknął z radości, aż odpowiedziało mu echo.

Stojąc plecami do zbocza, nie spuszczał wzroku z sosny rosnącej w miejscu, w którym zaczynała się ściana. Serce biło mu mocno na samą myśl o tym, że może ją przebije i znajdzie się obok Hope. Skoczył z rozbiegu, rzucając się całym ciałem naprzód i popędził na złamanie karku w dół. W momencie, gdy usłyszał trzask otwieranych tylnych drzwi, uderzył o ścianę.

Hope serce podeszło do gardła, gdy ujrzała Armanda rzucającego się w sprinterskim tempie na ścianę. Wstrzymała oddech, gdy upadł na ziemię i leżał bez ruchu w miejscu, które zaznaczyli przedtem jako granicę, nie pozwalającą mu zejść ze wzgórza.

Schodząc pospiesznie ze schodów, potknęła się o coś, spojrzała w dół i zobaczyła zakurzony kawałek skóry. But Armanda.

Porwała go i najszybciej jak mogła pobiegła ku zbocz. Przeszła przez niewidoczną ścianę i uklękła obok Armanda, odruchowo dotykając tętna na jego szyi.

Czuła pod palcami mocne i równomierne uderzenia, przeczące twierdzeniu, że duchy nie żyją. Gęste ciemne rzęsy, za które niejedna dziewczyna dałaby się zabić, harmonizowały z opalenizną jego policzków.

Usiadła na ziemi, opierając brodę o kolana i czekała, aż Armand odzyska przytomność. Oczywiście, ten uparciuch próbował pokonać granicę swoich możliwości, ale na nic się to zdało. Arogant, zuchwalec, przystojniak.

Wyciągnęła ukradkiem rękę, by dotknąć jego włosów. Były takie, jak się spodziewała. Przesunęła dłoń w dół i dotknęła bokobrodów. Zauważyła, że jego włosy, które na ogół związywał z tyłu, a teraz miał rozpuszczone, były bujniejsze niż włosy niejednej kobiety. Przejechała po nich palcami, rozkoszowała się ich dotykiem, gładziła je, pieściła. Przegubem dotknęła jego karku, przesunęła dłonią w dół, zatrzymując ją w miejscu, gdzie zaczynało się ramię. Czuła pod palcami wspaniale napięte mięśnie.

Nagle spostrzegła, że Armand ma oczy otwarte i patrzy prosto w jej twarz, tak jak ona na jego ciało. Znieruchomiła.

– Jeszcze, jeszcze, *mapetite* – wyszeptał zmysłowo.

– O, już oprzytomniałeś – prychnęła. – Dobrze się czujesz?

– Tak sobie. Boli mnie ramię. – Cofnęła rękę jak oparzona. – Nie to, drugie.

– Och.

– Czy wyglądam jak zaczarowany książę, o którym opowiadała mi bajki moja *grandmerel* – Mówił zniżonym, ciepłym, namiętym głosem, który przykuwał ją do miejsca.

– Tak – wykrztusiła.

– Czy to znaczy, że zostanę obudzony pocałunkiem?

– Przecież ty już się obudziłeś!

– A więc znowu zasną i będę spał, dopóki mnie nie pocałujesz. – Zamknął oczy.

– To sobie poczekasz – powiedziała to głośniej, niż należało, aby przerwać intymny nastrój, jaki wytworzył się między nimi. Nawet nie drgnęła mu powieka.

Czekała.

Wreszcie pochyliła się, by przyjrzeć się jego twarzy. Wargi jej drżały, gdy musnęła jego usta. Był taki silny i ciepły, i bardzo, bardzo pociągający. Jeszcze raz musnęła jego usta, i jeszcze raz.

Chwyił ją w ramiona i przyciągnął do siebie, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Poczula na wargach jego język, gwałtownie się czegoś domagający. Pragnęła jego pocałunków, były jej potrzebne jak powietrze.

Czuła, jak unosi się i opada jego potężna pierś, słyszała bicie jego serca, z każdą minutą silniejsze. Wiedziała jednak, że w każdej chwili może wyrwać się z jego objęć, a on nie będzie jej powstrzymywał.

Mimo to została, uwięziona w jego silnych ramionach. Wydawało się, że znają lepiej niż ona siebie. Zna jej ciało, jej zdradzieckie, zmysłowe ciało. Jęknęła, gdy jedną dłonią ujął jej pierś jak coś najbardziej delikatnego i cennego.

Jego usta powędrowały w kierunku szyi. Później pochylił głowę niżej i zaczął lekko skubać zębami jej ramię.

Z trudem łapała oddech. W głowie jej się kręciło, serce waliło jak oszalałe. Wpiła się palcami w jego ramiona, jakby potrzebowała kotwicy na wzburzonym morzu. Przesunęła dłonie niżej, chciała czuć napięte mięśnie jego piersi.

– *Mon amour* – wyszeptał głosem wezbrany pożądaniem. Wdychał jej zapach, mieszaninę kwiatów i mydła i czegoś nieuchwytnego, a tylko jej właściwego. – Moja kochana.

Zadrżała i cofnęła się.

– Mój Boże – westchnęła, odgarniając z twarzy włosy i omijając wzrokiem jego oczy. – Nigdy nie przypuszczałam, że będę cucić ducha metodą usta-usta – zaśmiała się.

– Co? – Zmarszczył brwi, wciąż jeszcze lekko trzymając ją za ramiona.

– Mniejsza o to – powiedziała pospiesznie. Nie mogła zebrać myśli. Odsunęła się nieco dalej i zaczęła bawić się włosami, żeby ukryć drżenie dłoni.

– Fai... – przerwał, gdy zobaczył ból w jej oczach.

– Hope – poprawił się, znów biorąc ją w ramiona.

– Powiedz mi, co to jest.

Wstała i spojrzała na niego z góry.

– Włóż buty i spotkamy się na szczycie wzgórza. Czeka nas dużo pracy, jeśli mamy kiedykolwiek doprowadzić cię tam, gdzie powinieneś być, z Faith. Będę z powrotem za parę minut. – Odwróciła się i pobiegła w dół, jak gdyby spodziewała się, że za nią podąży.

Ale on nie mógł tego zrobić i czuł coraz większą udrękę.

ROZDZIAŁ 5

Hope położyła na trawie magnetofon i usiadła po turecku.

– Wszystko gotowe – zaczęła. – Będę ci zadawała pytania, a ty będziesz odpowiadał. Każdy szczegół, nawet błahy, może się okazać ważny. A więc niczego nie ukrywaj.

Jego uwodzicielski uśmiech spowodował, że szybko straciła dziennikarski dystans. Poczła znajomy skurcz w żołądku.

– Teraz, gdy już wiem, do czego służy to urządzenie, chętnie wyświadczę ci tę przysługę – odparł. – Cieszy mnie myśl, że będziesz słuchała mego głosu, nawet gdy będziesz daleko ode mnie.

– Typowy mężczyzna – mruknęła pod nosem Hope. Włączyła magnetofon, starając się skupić na nim całą uwagę. – A więc zaczynamy. Gdzie urodziła się Faith?

– W Anglii, a wychowywała się w Nowym Jorku. Jej ojciec służył w armii brytyjskiej, ostatnio stacjonował w forcie nad jeziorem Huron. Gdy zmarła jej matka, Faith przyjechała do niego z Montrealu przez Sault Ste. Marie. Towarzyszyły jej dwie kobiety, służące.

– Na co zmarła jej matka? – Hope starała się, by jej głos brzmiał rzeczowo, jak gdyby przeprowadzała wywiad z kimś obcym. Życzyłaby sobie tylko, żeby jej puls nie bił tak mocno.

– Nie wiem dokładnie. Całe życie chorowała. Mimo to kapitan Trevor sprowadził ją do tego barbarzyńskiego kraju i zostawił w Nowym Jorku z dwunastoletnią Faith, chociaż błagała go, by pozwolił jej umrzeć w Anglii. On jednak uważał, że lepiej będzie mieć ją tutaj, aby w ten sposób zademonstrować jedność rodziny i móc podejmować oficerów brytyjskich z żonami. Powinien był pozostawić ją w Anglii, a przyjechać do Nowego Jorku i Port Huron sam. – Na twarzy Armanda malowała się niechęć i dezaprobata dla tego mężczyzny.

– Ile lat miała Faith, gdy zmarła jej matka?

– Szesnaście.

– A gdy ją poznałeś?

– Tyle samo. Poznaliśmy się następnego dnia po jej przyjeździe do Port Huron. Udawałem, że jestem francuskim traperem, dopóki nie dotarłem na terytorium zajęte przez Francję. Mundur tylko by mi przeszkadzał. Te brytyjskie psy potrafią podstępnie zaatakować Francuza nocą i nie przynosi im to wcale ujmy.

– Szesnaście? – powtórzyła, zapamiętując tylko to jedno. – Zakochałeś się w szesnastoletniej dziewczynie? – spytała z niedowierzaniem. – Ile ty miałeś lat?

– Mam trzydzieści jeden – odparł.

– Trzydziestojednoletni zmęczony życiem żołnierz zakochany w chichoczącej nastolatce? – Hope zapomniała, że magnetofon jest włączony, że miała przeprowadzać wywiad i zachowywać obiektywizm. Górę wzięły emocje.

– Tak – przyznał z zakłopotaniem.

– Nie wierzę – rzuciła zde gustowana. – To wręcz niesmaczne.

– Jak to? – zdziwił się, zaintrygowany i urażony zarazem.

Hope przerwała, uświadamiając sobie, że nie rozmawia ze współczesnym mężczyzną.

– Przecież Faith była prawie dzieckiem – próbowała tłumaczyć nieco łagodniejszym tonem, nie zwracając uwagi na bolesne ukłucie, jakie przeszło jej serce, gdy wyobraziła sobie Armanda z tą nastolatką.

– Nie – zaoponował z całym przekonaniem. – Faith była kobietą, urodzoną i wychowaną do roli żony i matki. Miała wyjść za mąż za brytyjskiego oficera, którego ojciec dla niej wybrał. Ponieważ matka była chora, nauczyła się gotować, prac, sprzątać, szyć, była już zdolna zajmować się mężem i dziećmi. Została bardzo dobrze przygotowana do swej przyszłej roli. Co w tym złego?

– Byłeś dla niej za stary – wykrzyknęła Hope. – To było prawie dziecko.

– Nie – potrząsnął głową. – Była kobietą. Mogła już współżyć z mężczyzną, mogła rodzić dzieci. Co innego miałyby robić? Zostać guwernantką u obcych ludzi? – Znowu potrząsnął głową. – Nie, ona była w sam raz dla mnie. Byłem gotów ustabilizować się i przejąć odpowiedzialność za rodzinę, a ona była w odpowiednim wieku, by dać mi tyle dzieci, ile chciałbym mieć. – Popatrzył w dal ponad ramieniem Hope, w jego oczach malował się ból.

– Większość kobiet, jakie znam, wychodzi za mąż między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. Tylko w ten sposób mężczyzna może zapewnić ciągłość swego rodu. Kobieta w tym wieku jest najlepszym materiałem na żonę. Mężczyzna musi mieć jakąś pozycję, aby mógł sobie pozwolić na żonę, i dlatego żenimy się w późniejszym wieku. Kobiety są wcześniej gotowe do małżeństwa.

– Były – wtrąciła mimochodem Hope, przetrawiając w duchu tę informację. Czytała dostatecznie dużo książek historycznych, by rozumieć, o czym mówi, ale słuchanie go to zupełnie co innego.

– Były – powtórzył ze smutkiem. Poglaskał jej rękę, dotknął kolana.

– Opowiedz mi, jak to jest w twoich czasach. Kiedy wy wychodzicie za mąż?

– Kiedy... – zawahała się, zdając sobie sprawę, że pewne rzeczy wcale się tak bardzo nie zmieniły. Przełknęła ślinę. – Kiedy jesteśmy zakochane – dokończyła. – Niektóre kobiety wychodzą za mąż wcześniej, ale na ogół za młodych mężczyzn. Większość kobiet, jakie znam, studiuje, a później jeszcze stara się zdobyć dobrą pozycję zawodową. Wychodzą za mąż w wieku dwudziestu czterech, pięciu lat. – Popatrzyła na palce dotykające jej dłoni.

– Twój świat jest całkiem inny. – Uniósł brwi, zastanawiając się przez chwilę nad tym, co usłyszał.

Magnetofon zatrzymał się. Przed przełożeniem taśmy na drugą stronę Hope chciała sprawdzić nagranie. Cofnęła kawałek taśmy, przez chwilę panowała cisza, później usłyszała swój głos. Potem znowu nic. Spróbowała jeszcze raz. I jeszcze raz. Ani jedno słowo Armanda nie utrwaliło się na taśmie.

Łzy napłynęły jej do oczu. Ścisnęła w rękę magnetofon tak mocno, jakby go chciała rozgnieść.

– O co chodzi? – Armand przykrył jej dłonie swoimi. – Powiedz mi, proszę, co się stało?

– Jesteś duchem – stwierdziła.

– Tak – wykrztusił.

– Autentycznym duchem. Nie ulega wątpliwości.

– Tak.

– Przykro mi, strasznie mi przykro – powiedziała zdławionym głosem. Nerwy odmawiały jej posłuszeństwa. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak bardzo bliski stał się jej Armand.

– Przecież wiedziałas o tym. Dlaczego więc jesteś taka zaskoczona i jest ci przykro? – Wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach. Jego dotyk sprawił jej jeszcze większy ból.

– Wiedziałam, ale nie wierzyłam. – Pociągnęła nosem. – W głębi duszy myślałam, że to jakaś zagadka, na którą znajdziemy odpowiedź, i że się okaże, iż wcale nie jesteś duchem, tylko mężczyzną jak każdy inny.

– A nie mogę być i jednym, i drugim? – Ujął ją za podbródek i podniósł jej twarz ku swojej. – Czyż nie jestem i jednym, i drugim? – spytał ciepło.

– Ale przecież ty nie żyjesz – wykrzyknęła. Wargi jej drżały, po policzkach płynęły łzy. W głosie słyhać było rozczarowanie i rozżalenie jak u małej dziewczynki. A co gorsza, bała się. – Zawsze mnie uczono, że gdy człowiek umiera, jest już poza wszelkim cierpieniem i na skrzydłach aniołów unosi się do nieba.

– Jestem pewny, że na ogół tak to się właśnie odbywa. Ale są ludzie... – Wzruszył ramionami, a jego ciemnobłękitne oczy zasnuła mgła, którą starał się ukryć wymuszonym uśmiechem. – Są ludzie, którzy muszą czekać, aż jakaś piękna młoda kobieta pomoże im znaleźć drogę ku wieczności.

Hope otarła dłonią mokry policzek. Oczywiście, że on ma rację. Wiedziała o tym, ale nie dopuszczała do siebie tej myśli. Wbrew prawdzie chciała, by to był mężczyzna z krwi i kości, ale rzeczywistość podstępnie odarła ją z marzeń.

Płakała więc z żalu za utraconymi złudzeniami, bo tak bardzo pragnęła, aby marzenia okazały się realne...

Armand objął ją silnym, muskularnym ramieniem i przycisnął do siebie. Przytuliła głowę do jego piersi. Szeptał słowa, których nie rozumiała, ale których znaczenie było dla niej oczywiste.

Stopniowo opadało z niej napięcie. Podniosła dłoń i ujęła go za podbródek, tak jak on zwykł robić.

– Jesteś nadzwyczajny, panie duchu – stwierdziła.

– Ty też, moja bardzo nowoczesna kobieto.

– I masz rację. Jesteś również mężczyzną. Bardzo silnym mężczyzną.

– Który reaguje jak należy, gdy trzyma piękną kobietę w ramionach – dodał ze smutnym uśmiechem.

– Dotknij mnie – wyszeptała, patrząc mu w oczy.

– Gdzie? – spytał, kładąc delikatnie dłoń na jej piersi. – Tutaj? – Przesunął rękę wzdłuż jej żeber i brzucha i oparł na udzie. – A może tutaj?

Opuściła powieki. Pochylił głowę i dotknął ustami jej warg. Delikatnie muskał je, prosząc, by rozchyliła usta. Poddała się pieścizocie, odpowiedziała mu tak, jak tego pragnął. Poczwała koniuszek jego języka na swoich zębach. Dotknęła go czubkiem języka. Całe jej ciało reagowało na jego bliskość, chłonec rozkosz, jaką sprawiały jego pieścizoty. Objął ją mocniej, a ona wtuliła się w niego, spokojna i bezpieczna w silnych ramionach.

– Jak dobrze – szepnął, odrywając wreszcie od niej usta. – Dotknij mnie. Popieść. Spraw, bym znów poczuł się prawdziwym mężczyzną – prosił.

Błądziła rękami po jego naprężonych mięśniach, szarpała koszulę wciśniętą w spodnie, dotykała jego ciała, jak gdyby chciała samą siebie upewnić, że on tu jest przy niej. Wreszcie rozpięła koszulę, ściągnęła ją z niego i odrzuciła w bok na trawę. Nie myliła się. Jego pierś pokrywał gęsty, kręcony czarny zarost.

Ręce mu drżały, gdy rozpiął guziki jej bluzki, aż wreszcie ukazały się nagie piersi.

– Uhm – wymruczał, wdychając zapach jej ciała. Językiem dotykał sutek, pieściząc je namiętnie.

Rozpięła dżinsy i wyciągnęła rękę w kierunku jego spodni. Nagle poczuli, że potrzebują siebie bardziej, niż przypuszczali. Zapomnieli o wszystkim, co ich otaczało, zagłębili się w siebie, rozkoszowali się swoim dotykiem, zapachem, oddechem. Swoją miłością.

Zespolili się w jedność. Słyszeć było jedynie ich westchnienia. Hope poczuła niewypowiedzianą słodycz, jakiej nie przeżywała nigdy przedtem. Pragnęła poddać się jej całkowicie. Poruszali się teraz w zgodnym rytmie, przesuając dłonie wzdłuż swoich ramion, piersi, pośladków, aż Hope zadrżała z rozkoszy.

Gdy osiągnęła szczyt miłosnej ekstazy, rozwarła szeroko oczy i zatopiła wzrok w oczach Armanda. Krzyknęła głośno. Skulona w jego ramionach, pragnęła zatrzymać tę chwilę jak najdłużej. Nie chciała wracać do rzeczywistości.

– Dobrze ci? – spytał, głaszcząc ją czule po włosach.

Uśmiech radości i niewymownego zadowolenia pojawił się na jej twarzy, znowu przymknęła oczy.

– O, tak – westchnęła.

– Naprawdę? – dopytywał się dalej.

– Tak, przecież widzisz.

– Jesteś szczęśliwa? – ciągnął, najwyraźniej na coś czekając.

– O, tak – westchnęła znowu, wysuwając ku niemu usta.

– Chciałabyś jeszcze raz spróbować? – spytał, pochylając się nad nią.

– Czego? – udawała, że nie rozumie.

– Pytałem, czy chciałabyś jeszcze raz spróbować – powtórzył cierpliwie.

– Dlaczego?

– Aby doprowadzić do perfekcji to, co przed chwilą robiliśmy – wyjaśnił z udaną powagą. Spojrzała w jego oczy i dostrzegła w nich figlarne błyski.

– Uważam, że to było perfekcyjne – powiedziała.

– Czyżby? Masz dużą skalę porównawczą? – zdziwił się.

Wiedziała, do czego zmierza. Ale nie zamierzała mu się tłumaczyć.

– Perfekcyjność nie wymaga porównań. Po prostu jest i już.

Ciszę, jaka zapadła po jej słowach, wypełniły odgłosy lasu. Gdzieś znad jeziora dochodziło tęskne nawoływanie jakiegoś ptaka. Odpowiedział mu inny. Wiatr lekko poruszał gałęziami drzew. O brzeg z cichym pluskiem uderzały fale.

– Hope – zaczął.

– Słucham, mój duchu – wyszeptała z twarzą wtuloną w jego pierś.

– Chciałbym jeszcze raz spróbować – nalegał łagodnie, ale stanowczo. – A ty?

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Ja też. Bardzo – przyznała. I kochali się znowu.

Gdy późnym popołudniem słońce zaczęło chylić się za drzewa, zmieniając kolor nieba z błękitnego na złocisty, leżeli obok siebie zatopieni w rozmowie.

Opowiadał jej o swoim życiu w posiadłości w pobliżu Nicei we Francji. Pochodził z wysokiego rodu. Jego rodzice byli bardzo bogaci. Starszy brat był znanym uwodzicielem, który hojnie obdarzał swymi względami wszystkie dziewczęta i kobiety w okolicy. Gdy wreszcie rodzice młodych panienek głośno zaprotestowali, opuścił rodzinne strony, dołączając do grupy młodych mężczyzn, którzy udawali się do Nowego Świata, by zdobywać futra.

– A później?

– Później mój ojciec zmarł.

Pogładziła go po policzku, okazując w ten sposób współczucie. To wszystko, o czym mówił, wydarzyło się ponad dwieście lat temu, ale dla niego było to zaledwie parę lat.

– Ojciec często chorował, ale żaden z nas nie zdawał sobie sprawy, jak poważnie. Pewnego dnia pochylił się nad biurkiem, oparł głowę na rękach i umarł. – Armand pogłaskał Hope po włosach, rozkoszując się ich jedwabistym dotykiem. – Francois powinien przejąć obowiązki głowy rodziny, ale ten dureń przebywał za daleko, aby można się było z nim skontaktować. W tym samym czasie Francja pozwoliła, by terytoria północnozachodnie wymknęły jej się z rąk. Brytyjczycy wdali się z nami w wojnę i zaczęli zwyciężać.

Westchnął.

– Ponieważ nasza rodzina była znana na dworze królewskim – ciągnął dalej – pozwolono, bym pojechał do kolonii i relacjonował konflikt francusko-brytyjski. Jednocześnie mogłem szukać brata, by odesłać go do domu.

– Znalazłeś go? – zainteresowała się Hope.

– Tak – westchnął znowu. – Los zrządził, że odnalazłem go w Fort Charles nad jeziorem o nazwie Lac du Bois, według ciebie z pewnością Lake of the Woods. Gdy go spotkałem, był ubrany w skóry i miał młodą żonę. Pochodziła ze szczepu Odżibwejów. Młoda, piękna i bardzo w nim zakochana.

– Jak się nazywała?

– Szum Wody.

Hope podniosła na niego pytający wzrok.

– Myślę, że to imię miało jakieś znaczenie tylko dla jej szczepu – uśmiechnął się. – Nikt nie zamierzał mi tego wyjaśniać. Francois powiedział, że poślubił ją sześć miesięcy wcześniej i że nosi jego dziecko. Nie był zachwycony moim widokiem, ponieważ zima dobiegała końca i właśnie zamierzał wyprawiać skóry. Szum Wody miała mu pomagać.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie miał ochoty wrócić do domu i zostać księciem?

– Właśnie – przytaknął. – Był zachwycony wolnością, jaką znalazł w tym dzikim kraju, i nie interesował go majątek pozostawiony we Francji. Wymagałby od niego znacznie więcej pracy niż wszystko, co dotychczas robił, ze zdobywaniem futer włącznie. Zresztą wiedział, że we Francji nie zaakceptowano by jego żony. Za bardzo się już zmienił, by wracać do kraju.

– A co z jego żoną? Jeśli była w ciąży, dlaczego nie została w forcie?

– Ponieważ sama byłaby bezbronna wobec innych mężczyzn. Nie chciała go opuszczać, chyba że zażądałby tego. A on by tego nie zrobił.

– Podobała ci się?

Zmrużył oczy, domyślając się ukrytego sensu tego pytania.

– Była urocza. Cóż, wtedy wszystkie panie były urocze. Ale tylko jedna zwróciła naprawdę moją uwagę w czasie tamtej podróży. Na balu otwierającym sezon zjawiała się w jasnozielonej sukni, kasztanowe włosy miała upięte na czubku głowy. Wyglądała jak królowa, ale jej piwne oczy mówiły mi, że jest zdecydowana i potrafi bronić swego zdania.

– Faith – domyśliła się Hope.

– Ty – odparł. – Nie wiem, dlaczego tutaj jestem, ani dlaczego ty, ale wiem, że byliśmy tu już przedtem. Możesz to nazwać zrzędzeniem losu lub przeznaczeniem. Jak chcesz. To bez znaczenia. Wiem jednak, że byliśmy razem. Nasze usta mogą kłamać, ale serca nie. – Mówił to z takim przekonaniem, że przez krótką chwilę mu wierzyła. Tylko przez krótką chwilę.

– Armandzie, bardzo cię lubię – zwróciła się do niego – ale nie wierzę w przeznaczenie. Uważam, że to tylko jakaś chytra sztuczka.

Poczuła, jak jego mięśnie się napinają. Zesztywniał.

– Mów sobie, co chcesz. Ja wiem swoje – upierał się.

– Ty szowinisto, ty despoto...

Chwycił mocniej jej włosy i skierował jej usta ku swoim.

– *Oui, ma chérie*, jestem nim. I nawet czymś więcej – zgodził się, dotykając wargami jej ust. Pocałunek był jedynym sposobem, by ją uspokoić. – Nie będziemy więcej na ten temat dyskutować – oświadczył, kładąc się na ziemi. – Nasze poglądy i tak są różne. Szkoda czasu na rozmowy.

– Mój pan i władca zdecydował – powiedziała cierpko.

– Otóż to – przytaknął, jak gdyby była to oczywista prawda.

Gdy zapadł zmierzch, Hope przygotowała Armandowi kurczaka, który został z poprzedniego dnia.

– A kto to jest pułkownik Sanders? O co on walczył? – Armand wpatrywał się w obrazek na kartonowym pudełku po kurczaku.

– Nikt, o kim bym mogła coś powiedzieć. Po prostu jakiś dżentelmen z Południa, który wymyślił specjalny pokarm dla swoich kur. Tytuł nadali mu przyjaciele jako wyraz uznania.

– I on gotuje te kurczaki i sprzedaje? – Ugryzł kawałek udka.

– Prawdopodobnie istnieją setki farm drobiarskich – wyjaśniła. – A poza tym, pułkownik chyba już nie żyje.

– To kto prowadzi jego interes? Żona? Musiała się roześmiać. Armand wciąż jeszcze nie pojmował zmian, jakie zaszły od czasu, gdy chodził po tej ziemi.

– Nie, ona chyba też już nie żyje – dodała Hope.

– Zebrało się jednak parę osób, założyli spółkę i teraz to jest ogromne przedsięwzięcie sięgające od wybrzeża do wybrzeża.

– A więc w tym kraju jest i drugie wybrzeże – powiedział Armand. – Tak też przypuszczałem.

– Owszem, ale przez tak zwany korytarz północnozachodni nie można się tam dostać. – Sięgnęła do torby i wyjęła mały atlas. Znalazła kontynent północnoamerykański i pokazała mu mapę. – Widzisz? Dopóki nie zbudowaliśmy Kanału Panamskiego, jedyna droga na wybrzeże zachodnie prowadziła w poprzek lądu lub dokoła Hornu – tłumaczyła, wiodąc palcem po mapie.

– To ta ziemia należy do Ameryki? – spytał, wskazując Stany Zjednoczone.

– Tak.

Nagle zasypał ją pytaniami. Z rozczeniem obserwowała jego zachwyty i niedowierzanie zarazem.

– To Francja straciła wszystkie swoje posiadłości na tym kontynencie! I zobacz, jaka mała jest Austria. Zdumiewające. Powiedz mi coś więcej o tym ogromnym kraju – prosił.

Opowiadała mu o samolotach i pociągach, o ciągnikach i samochodach. Objaśniała system autostrad. Wreszcie doszła do jego ulubionego tematu, jedzenia, opowiadając o barach szybkiej obsługi, które działają w całym kraju. Opisywała francuskie restauracje w Nowym Jorku i amerykańskie w Paryżu, a nawet w Londynie. Wydawał się pewny, że Francuzi są we wszystkim najlepsi.

Rozmawiali o polityce, ale Hope orientowała się tylko w sytuacji obecnej, a on znał tylko przeszłość, trudno więc im było znaleźć wspólny język.

Gawędzili trochę o modzie, jaką prezentowano w ilustrowanych magazynach, o krojach męskich garniturów, o tkaninach i wzorach ubiorów kobiecych. Tylko biżuteria nie zmieniała się tak bardzo w ciągu stuleci.

Z każdym poruszonym tematem jego oczy stawały się coraz smutniejsze, a nastrój Hope się pogarszał. Tyle minionych bezpowrotnie lat!

– Myślę, że nie będę miał dostatecznie dużo czasu, by ogarnąć wszystkie zmiany, jakie zaszły na świecie – powiedział bardziej do siebie niż do niej.

Opierali się plecami o duży blok skalny. Patrzyli na drzewa nad jeziorem, którego woda mieniła się czerwienią, żółcią i głębokim błękitem. Obserwował zachód słońca, ale Hope wiedziała, że myślami był gdzie indziej.

– Pomóż mi, Hope – poprosił. – Pomóż mi odnaleźć samego siebie.

W tym wyznaniu zabrzmiał głęboki smutek.

– Pomogę – zapewniła, dotykając lekko jego uda. – Zaczniemy dziś wieczorem. Zamiast nagrywać, wezmę notes i będę wszystko zapisywała. Uda się, zobaczysz. – Powiedziała to tak szczerze, z takim przekonaniem, że musiał się uśmiechnąć. – A rano spróbujemy odnaleźć kuferek – dodała.

– Jesteś nadzwyczajną kobietą – zauważył z zachwytem.

– Prawda? Też tak myślę – rzuciła żartem.

– A teraz zaczynajmy – zdecydował.

Hope westchnęła z rezygnacją. Może ona jest nadzwyczajna, za to on jest z całą pewnością arogancki i pewny siebie za nich dwoje.

Następnego ranka Hope spała dłużej niż zwykle. Zmęczyło ją kompletowanie informacji o Armandzie i Faith. Było już koło północy, gdy Armand zdecydował, że potrzebuje następnej lekcji miłości bardzo nowoczesnej kobiety. Zaczęło się od śmiechu, a skończyło na dreszczu rozkoszy, jaki ogarnął ich ciała. Później zasnęła wtulona w jego ramiona.

– Czas wstawać, Hope – powiedział cicho, delikatnie dmuchając w jej ucho.

– Zaraz – broniła się.

– Nie. Już. Mam do ciebie tysiące pytań. – Znowu zbliżył usta do jej warg.

Usiadła, z trudem otwierając oczy. On domagał się kolejnej lekcji historii, a ona marzyła tylko o tym, by jeszcze pospać. Uśmiechnęła się niewyraźnie. Nie, to nie do końca prawda. Marzyła o tym, by znowu się z nim kochać, tak wspaniale i namiętnie jak ostatniej nocy.

Armand zmrużył oczy. Patrzył na nią przenikliwie, czytając w jej myślach. Najwyraźniej podobało mu się to, czego się domyślił.

Nagle ocknęła się. Przecież dziś mieli szukać kufereka. Odpowiedziała na jego nieme pytanie.

– Najpierw praca. Przekonajmy się, czy zdołamy rozwikłać zagadkę Armanda Santeuila – powiedziała.

W końcu zabrali się do dzieła. Znaleźli łopatę i Armand zaczął kopać. Orientował się mniej więcej, gdzie może być kuferek. Hope siedziała na trawie, studiując notatki. Jedyna rzecz, jaką mogli teraz zrobić, to znaleźć jego dobytek. Kuferek stanowił punkt wyjścia do wszelkich dalszych działań.

W trzy godziny później on był zmęczony, a ona sfrustrowana.

– Na pewno go znaleźli – westchnęła. – To jedyne wyjaśnienie.

Armand otarł pot z czoła i oparł się na łopacie.

– Niekoniecznie, *ma petite* – zauważył.

– Ależ tak. Skopałeś taki kawał ziemi i nic.

– A może ziemia trochę się obsunęła? Przecież od czasu mojej ostatniej wizyty wszystko tutaj bardzo się zmieniło. Może to nie jest dokładnie to miejsce. Albo ja nie potrafię go już znaleźć. Może ty musisz to zrobić?

– Sama nie wiem – zawahała się Hope. – W tej okolicy nie ma wstrząsów tektonicznych. Ale kuferek mógł się przesunąć, podobnie jak przesuwiają się kamienie... – zamyśliła się. – Sądziysz, że to możliwe?

– Wszystko jest możliwe. Nie mamy odpowiednich narzędzi, nie znamy się na tym.

– Wiem! – wykrzyknęła. – Pojadę do Duluth i wypożyczę wykrywacz metali. Pomoże nam zlokalizować kuferek.

– Co to takiego?

– To przyrząd, który wykrywa metale pod ziemią. Monety, zakrętki od butelek, a nawet kufarki.

– Dobrze mieć coś takiego, prawda? – zauważył.

– O, tak – odparła z uśmiechem. – Dobrze mieć coś takiego. – Rzuciła okiem na zegarek.

– Jeśli się pospieszę, zdążę do Duluth i z powrotem, zanim zapadnie zmrok.

Wstała, otrzepując kurz z dżinsów.

– Jedziesz? – spytał.

– Oczywiście – skinęła głową. – Trzeba jak najprędzej się z tym uporać.

Armand bezmyślnie grzebał łopatą w ziemi.

– Będę za trzy godziny. Nie zasypuj tego dołu. Sprawdzimy, czy na pewno nic tam nie ma.

Potrzebowała dokładnie trzech godzin, by dotrzeć do miasteczka, wypożyczyć wykrywacz metali i wrócić na wyspę. Im dłużej zastanawiała się nad teorią Armanda, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że może mieć rację.

Przypuścmy, że znajdzie kuferek i wydobędzie go – co się wtedy stanie? Czy Armand nagle zniknie? Zadrżała. Wtedy znów zostałaby na wyspie sama, a Armand połączyłby się prawdopodobnie ze swoją ukochaną Faith...

Gdy wróciła, słońce dotykało już czubków drzew, które rzucały długi cień na jezioro.

– Mam – zawołała z daleka, wspinając się na wzgórze. Wymachiwała detektorem. Armand stał bez ruchu, wpatrując się w zamyśleniu w skałę. Gdy się zbliżyła, uśmiechnął się, ale uśmiechem tak smutnym jak smutne były jej myśli w drodze powrotnej.

– Hope – zaczął, gdy podeszła do niego – nie wiemy, co się stanie, gdy znajdziesz mój kuferek, a więc chciałbym się z tobą pożegnać już teraz. Pragnę, byś wiedziała, że byłaś dla mnie kimś szczególnym. Bardzo szczególnym.

Podniosła ku niemu twarz. W jej oczach błyszczały łzy.

– Nie mów tak – poprosiła cicho, kładąc palce na jego wargach. – Zobaczymy, co będzie. Jeśli odejdziesz, to znaczy, że tak miało być. Jeśli nie... Zobaczymy, po prostu zobaczymy.

Skinął głową, całując lekko koniuszki jej palców. Z największym trudem odwróciła się od niego i podeszła do wykopanego wcześniej dołu.

Nastawiła detektor i zaczęła systematycznie badać każdy centymetr kwadratowy gruntu. Za chwilę usłyszeli trzaskanie i charakterystyczne pikanie w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów od dołu.

– Tutaj – krzyknęła – tu musi być kuferek! Odłożyła wykrywacz i zaczęła kopać ze zdwojoną siłą. Łopata napotkała coś twardego, rozległ się głuchy odgłos. Mieli szczęście. Ten przedmiot znajdował się około pół metra pod powierzchnią. Mimo to potrzebowali trochę czasu, by wydobyć go z ziemi, w której spoczywał przez dwieście lat. Gdy go wreszcie wyciągnęli, zdziwiła się, że metal był tak mało skorodowany.

– Oto on – powiedział Armand. Bał się poruszyć z wrażenia.

Hope drżały ręce, gdy otrzepywała kuferek z resztek ziemi, by go lepiej obejrzeć. Musiał być kiedyś bardzo piękny, wyszedł spod ręki prawdziwego mistrza. Nie był duży, mógł mieć około trzydziestu centymetrów długości i około dwudziestu głębokości.

Uklękała, by przyjrzeć się zamknięciu. Dziurka od klucza była zatkana ziemią. Otwór mierzył ponad trzy centymetry długości. Klucz musiał być duży, pomyślała.

– Podaj mi śrubokręt. Jest w namiocie – zwróciła się do Armanda.

– Nie.

– Jak to nie? – Obejrzała się przez ramię, unosząc brwi ze zdziwienia.

– To znaczy, że nie chcę, żebyś wyłamywała zamek. Kuferek tutaj jest i ja jeszcze tu jestem. Zastanówmy się, zanim zrobimy cokolwiek zbyt pośpiesznie. Być może, gdy wyłamiemy zamek, nigdy nie zaznam spokoju.

Hope przysiadła na piętach, wzrokiem szukała jego oczu. Czy on naprawdę tak myśli, czy też nie chce jej opuszczać? – zadała sobie w duchu pytanie.

– Weź to pod uwagę, *ma petite*. – Armand czytał w jej myślach. – Gdy wyjęłaś z ziemi kuferek, nic mi się nie stało. – Popatrzył na swoje ciało. – Wciąż jeszcze tutaj jestem. Jeśli wyłamiemy zamek, zamiast otworzyć go jak należy, może mnie już tu nie będzie?

Podniecenie Hope ulotniło się. Może utraci w ten sposób Armanda, gorzej, może będzie się tułał przez całą wieczność?

– Masz rację – zgodziła się. – Mało brakowało, a byłabym zapomniała, po co to zrobiliśmy.

Patrzyła na kuferek, w którym znajdował się dziennik Armanda i podobizna jego ukochanej. Umierała z ciekawości, ale bała się otworzyć tę puszkę Pandory.

– Poczekamy i zobaczymy, co będzie – orzekła.

– Poczekamy, zobaczymy – powtórzył, wyraźnie zadowolony z jej decyzji.

Sam jednak nie wiedział, czy chciał czekać, bo obawiał się, że mógłby nie wrócić tam, gdzie powinien być, czy też dlatego, że nie chciał opuścić Hope...

Nie był pewien.

ROZDZIAŁ 6

Ciemności otuliły wzgórze niczym kwiat, którego płatki zamykają się na noc. Latarnia kołysała się na wietrze tuż obok wejścia do namiotu. Mdle światło rozjaśniało mrok, głaszcząc swym blaskiem Hope i Armanda. Siedzieli tyłem do światła, patrząc przed siebie.

– Dobrze się czujesz? – Armand wyciągnął się na ziemi.

Hope obserwowała odbijający się w wodzie księżyc. Jeszcze raz wszystko przeanalizowali, obmyślając następne posunięcie. Kuferek stał w namiocie. Był poza zasięgiem ich wzroku, ale oboje czuli jego obecność.

– Tak. Tylko trochę mi zimno – odpowiedziała.

– Dać ci śpiwór? – zatroszczył się.

– Nie, dziękuję. – Hope uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od jeziora. Jej myśli absorbowała ta niezwykła układanka, której części wciąż do siebie nie pasowały.

– Naprawdę? A więc jeśli nie chcesz śpiwora, to dlaczego nie położysz się koło mnie i nie pozwolisz, bym ogrzał cię swoim ciałem?

Odwróciła się ku niemu, z uśmiechem oczekiwania na twarzy. Nagle zmartwiała, przeszedł ją zimny dreszcz.

– Armandzie... – szepnęła.

Usiadł i popatrzył na nią. W jej oczach czaił się strach. Nagle zrozumiał dlaczego.

Wyciągnął rękę przed siebie, rozpostarł palce, przez dłoń widział zarys drzewa.

– *Mon Dieu* – przeraził się.

Rzuciła się ku niemu, jakby chciała go zatrzymać, zacisnęła palce wokół jego nadgarstka.

– Nie odchodź – wyjąkała.

Popatrzył w jej duże piwne oczy, które wpatrywały się w niego błagalnie.

– Biedna maleńka – odezwał się nienaturalnie niskim głosem. – Czy to już koniec? Czy po to cię odnalazłem, by cię stracić i błądzić wśród gwiazd, aż spotkam cię znowu?

– Nie – wykrzyknęła, potrząsając głową. Rozpaczliwie chciała, by z nią został, aby był przy niej.

– Zdaje się, że nie mam wyboru – uśmiechnął się smutno. Podniósł rękę i wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby należała do kogo innego. – Tak czy inaczej, w kufereku musi kryć się odpowiedź.

Hope potrząsnęła głową, nie zgadzając się z jego słowami. Miała mu tak dużo do powiedzenia, ale słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Jak mogła mu powiedzieć, że przy nim znów poczuła, że żyje, po tych wszystkich strasznych przejściach w Ameryce Środkowej? Podarował jej wyjątkowy prezent: cel w życiu. To szaleństwo, ale wierzyła, że duch nada sens jej życiu. Wyraz jej twarzy musiał powiedzieć mu wszystko, bo delikatnie położył palce na jej ustach.

– Nic nie mów, maleńka. Nie trzeba nic mówić. Milczała.

– Po prostu zostań. Zostań ze mną, abym mógł cię widzieć tak długo, jak długo mogę.

– Zostanę – przyrzekła.

W jej oczach pojawiły się łzy. Stłumiła szloch, utkwiała wzrok w ciemności spowijające okolice. Księżyc ukrył się za chmurami. Tylko latarnia rzucała blade światło na najbliższe otoczenie.

– Mów do mnie – poprosił. – Mów, o czym myślisz.

– Myślę, że Faith musiała być bardzo szczególną młodą damą. Obdarzyła cię swoją miłością wbrew woli ojca. Na pewno nie przyszło jej to łatwo, zważywszy na czasy, w jakich żyła. Myślę też, że traperzy, o których mówiłeś, zostali nasłani przez ojca Faith. Nie wiem, jak tego dowieść, i czy to ma nawet jakieś znaczenie.

– A mój kuferek? A ci mężczyźni? – Wydawało się, że głos Armanda dobiega gdzieś z daleka. Ogarnął ją strach. Nie chciała być świadkiem tego, co nastąpi. Spojrzała na zegarek. Północ. Godzina duchów. Nie może być gorzej.

Odnaleźli kuferek i mimo że go nie otworzyli, Armand uległ jego mocy. Co jeszcze mogłoby się wydarzyć?

– Myślę, że powinniśmy to przemyśleć – odezwała się wreszcie. – Nie wiem, co teraz robić, ale wiele rzeczy przychodzi mi do głowy. Jutro pojedę do Duluth i poszukam dokumentów w bibliotece, zapisków na temat ludzi, którzy zasiedlali tę część Minnesoty. Może to nam coś wyjaśni.

– Długo cię nie będzie?

Chciała mu powiedzieć, że w ogóle nie wróci, że nie może patrzeć, jak będzie znikał z jej życia i z jej wyspy, ale zmieniła zamiar.

– Może jedną noc albo dwie – rzuciła.

– A więc będę czekać i spróbuję się nie denerwować – odparł.

– Czekać? – Zwróciła się ku niemu. W jej oczach malował się bezgraniczny smutek. Zarys jego postaci wciąż był widoczny, ale ciało zdawało się pomału znikać.

– Czekać – potwierdził i wzruszył ramionami w charakterystyczny dla siebie sposób. – A dokąd mogę pójść?

– Tam, dokąd idziesz teraz! – wykrzyknęła.

– Nigdzie nie idę. Wciąż jestem tutaj – powiedział wolno. – Jeszcze nie mogę cię opuścić. Zanim odejdę, muszę znaleźć odpowiedź.

– Zwariowałeś? – Hope była bliska załamania. – Znikasz na moich oczach, a my wciąż udajemy, że będzie jeszcze jakieś jutro.

– Bo będzie. Zwłaszcza dla ciebie.

Nie odpowiedziała, oszołomiona jego trzeźwymi słowami. Miał rację. Niezależnie od tego, czy Armand będzie tutaj czy też zniknie, nie zazna spokoju. Tylko ona może mu pomóc odnaleźć ten spokój. Opuściła ramiona, szukała go wzrokiem, ale widziała tylko nieskończoność.

– Tak – przyznała spokojnie, wreszcie zrozumiałwszy, o czym mówił.

– Faith... – zawahał się. – Hope... czy jak tam się nazywasz... jesteś tutaj dla mnie.

– Nie – potrząsnęła gwałtownie głową. Jej poczucie tożsamości wzięło górę nad uczuciami. – Jestem sobą, a nie Faith – oświadczyła z mocą. – To wszystko, co wiem. – Ukryła twarz w dłoniach, poddając się zmieszaniu i wyrzutom sumienia. Dlaczego jest wystawiana na taką próbę?

Nawet nie próbowali położyć się spać. Siedzieli obok siebie, pogrążeni w rozmowie. Hope powoli wyzbywała się resztek wspomnień o więzieniu.

– To naprawdę dziwne – zadumała się – ale wydaje mi się, jak gdyby to wszystko zdarzyło się komuś innemu. Jestem już zdrowa, wróciła mi energia i chęć do życia. Nawet myślami nie wracam do tamtego okresu. Gdy tutaj przyjechałam, nie mogłam myśleć o niczym innym.

– Znam to uczucie. Odczuwałem coś podobnego po bitwie. Czas leczy rany.

– Czy tak właśnie było z Faith, Armandzie? Czy czas zaleczył te rany?

– Może. A może czas znalazł inny sposób, aby wypełnić tę lukę.

Zaległa cisza. Hope znowu utkwiała wzrok w ciemnościach.

– Hope. – Głos Armanda przerwał ciszę. Odwróciła głowę.

– Wracasz – zawołała, szeroko otwierając oczy. Wciąż jeszcze nie był widoczny zbyt wyraźnie, ale już znacznie lepiej niż przedtem.

– Na to wygląda – uśmiechnął się. Jego głos odzyskał głęboką, trochę chropawą barwę.

Odpowiedziała mu uśmiechem, koncentrując na nim całą swoją uwagę. Patrzyła na niego z taką miłością, że podniósł rękę i zanurzył palce w jej włosach.

– Jesteś taka piękna – szepnął.

– Ty też – odparła po prostu. Jakżeby mogła zachowywać się z rezerwą wobec ducha? – Armandzie – poprosiła – obejmij mnie, po prostu mnie obejmij.

Nagle przestraszyła się swoich myśli i zachowania. Zapragnęła, by ktoś wziął ją pod swoje skrzydła i zapewnił bezpieczeństwo.

Objęły ją muskularne ramiona, teraz nawet bardziej rzeczywiste niż przedtem. Armand posadził ją przy sobie. Czowała jego ciało, jego ręce spoczywające poniżej jej piersi. Podbródkiem dotknął czubka jej głowy, gdy przyciągnął ją ku sobie i oparł o swoją szeroką pierś. Poczowała się bezpieczna.

Świtało, powoli z mroku nocy wyłaniały się drzewa, wzgórza, jezioro w dole zbocza. Podziwiali w milczeniu ów cud natury.

– Kochasz tę krainę – powiedział.

– O, tak.

– I kochasz mnie.

– Nie wiem. – Ale wiedziała, że to było kłamstwo. Przysłoniła usta dłonią i ziewnęła.

– Tak, kochasz – oświadczył zdecydowanym tonem. – Ty mnie kochasz.

– Nie bądź taki pewny siebie – obruszyła się. – Powiem ci, kiedy się zakocham. – Przycisnęła się mocniej do niego, czuła dotyk jego silnych ud, jego brzucha.

Zaśmiał się. Zabrzmiało to bardzo, bardzo seksy.

– Nie, nie powiesz, moja mała. Będziesz chciała utrzymać to w tajemnicy, jak długo się da.

Zastanawiała się przez moment, czy się dalej z nim nie droczyć, ale powieki jej opadły i nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła przytulona do jego muskularnej piersi.

Armand oparł się o pień dębu i zamknął oczy. On też czuł senność, choć nie bardzo wiedział dlaczego. Czyż nie spał przez ostatnie dwieście lat?

Hope wyszła z poczty w Duluth i zaczęła przeglądać listy. Pierwszy pochodził od szefa.

Joe Bannon radził, by nie wracała do pracy co najmniej przez trzy miesiące, niezależnie od tego, czy będzie się nudzić, czy nie. Nagryzmolił ten list własnoręcznie, aby nie zobaczyła go sekretarka. Było to bardzo rozważne. Co za sens miałyby obwieszczenie całemu światu, że jej szef uważa, iż nie wróciła jeszcze do równowagi? To była dobra wiadomość.

Drugi list przysłał ojciec, który starał się być na tyle serdeczny, na ile tylko mężczyzna potrafi. Był zaniepokojony i uważał, że Hope potrzebuje kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Czuł się odpowiedzialny za to, co wydarzyło się w Ameryce Środkowej. Jeśli nie otrzyma „pomocy profesjonalnej”, być może zechce przedyskutować swoje „problemy” z nim. Podpisał się, jak zwykle, Frank.

Problemy. Jej ojciec nie miał pojęcia o jej problemach. Przeżycia z Ameryki Środkowej miała już za sobą. Teraz ma na głowie ważniejsze sprawy niż zadreęczanie się wspomnieniami.

Włożyła listy razem z paroma rachunkami do torebki i poszła w kierunku centrum. Była w świetnym nastroju. W bibliotece na pewno znajdzie jakieś odpowiedzi na nękające ją pytania.

Dotychczas ze względu na pracę zawodową zbierała materiały dotyczące osób żyjących lub historii kraju. Tego rodzaju informacje były zgromadzone na oddzielnych fiszkach i łatwo dostępne. Szukanie jednak wiadomości o ludziach, którzy dawno już odeszli z tego świata, było dla niej czymś całkiem nowym. Na szczęście dział historii Minnesoty zawierał dostatecznie dużo informacji. Bibliotekarz opowiedział jej również o lokalnym Stowarzyszeniu Historycznym, organizacji, która gromadziła materiały na temat wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z początkami tego stanu. Zastała tutaj archiwistkę, która okazała się bardzo pomocna.

– Powinno to panią zainteresować, moja droga – powiedziała, gdy Hope zasiadła przed monitorem. – Oryginalne dokumenty są zbyt zniszczone, by można było z nich korzystać, ale wszystko zostało utrwalone na mikrofilmach. Już je przygotowałam. Gdy zechce pani mieć kopię, po prostu naciśnie pani ten guzik. To bardzo proste – zapewniła.

– Co to jest? – spytała Hope, patrząc na jakiś ręcznie pisany dokument.

– To jedyna amerykańska kopia akt dotyczących handlu futrami w forcie Grand Portage, o jakiej wiem.

Grand Portage założyli w 1660 roku ludzie z Duluth, aby służył jako faktoria dla Indian. Te akta zostały przesłane do tutejszych przedsiębiorców w XVIII wieku. Nie powinno ich tu być, gdyż należały do Północno-Zachodniego Towarzystwa Handlu Futrami. Popołniono

jednak błąd i teraz z tego my korzystamy.

– Dziękuję – powiedziała Hope, odczytując tekst na monitorze. Wiedziała, że coś znajdzie. Po prostu miała takie przeczucie.

Sześć godzin później wyszła z biblioteki. Czy jej błyszczały. Czego oczekiwała? Że znajdą się brakujące elementy układanki i dadzą jej cudowne odpowiedzi? Tak, do diabła!

Informacja była w najlepszym razie skąpa. Trudno było odczytać rękopis i prawie wszystko, co bibliotekarz wygrzebał, było dla Hope bezużyteczne. Kilka listów, jakie miał w zbiorach, nie miało nic wspólnego z traperami czy z handlem futrami, a nawet z wojną z Francją i Indianami. Były to osobiste listy jakiegoś drwała do narzeczonej w Bostonie. Interesujące, ale nic poza tym.

Hope znalazła jednak nazwiska trzech mężczyzn, którzy zabili Armanda. Bądź co bądź było to lepsze niż nic. Daty pokwitowań zapłaty za futra wskazywały, że po zamordowaniu Armanda wrócili do fortu. Hope odkryła również, że fort i faktoria w Grand Portage wciąż istnieją, przekształcone obecnie w muzeum narodowe.

Przez cały dzień martwiła się o Armanda. Chociaż rano, gdy wyjeżdżała, znów był „zmaterializowany”, nie wiedziała, czy po powrocie jeszcze go zastanie. Być może tym razem zniknął na dobre. Nie miała pewności, czego ma się spodziewać po przeczytaniu nieprzekonujących informacji o duchach, które znalazła w bibliotece. Coś ją gnało naprzód. Szła coraz szybciej, w końcu zaczęła biec. Musi znaleźć odpowiedź na dręczące ją pytania. I to szybko.

Spędziła noc w małym hotelu na obrzeżach miasta, zamawiając budzenie na wczesną godzinę. O siódmej rano już była na nogach i podążyła do miasta pełna nadziei.

Zbliżało się południe, gdy wysiadła z samochodu na parkingu dla zwiedzających fort i faktorię Grand Portage. Zacisnęła dłonie z emocji. Być może kiedyś przebywał tu Armand, pomyślała. Kto wie, czy nie tutaj spotkał się z trzema mordercami, którzy mieli mu pomóc w odszukaniu brata. Może i on wchodził przez tę dużą bramę...

Skierowała się do punktu informacyjnego. Miała ogromną ochotę dotknąć któryś z eksponatów umieszczonych za szklaną szybą. Powstrzymała się jednak.

– Mogę pani w czymś pomóc? – zwrócił się do niej strażnik.

– Tak – odparła z błyskiem podniecenia w oczach. – Może mi pan coś opowiedzieć o tym miejscu? – poprosiła.

– Oczywiście – przytaknął skwapliwie, wręczając jej broszurę informacyjną. – W tym miejscu istniało dziesięć do dwudziestu fortów zbudowanych między 1660 a 1803 rokiem. Ten, który pani tutaj widzi, został zrekonstruowany na podstawie zabudowań z 1803 roku.

– A więc nie jest taki jak ten w 1762 roku? – spytała zawiedziona.

– Nie, proszę pani – potrząsnął z ubolewaniem głową.

– A nie ma tu pozostałości innych fortów? – Hope nie rezygnowała łatwo.

– Nie, proszę pani. Każdy następny był budowany na zrębach poprzedniego. W ten sposób jesteśmy co prawda na jednym z pierwszych miejsc pod względem bogactw archeologicznych, ale nigdy nie prowadziliśmy prac wykopaliskowych. Nie ma na to

pieniędzy w budżecie.

– A archiwum? Są jakieś dokumenty z tamtych czasów?

– Zapewne. Był to okres, gdy Duluth utworzyło tę faktorię, by prowadzić handel z Indianami. Dokumenty powinny być w Winnipeg, Paryżu lub Londynie, gdzie miało swe główne siedziby Północno-Zachodnie Towarzystwo Handlu Futrami.

– A nie wie pan, jak mogłabym dotrzeć do kopii?

– nalegała Hope. Musi być jakiś sposób na zdobycie bardziej konkretnych informacji.

– Nie, ale mamy wspaniałą bibliotekę. Może pani w niej poszperać, jeśli ma pani czas. Żadnej z książek nie można wypożyczyć, ale może pani sobie sporządzić kopie.

– Tylko że nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać – rzuciła z rozdrażnieniem. – Próbuję trafić na ślad pewnej rodziny z tych stron. Krewnych żołnierza francuskiego. Od czego powinnam zacząć?

Strażnik potrząsnął głową.

– Jak już mówiłem, większość materiałów znajduje się w Kanadzie albo w Europie. Po ustaleniu granic im przypadł w udziale cały majątek, a nam tylko ziemia. Ale w końcu – wzruszył ramionami – to obce towarzystwa zakładały forty, więc chyba tak było w porządku.

Hope poczuła się zupełnie bezradna. Szuka igły w stogu siana.

– W każdym razie dziękuję – powiedziała, kierując się ku bibliotece.

– Proszę zaczekać. Jest ktoś, kto mógłby pani pomóc – zawołał strażnik.

Hope zatrzymała się, ale jej twarz wyrażała powątpiewanie.

– W Duluth mieszka profesor Richards. Brał udział we wszystkich pracach badawczych. Jeśli sobie dobrze przypominam, widział nawet niektóre materiały archiwalne w Londynie i w Paryżu. Może on mógłby pani pomóc.

Hope podeszła do strażnika. Twarz znowu rozjaśnił jej uśmiech.

– Wie pan, jak go znaleźć? Ma pan jego adres?

– Postaram się. Spytam dziewczynę z biura. Pomagała mu w przepisywaniu notatek.

Hope nerwowo zaciskała dłonie, czekając na powrót strażnika. A nuż się uda. To jej jedyna szansa.

Po pięciu minutach młody człowiek wrócił. Wręczył jej małą karteczkę.

– Proszę, oto adres. Carol mówi, że jeszcze od czasu do czasu do niego pisuje i że jest on najodpowiedniejszą osobą, by pani pomóc.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. – Hope serdecznie uściśniła dłoń strażnika. – Nie ma pan pojęcia, jaka jestem panu wdzięczna. Jeszcze raz dziękuję – powtórzyła, wychodząc z pokoju. Z uśmiechem na twarzy weszła do biblioteki.

W godzinę później wsiadła do samochodu. W Grand Marias podjechała do sklepu z upominkami, kupiła papier listowy i napisała parę słów do profesora Richardsa. Prosiła go, by odpowiedział jej natychmiast po otrzymaniu listu. Było już późne popołudnie, gdy motorówką płynęła ku wyspie. Na spokojnej wodzie jeziora powoli opuszczało ją napięcie. Wpatrywała się w nabrzeże wyspy. Był. Wysoki i przystojny, stał tam, gdzie go zostawiła. Serce zabiło jej mocniej. Odgarnęła włosy z czoła, by móc go lepiej widzieć. Poczula

nieopisaną radość.

– Co się stało? Wszystko w porządku? – spytał, gdy podpłynęła do brzegu. Sięgnął po linę, by przycumować łódź do niewielkiego pieńka na brzegu.

– W najlepszym – odparła. Nagle zeszywniała. Tak bardzo spieszyła się do Armanda, że nie słyszała zbliżającej się motorówki. Armand wyciągnął rękę, by pomóc jej wyjść na brzeg.

– Armandzie, uciekaj – wyszeptala na widok łodzi cumującej nie opodal. Poznała jednego ze swoich sąsiadów, właściciela niewielkiego letniego domku na skraju jeziora.

– Nie bój się – uspokoił ją. – On nie może mnie zobaczyć.

– Skąd wiesz? – spytała również szeptem, równocześnie machając ręką przybyszowi.

– Ponieważ nie widział mnie, kiedy przyplłynął tutaj rano – odparł, śmiejąc się Armand. Trzymał ją za rękę. Hope jedną nogę postawiła już na brzegu, drugą wciąż tkwiła w łódce.

– Co słychać, panie Shute? Jak tam ryby? Biorą?

– zawołała.

– Jeszcze jak! – Pokazał jej wiadro pełne ryb. – Już dawno nie miałem takiego połowu. – Zmarszczył brwi i przyjrzał się jej uważnie. – Źle się pani czuje, młoda damo? – spytał.

– Kto? Ja? Skądże. Dlaczego pan pyta? – Starala się sprawiać wrażenie zaskoczonej, ale z trudem mogła wydobyć z siebie słowa. Armand całował jej nadgarstek, delikatnie pieścił językiem drobne żyłki na dłoni.

– Bo jakoś dziwnie pani wygląda – odparł Shute.

– Jak te posągi w ogrodach. – Mówił trochę niewyraźnie, przez cały czas żując tabakę. Hope zmartwiała, skierowała twarz ku Armandowi. Rzeczywiście, skoro mężczyzna nie może go widzieć, musi być zdziwiony jej pozą. Wyglądała jak tancerka z ręką wdzięcznie wyciągniętą do przodu. Jedną nogą opierała się już na brzegu, palcami drugiej ledwo dotykała łódki. Armand pomagał jej utrzymać równowagę.

– Ach to? – zaśmiała się. – To pozycja jogi. Właśnie ją ćwiczę. – Usiłowała wyrwać dłoń z ręki Armanda, ale nie chciał jej puścić.

– Joga, kochanie? – odezwał się. – Cokolwiek to jest, czuję się urażony. Myślałem, że to ja trzymam cię w miłosnym uścisku.

– Joga, powiada pani. – Mężczyzna patrzył z lękiem w oczach, jak Hope balansuje w tej chwiejnej pozycji. – Kto by to pomyślał.

– Tak, joga – syknęła do Armanda. – I nie ma to nic wspólnego z twoim uściskiem. – Szarpnęła ponownie rękę, usiłując się wyrwać.

– Moim uściskiem? – powtórzył stary mężczyzna, spoglądając to na swoje ręce, to na nią.

– Tak. To znaczy nie – wykrzyknęła. – To po prostu inna pozycja.

– Jak tak, to w porządku – uspokoił się Shute. – Jeśliby pani potrzebowała pomocy, niech pani zawoła – rzucił jeszcze przez ramię, wsiadając do łódki i zapuszczając silnik.

Hope obserwowała, jak ostrożnie odbijał od brzegu i kierował się ku małej zatoczce. Zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie zachowała się jak wariatka. Nie „prawdopodobnie”. Po prostu zachowała się jak wariatka.

– Jak sądzisz, co on wie na temat jogi? – spytał łagodnie Armand, z trudem hamując śmiech.

– Myślę, że niewiele – wycedziła przez zęby, wściekła na niego za to całe przedstawienie. Armand uniósł z rozbawieniem brwi.

– Ale proponował ci pomoc – zauważył.

A więc o to chodzi. Roześmiała się. Śmiała się tak serdecznie, aż łzy popłynęły jej po policzkach. Oparła się o Armanda. Powoli osunęli się na ziemię, uwalniając się od całego napięcia minionego tygodnia.

Gdy się wreszcie podnieśli, powędrowali w górę zbocza. Co parę kroków Armand odwracał się i patrzył na nią z napięciem.

Gdy doszli na szczyt, promienie zachodzącego słońca barwiły już okolicę na kolor złocisty. Armand wziął ją w ramiona, a ona oparła głowę o jego szeroką pierś.

– Czas na ciebie. Powinnaś pójść do domu i położyć się spać – powiedział czule, całując ją w czubek głowy. – Potrzebna ci gorąca kąpiel i odpoczynek po całym dniu pracy. Jutro porozmawiamy, moja droga.

– Hm – mruknęła, zbyt zmęczona, by cokolwiek odpowiedzieć.

– A więc idź – powtórzył, ujmując ją za ramiona i obracając w kierunku domu. – Odprowadzę cię do połowy drogi.

– Tylko do połowy? – drażniła się z nim.

– Wiesz, że dalej nie mogę pójść – przypomniał jej i uśmiech nagle znikł z jego twarzy.

Gdy doszli do niewielkiej sosny, Armand zatrzymał się.

– Dobranoc, najmilsza – szepnął, muskając jej usta.

– Dobranoc – odpowiedziała, pragnąc pozostać w jego ramionach przez całą noc, chociaż wiedziała, że potrzebuje przede wszystkim kąpieli i snu.

Wolno poszła w kierunku domu. Błyskawicznie rozebrała się, wykapała i położyła do łóżka. Nie mogła jednak usnąć. Patrzyła na ciemne niebo za oknem, głowiąc się nad pytaniami, na które nie umiała odpowiedzieć. Wreszcie nadszedł poranek.

Wrzuciła na siebie dzinsy i luźny sweter, umyła zęby i twarz, nawet nie patrząc w lustro. Wy szczotkowała długie włosy i spięła je z tyłu kłamrą, wsunęła na nogi tenisówki.

Podgrzała dwie mrożone porcje śniadaniowe i z notatkami z poprzedniego dnia pobiegła na wzgórze. Gdy dotarła do namiotu, położyła wszystko na trawie i uniosła połę.

– Wstawaj, śpiochu – zawołała. – Słońce świeci. Poza tym czas na śniadanie.

Odpowiedziała jej cisza. Dotknęła śpiwora. Był pusty. Nie ma go. Przez noc zniknął i nie pojawił się ponownie.

Opadła ciężko na trawę. Wciąż jeszcze macała śpiwór, jak gdyby nie mogła uwierzyć, że nikogo w nim nie ma. Poczowała dojmujący ból.

Z koron drzew dochodził śpiew ptaków, słysząc było plusk ryb w jeziorze. W powietrzu rozległa się nagle stara francuska melodia, początkowo cicho, z każdym taktem jednak coraz głośniejsze.

Hope podniosła głowę, nasłuchiwała. Śpiew brzmiał coraz bliżej. Wstała, starając się zorientować, skąd dobiega. Serce zabiło jej mocniej. Nikt więcej nie znał tej piosenki. Nawet Faith. Armand jej to powiedział. Powoli odwróciła głowę. Skubała nerwowo kieszeń dzinsów. Gdy wreszcie ujrzała wyłaniającą się zza skały ciemną głowę, rzuciła się ku ścieżce, którą nadchodził.

– A więc jesteś – wykrzyknęła, gdy stanął przed nią z własnoręcznie skleconą wędką w dłoni.

– A gdzie miałbym być? – spytał zdziwiony.

– Myślałam, że zniknąłeś.

Posmutniał. Oparł wędkę o drzewo i delikatnie ją objął. Dotknął wargami jej szyi, wdychał jej zapach. Mocniej zacisnął ramiona.

– Nie, nie zniknąłem – powiedział ochryplym głosem, odsuwając ją lekko, by spojrzeć prosto w oczy. – Rano jestem bardzo silny, kochanie.

– Tak właśnie wszyscy piszą – uśmiechnęła się niepewnie. Dotknęła jego policzka, przesunęła dłoń niżej w kierunku karku aż po ramiona. Przyłożyła na chwilę palce do tętna na jego szyi.

Oczy błyszczały mu jak rozżarzone węgle. Znów zamknął ją w objęciach, przyciskając do siebie z całej siły, wędrował dłońmi wzdłuż jej bioder i talii, coraz wyżej i wyżej, aż dosięgnął piersi. Nie miała na sobie stanika.

– Wciąż się dziwię, że kobiety teraz mogą mieć na sobie tak mało ubrania. To miłe... ale dziwne.

– A ty masz tylko koszulę i spodnie, pod spodem nic. – Jej rozbawiony wzrok świadczył o tym, że bardzo spodobało jej się to odkrycie.

– Są mężczyźni, którzy przewracają świat do góry nogami w poszukiwaniu kogoś takiego jak ty, moja Hope. Kobiety, która dobrze zna swoje ciało i cieszy się ze szczęścia, jakie daje ono jej i jej kochankowi.

– Większość mężczyzn, o których mówisz, prawdopodobnie znacznie wyprzedzała czasy, w jakich żyła. Kobiety zawsze lubiły się kochać, ale wmawiano im, że nie powinny się do tego przyznawać, by nie uznano ich za ladacznice – wyjaśniła, przyciskając się do jego bioder.

– Moja matka nigdy nie odczuwała radości – stwierdził autorytatywnie.

– Biedna – szepnęła Hope, całując go w szyję i dotykając lekko językiem.

– Była damą w każdym calu. Księżną, która wiedziała, jak należy się zachowywać i stosowała się do tego.

– Jej dni były wypełnione obowiązkami domowymi, a noce pozbawione radości. To potwornie smutne. – Hope gładziła jego ramiona.

– To było życie odpowiednie dla niej – upierał się przy swoim. – Kochanka ojca bardzo dobrze mu służyła.

– Biedny ojciec – wymamrotała Hope. – To dobrze, że nie urodził się w dzisiejszych czasach, bo jego dobra żona wykopałaby go z domu. Poza tym, czy nie lepiej mieć obok

siebie w łóżku żonę, która jest zarazem pełną temperamentu kochanką?

– Będę musiał się nad tym zastanowić. Wydaje mi się, że myślisz przesadnie logicznie. Ucałował czubek jej nosa, później czoło i policzki.

– Pocałuj mnie tutaj – zażądała, ujmując w dłonie jego twarz i kierując jego usta ku swoim.

Po dłuższej chwili wysunęła się wreszcie z jego ramion i wróciła do namiotu, by przygotować śniadanie.

– Siadaj. Muszę cię nakarmić, zanim znikniesz na skutek braku pożywienia. A później ci powiem, czego się dowiedziałam.

– Co to jest? – spytał, patrząc podejrzliwie na tackę ze śniadaniem.

– Francuskie grzanki i kiełbaski – odpowiedziała, poprawiając klamrę we włosach.

– Francuskie grzanki? Niemożliwe. – Potrząsnął głową, wpatrując się w trzymany w ręku produkt sztuki kulinarnej. – Jestem pewien, że to jakiś wynalazek Anglików. My, Francuzi, nigdy nie nazwalibyśmy w ten sposób czegoś takiego – prychnął lekceważąco.

– Spróbuj, będzie ci smakowało – zachęcała go.

– Mam nadzieję, że twoje informacje będą ciekawsze od twego śniadania – burknął, wciąż wpatrując się w tackę. Uśmiechał się jednak. W końcu oparł się wygodnie o drzewo i spróbował mały kęs.

Uśmiech znikł mu z twarzy. Hope z pewnością żartowała, nazywając to francuskimi grzankami, pomyślał. Francuzi nigdy nie żartują z jedzenia, a to smakuje jak przyprawiająca o mdłości gąbka.

Hope jadła powoli. Myśli jej całkowicie zaprzętało to, czego się dowiedziała. Zastanawiała się, czy Armand będzie zły, gdy się dowie, że jego wrogom się udało. Dobrze się urządzili. Tak przynajmniej wynikało z dokumentów. Na miejscu Armanda nie czułaby się najlepiej...

Usiadła naprzeciw niego, wyjęła notatki i zebrała myśli. Niepotrzebnie jednak spojrzała na niego. Był taki rzeczywisty, tak cudownie... Potrząsnęła głową, chcąc się skupić.

– Musimy porozmawiać – zaczęła.

– Proszę bardzo – zgodził się, biorąc ją za rękę.

– Całe życie czekałem na kobietę, która mówi tak mało jak ty – pokpiwał sobie – ale teraz, gdy cię znalazłem, chciałbym słyszeć twój głos trochę częściej.

– Nie bądź taki zadowolony z siebie – zaśmiała się.

– Jeszcze możesz zniknąć.

– Myślę, że na razie nie. Jest tyle rzeczy, które chciałbym ci powiedzieć. Które chciałbym z tobą robić.

Hope przejechała palcem wzdłuż jego policzka. Kochała tę szczupłą, męską twarz. Twarz człowieka, na którego można liczyć. O którym można marzyć.

– Wiem, nie to miałam na myśli. Wciąż jesteś tutaj, a więc sądzę, że jeszcze przez jakiś czas pozostaniesz.

– Nie oszukujmy samych siebie – potrząsnął głową. – Któregoś dnia odejdę. Może nie będę chciał, może nie będę gotów, ale zniknę. Pogodziłem się już z tym – dodał.

– Pogodziłeś się? – wykrzyknęła. – Ja nie – dodała ciszej, jakby do siebie.

– Może dlatego że dla ciebie to jest czas życia, a nie godzenie się ze śmiercią. – Ucałował jej dłoń. – Jestem tu tylko dlatego, żebyś mi pomogła. Jeśli odjedziesz...

Nie dokończył zdania, ale Hope wiedziała, co miał na myśli. Gdy nadejdzie zima, będzie musiała opuścić wyspę, on zostanie sam.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na błękitną wodę jeziora. Czowała, że Armand spokojnie czeka na jej słowa.

– Znalazłam pewne dokumenty – odezwała się w końcu. – Rachunki kupca w Duluth, który handlował z Grand Portage w połowie osiemnastego stulecia.

– I co? – zainteresował się Armand.

– Jeden z mężczyzn, Francois Tourbet, poślubił Indiankę. Zajmowali się oboje sprzedażą futer w Grand Portage. Po paru latach zmarł, a jego konto przepisano na żonę i dziecko. Henri Houdon osiedlił się w Grand Portage. Nie wiem, skąd brał pieniądze, bo nie było żadnych rachunków z wyjątkiem jednego, chociaż wiele kupował.

– Mów dalej. – Armand słuchał jej w skupieniu.

– Trzeci mężczyzna – Hope rzuciła okiem na notatki – Jacques Pillon, dorobił się niewielkiej fortuny. Regularnie otrzymywał pieniądze za futra, mimo że nigdy na dłużej nie opuszczał fortu. Rachunki nadchodziły co trzy, cztery tygodnie.

– Co jeszcze?

– Pojechałam do Grand Portage – westchnęła Hope. – Wygląda na to, że nie ma tam więcej dokumentów. Jeżeli zechcę zdobyć dodatkowe informacje, będę się musiała udać do muzeum i biur Północno-Zachodniego Towarzystwa Handlu Futrami w Europie.

– Nie – powiedział łagodnie, lecz stanowczo. – Nie pojedziesz tak daleko. Musi być jakieś inne rozwiązanie.

– Jest jeszcze kilka źródeł, które można sprawdzić. Tyle że większość dokumentów w Minnesocie dotyczy przemysłu drzewnego, a nie handlu futrami. – Spojrzała na niego. – Ale mam jeden świetny trop. Pewien historyk jest zafascynowany okresem okupacji francuskiej. Píše książkę o rodzinach osiadłych na tym terenie. Być może on zdoła nam pomóc.

– To nie była okupacja, lecz własność francuska – poprawił ją Armand. – Została nam odebrana? Przez kogo? Nowa Francja z każdym dniem stawała się bardziej brytyjska. Nawet Szkoci domagali się naszego kraju.

– Wszystko, co posiadała Francja na terytorium północnozachodnim, przypadło w udziale Brytyjczykom w 1763, w rok po twoim pobycie tutaj.

– Masz rację – zgodził się, jak gdyby ta sprawa nie była warta dalszego sporu.

– W każdym razie za cztery lub pięć dni pojedę jeszcze raz do Duluth i spróbuję skontaktować się z tym historykiem. Może wiedzieć więcej o trzech mężczyznach, którzy cię zabili.

– A więc czegoś się dowiemy – mruknął, zatrzymując się nagle. – A nie znalazłaś nic na temat klucza? Tego od kuferka? – spytał.

– Nie, jeszcze nie – potrząsnęła głową. Obawiała się tego pytania. W jaki sposób można było znaleźć klucz sprzed dwustu lat? To niemożliwe...

– Znajdziesz go – orzekł z pewnością siebie, która tylko ją rozdrażniła.

– Skąd wiesz? – zachnęła się. – Po dwustu latach wszelki ślad mógł po nim zagaść. Stany Zjednoczone są wystarczająco duże, by mogło się w nich ukryć tysiące ludzi rocznie, a ty chcesz znaleźć mały klucz z kości słoniowej starszy niż ten kraj.

– Kraj był tu zawsze – przypomniał jej, jak gdyby rozmawiał z dzieckiem.

– Mam na myśli Deklarację Niepodległości. Została podpisana w 1776 roku.

– Naprawdę? Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć. Nie przypominam sobie, żebyś wcześniej o tym mówiła.

– Myślisz, że poprawisz mi humor, zmieniając temat?

– Nie wiem, *chérie*. Ale co szkodzi spróbować. – W jego ciemnobłękitnych oczach pojawiły się charakterystyczne iskierki. – Zresztą jeśli to nie da rezultatu, mam w zapasie coś innego. Coś znacznie przyjemniejszego dla nas obojga.

– Jesteś niemożliwy. – Hope roześmiała się wbrew swej woli. Znow znalazła się w jego ramionach.

– Co to ma znaczyć: niemożliwy? – wymamrotał między jednym pocałunkiem a drugim.

– Czy to komplement? Czy to znaczy, że jestem w tobie zakochany, czy że topniejesz, gdy cię dotykam? Co ci mówi serce?

– Nie – syknęła. – To znaczy, że jesteś beczelnym, egoistycznym i natrętnym osobnikiem i nie ma żadnej nadziei na twoje zbawienie. Nic dziwnego, że kobiety padają ci do stóp.

– Niestety nie, *chérie* – jęknął. – W moje ramiona, owszem, ale do stóp nigdy.

Zanim zdołała mu odpowiedzieć, zamknął jej usta pocałunkiem i natychmiast pierzchnęły wszystkie niemile myśli.

Wiedziała, że informacje zmartwiły go. Widziała to w jego oczach. Trzej mężczyźni zamieszani w morderstwo wiedli spokojny żywot. Nie spotkała ich żadna kara. Jeśli chce o tym zapomnieć w jej ramionach, pomoże mu w tym. Objęła go mocniej, pozwalając, by wziął ją we władanie. W końcu był Francuzem, a oni wiedzą, jak dać kobiecie rozkosz. Pozwoli więc Francuzowi robić to, co potrafi najlepiej.

ROZDZIAŁ 7

Hope nie myliła się. Armand był przygnębiony informacjami, jakich mu dostarczyła. Myśląc, że zasnęła, udał się na spacer. Spojrzała na zegarek. To musi być bardzo długi spacer. Nie ma go już od trzech godzin. Właśnie minęło południe, słońce mocno przygrzewało. Wiedziała, że gdyby chciała go poszukać, znalazłaby go przypuszczalnie na brzegu jeziora, wpatrującego się w wodę lub rzucającego kamyki.

Do diabła, czy on nie wie, że pragnęłaby go pocieszyć? Dodać mu otuchy? I że sama też potrzebuje wsparcia?

Kochała Armanda i chciała być z nim przez cały ten czas, jaki mu jeszcze pozostał. Nie wiedziała, kiedy się zakochała, ale wiedziała też, że nie było to nagle oczarowanie. Miłość przepełniała ją powoli, rozrastała się w niej, potęgowała, aż wreszcie wypełniła każdy zakamarek jej ciała i umysłu. Miała świadomość tego i nie mogła się tego wyprzeć.

Zakochana w mężczyźnie, który był szowinistą jeszcze przed Chauvinem. Sama myśl o tym wywoływała uśmiech na jej twarzy. Armand był stworzony do tego, by narzucać swą wolę kobietom, wszystkim kobietom. Leżało to w jego naturze. Ale był to także znak czasów, w których żył. Równocześnie jednak to zachowanie na swój sposób jej się podobało. Początkowo nie bardzo wiedziała dlaczego, ale w końcu uzmysłowiła sobie, w czym rzecz. Był silny. I ta jego siła dawała jej poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie doświadczała z żadnym innym mężczyzną. Był opiekuńczy, nie będąc zaborczym. Był silny, ale nie dominujący. Potrafił przemawiać najłagodniejszym szeptem, zachowując przy tym dla siebie ostatnie słowo. Usłyszała trzask łamanej gałęzi. Podniosła głowę. Utkwiła wzrok w drzewach tylko po to, by ujrzeć wpatrzone w nią ciemnobłękitne oczy mężczyzny, który całkowicie zaprzętał jej myśli. Stopniowo naprężyły się w niej wszystkie mięśnie. Wyraz twarzy Armanda był bardziej wymowny niż wszelkie słowa. Mówił jej, że jest im przeznaczone być ze sobą przez cały czas, jaki im jeszcze pozostał.

Hope odpowiedziała gorącym spojrzeniem. Obserwowała go, gdy szedł ku niej z wdziękiem dzikiego zwierzęcia. Wydawało jej się, że widzi każdy mięsień jego wspaniałego ciała i z emocji niemal zabrakło jej tchu.

Armand usiadł obok na trawie. Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził ją za uchem.

– Jesteś niepewna, moja Hope? – spytał.

– Tak.

– Mnie czy siebie?

– Nas obojga – odparła.

– A nie sądzisz, że i ja mogę być niepewny? – Smutek zasnuł mgłą jego oczy. – Muszę obalić kamienną ścianę, by dostać się do twego serca, kochana. Za każdym razem, gdy udaje mi się trochę bardziej zbliżyć do ciebie, odtrącasz mnie, bo niezależnie od tego, co ci wyznaję, uważasz, że zajmujesz jedynie miejsce innej. Najwyższy czas powiedzieć głośno, że to nieprawda. Przypominasz ją, zgoda, ale jej nie zastępujesz.

Hope ogarnęła fala wzruszenia i czułości. Mówił o miłości do niej, a nie do innej kobiety.

– Jesteś pewien? – spytała szeptem.

– Tak. – W jego głosie nie było cienia wątpliwości.

– Kocham cię – rzekła spokojnie, czerpiąc siłę z samego dźwięku tych słów. Kiedy już je wreszcie wypowiedziała, poczuła się nagle tak lekko, jakby kamień spadł jej z serca. – A ponieważ cię kocham, Armandzie, boję się.

– Wiem – odparł. Oczy mu błyszczały. – Czekałem, żebyś to potwierdziła.

Przytuliła twarz do jego dłoni.

– Nie wiem, czy to bogowie sobie z nas żartują, czy też zetknęli nas ze sobą w jakimś konkretnym celu. Nie dbam o to, Hope. Teraz mam cię. I tylko to się liczy.

– A jeśli odejdziesz? – Bała się wypowiedzieć te słowa, ale nie miała wyboru.

Wzruszył ramionami, jakby chciał poddać się losowi. Pragnął ją pocieszyć, przytulić do siebie tak mocno, żeby zespolili się i nigdy nikt nie zdołał ich rozłączyć. Wiedział jednak, że to niemożliwe.

– To po prostu odejdę. Nic na to nie poradzimy. Ale teraz, gdy jestem tutaj, pragnę być z tobą przez cały czas. Kochać cię. Troszczyć się o cię.

– Nawet jeśli będę uparta i złośliwa? – uśmiechnęła się.

– Tak. – Skinął głową. – Nawet jeśli wpędzisz mnie w złość, zwłaszcza wtedy. Twoja dusza należy do mnie, Hope, tak jak moja do ciebie.

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy uświadomiła sobie głębię jego wyznania.

– Gdy będziesz płakać, otrę twoje łzy. Gdy będziesz się śmiać, będę się śmiał razem z tobą. Gdy będziesz niegrzeczna, ukarzę cię. – Jego dłoń powędrowała ku jej ramieniu, a później niżej, ku piersiom. Pogładził je delikatnie. – A gdy będziesz się kochać, to tylko ze mną.

– Ukarzesz mnie? – zjeżyła się Hope.

– Tak. Każdą kobietę należy bić.

– Niech ci to nawet nie przyjdzie do głowy – ostrzegła.

– Ależ moja droga Hope – roześmiał się – nie masz pojęcia, jakie to może być cudowne.

– Wybacz, ale mam inne zdanie na ten temat. – Spojrzała na niego z oburzeniem. – Może w twoich czasach tak było, ale nie w moich.

– Nigdy nie sprawiłbym ci bólu – powiedział, gdy dotarł do niego sens jej słów.

– A więc nigdy nie będziesz wymierzał mi kary.

– A ty nie będziesz niegrzeczna.

Roześmiali się jak na komendę, uzmysławiając sobie, jak komiczna była cała ta rozmowa. W chwilę później uświadomili sobie coś jeszcze. Byli ze sobą złączeni jakąś tajemniczą mocą, która sprawiła, że dzielili swoje myśli. I serca.

– Wyglądasz na bardzo szczęśliwą – mruknął, całując czubek jej głowy.

– Bo jestem szczęśliwa i ty o tym wiesz – zaśmiała się cicho.

– To dobrze. – W jego głosie brzmiała satysfakcja.

– Zarozumialec.

– Żebyś wiedziała. I nie bez powodu.

– Francuz w każdym calu – rzuciła żartobliwie, patrząc mu prosto w oczy.

– A kimże jeszcze mógłbym być, *chérie*? Delikatnie dotykał wargami jej ust, a po chwili usiadł i odgarnął jej włosy z czoła. Hope upajała się ciepłym blaskiem słońca przebłyskującego przez korony drzew. Siedzieli obok siebie, przytuleni, bliscy sobie bardziej niż kiedykolwiek. Było jej dobrze.

– Nikim innym. Nie wyobrażam sobie ciebie w innej roli niż francuskiego arystokraty. Jesteś do niej stworzony.

Jego ręce wędrowały teraz po całym jej ciele, badały płaskość jej brzucha, szczupłość talii, wypukłość piersi.

– Lubisz to? – spytał.

– O, tak, bardzo – przyznała skwapliwie, poddając się z rozkoszą pieszczocie jego rąk. – Lubię to tak bardzo, że aż się boję.

Wydawało jej się, że za chwilę serce pęknie jej na tysiąc kawałeczków. Przymknęła oczy, myśląc, że w ten sposób uniknie bólu, jaki czuła, patrząc na niego. Niestety. Ból był nie do zniesienia. Otworzyła oczy, pochyliła się nad nim i dotknęła ustami jego ust w niemym błaganu.

Przez następny tydzień nie poruszali sprawy jego zagadkowej śmierci, jak gdyby to był temat tabu. Hope była przygnębiona, że nie potrafi rozwiązać zagadki, ale nie mogła uczynić nic więcej niż czekać na odpowiedź od profesora Richardsa. W ten sposób przynajmniej mogła się odprężyć i cieszyć towarzystwem Armanda bez poczucia winy.

A jednak myślami wciąż błądziła wokół wydarzeń sprzed dwustu lat. Przypominał jej o nich bez przerwy kuferek stojący w rogu namiotu. Niekiedy widziała cień przemykający po twarzy Armanda. On zastanawiał się nad tym samym.

Mieszkała z nim teraz w namiocie na szczycie wzgórza. Co noc zasypiała, zanim zaczął znikać.

Wiedziała, że to tchórzostwo i zaprzeczanie faktom. Jej serce tęskniło za jego obecnością, chciała, by ją kochał, ale umysł był zbyt trzeźwy, by wierzyć, że to możliwe.

Pod koniec tygodnia poruszyła wreszcie temat, którego tak starannie unikali.

– Powinam już mieć odpowiedź od tego profesora, o którym ci wspominałam – zaczęła z wzrokiem wbitym w ziemię. – Tego, który bada dzieje rodzin mieszkających niegdyś w tej okolicy. Być może wpadnie na jakiś trop. – Ugryzła kawałek kanapki z taką siłą, jakby chciała te słowa wtłoczyć sobie z powrotem do gardła.

Armand westchnął z ulgą. Wreszcie wróciła do tematu. Wpatrywał się w swoją kanapkę ze złością. Wcale nie miał pewności, czy ten ciemny chleb z ziarnami w środku jest zdrowy. Czyż nikt tutaj nie wypieka dobrego francuskiego pieczywa? A może to ma być jakaś nędzna imitacja? Ugryzł kęs, pragnąc w duchu, by Hope przyniosła czasem do jedzenia coś, co znał.

– Kiedy? – spytał, wracając do jej słów.

– Pod koniec tygodnia.

– I co?

– Nic – syknęła. – Po prostu chciałam cię poinformować, że wyjeżdżam, na wypadek gdybyś za mną tęsknił i zastanawiał się, gdzie jestem.

Przełknął kawałek chleba, a resztę z powrotem zawinął. Należało tym karmić Anglików w czasie wojny. Nigdy w życiu nie byłiby w stanie wydawać rozkazów, mając usta pełne takiego paskudztwa.

– Będę tęsknił za tobą, Hope, ale nie za tym jedzeniem – powiedział zde gustowany, wiedząc, iż ją tym zirytuje. Poza wszystkim była to prawda.

– Wymyślił to angielski arystokrata, lord Sandwich – wyjaśniła, krztusząc się ze śmiechu.

– Był hazardzistą i hulaką. Wynalezienie sandwicha było jedyną dobrą rzeczą, jakiej w życiu dokonał. – Wyraz twarzy Armanda mówił sam za siebie, ale się nie odezwał. – Zrobię też jakieś zakupy – dodała.

Spojrzenie Armanda powiedziało jej, że nie wierzy, by przywiozła coś lepszego niż to, czym karmiła go do tej pory. Zachichotała.

Po chwili i on zaczął się śmiać.

– Myślisz, że udałoby ci się zdobyć niewielki befszytk z ziemniakami? – spytał nieśmiało. – A może trochę fasolki? Jakiś grzybek? Jedną wspaniałą cebulę?

– Może – odparła, drażniąc się z nim.

– Jak długo cię nie będzie?

– Ze dwa, trzy dni. Muszę zbadać wszelkie możliwe tropy, a także przejrzeć artykuły z drugiej połowy XVIII wieku na temat Minnesoty, zanim jeszcze została jednym ze stanów.

Przecięgnął dłonią po włosach, zmarszczył brwi.

– Nie sądziłem, że to potrwa tak długo – rzekł niezadowolony.

– Ależ to konieczne. – Hope położyła mu rękę na udzie. – W ten sposób może załatwię wszystko za jednym razem. Wrócę najszybciej, jak się da – obiecała.

– Wiem.

Raz jeszcze rzeczywistość przypomniała o sobie. Hope rozpaczliwie starała się rozwiązać ponury nastrój, ale nie wiedziała jak.

– Armandzie, mów do mnie. Cokolwiek, proszę.

– Dobrze, *chérie* – powiedział ciepło, ujmując ją za rękę. – Opowiem ci o moich pierwszych dniach na dworze.

– Królewskim?

– Oczywiście. – roześmiał się. – A na jakim by innym?

– Masz rację – uśmiechnęła się. – Opowiadaj’.

Armand ułożył się wygodnie na trawie, oparł plecami o drzewo. Hope przytuliła się do niego. Objął ją w pasie.

– Zaraz, gdzie to ja byłem?

– Na dworze. Ile miałeś lat?

– Chyba ze trzynastie. Właśnie osiągnąłem wiek męski.

– Wiek męski? – zdziwiła się. – Skąd to wiesz? Odbyla się jakaś ceremonia?

– Nie było żadnej ceremonii, moja słodka. Było to po prostu stwierdzenie faktu. Byłem dostatecznie dorosły, by płodzić dzieci.

Tym razem zrozumiała, ale udawała niewiniątko.

– Skąd o tym wiedziałeś? – dopytywała się. – Próbowałeś?

– To nie twoja sprawa, kochanie. – Przycisnął ją mocniej do siebie. – Po prostu wiedziałem i już.

– No dobrze, mów dalej – westchnęła kpiąco. Ucałował ją we włosy, starając się udobruchać.

– Mój ojciec uznał, że brat i ja – Francois miał piętnaście lat i udawał bardzo dorosłego – powinniśmy zobaczyć Wersal i przekonać się, co to znaczy należeć do francuskiej arystokracji.

– Mówisz jak prawdziwy Francuz – przerwała mu ironicznie Hope, nie przyznając się, jak duże wrażenie wywarł na niej pałac w Wersalu. Była tam przed kilkoma laty i na własne oczy widziała przepych, w jakim Armand się niegdyś obracał.

– Oczywiście – przytaknął. – Pojechaliśmy powozem ojca. Podróż trwała cztery dni. Gdy wreszcie dotarliśmy do bram Wersalu, odechciało nam się z bratem udawać dorosłych i zblazowanych. Pałac był iskrzącym się dziełem sztuki, połyskującym w słońcu bielą i złotem, podobnie jak nasz król, który roztaczał wokół siebie niebiański blask. Pełno tam było ludzi:

arystokratów, dworzan, kupców, żołnierzy, chłopów, a także najpiękniejsze kobiety, jakie kiedykolwiek widziałem. Mieszkało tam ponad trzy tysiące osób. Był to odrębny świat, żyjący własnym życiem.

Przerwał. Hope otworzyła oczy.

– Mów dalej – nalegała. – Co jeszcze zobaczyłeś? – Bała się, by nie stracił wątku. Oczyma wyobraźni ujrzała to wszystko, o czym mówił, i była ciekawa dalszego ciągu.

Przypatrywał jej się przez chwilę, ale widział coś, a może kogoś zupełnie innego. Uśmiechnął się.

– Nasz powóz przejechał przez ogromną żelazną bramę inkrustowaną złotem i zatrzymał się na dziedzińcu przy jednym z wejść. Ojciec dał nam wskazówki, jak się należy zachowywać na dworze, które natychmiast zapomnieliśmy. Wskoczyliśmy z powozu, wyglądając jak dwa wyrosnięte szczeniaki. W tym momencie uniosłem głowę i spojrzałem w głąb korytarza prowadzącego do wnętrza pałacu. Zaniemówiłem z wrażenia. Ujrzałem, jak zbliża się ku nam najpiękniejsza z pięknych kobiet.

– Kto to był? – spytała szeptem Hope, przejęta opowieścią. Czowała, że Armand zdrzął na wspomnienie tej kobiety.

– Jedna z wielu kurtyzan, jakie mieszkaly na dworze. Mogła mieć może siedemnaście lat, jej jedynym zadaniem było umilanie czasu wysoko urodzonym panom. Majątek jej rodziny skonfiskowano, gdy ojca zamknięto w Bastylji. Miała do wyboru takie życie albo żebranie na ulicach Paryża. – Głos Armanda zmienił się, gdy o tym mówił. – Dokonała wyboru, to była mądra kobieta. Zajmowanie czyichś łóżek zapewniało znacznie większy komfort niż

szlifowanie brudnych bruków paryskich.

– Zakochałeś się w niej? – zainteresowała się Hope.

– Nie na długo – odrzekł i Hope poczuła skurcz żołądka. – Chodziłem za nią całymi dniami, zebrząc o odrobinę łaski, o to, by na mnie spojrzała, by obdarzyła mnie uśmiechem, pogłaskała po głowie. Zachowywałem się jak piesek salonowy, który łasi się do swego pana. Byłem znacznie wyższy niż większość moich rówieśników. Matka mówiła, że jestem podobny do niemieckiej księżniczki, którą poślubił mój pradziadek. Była podobno taka wysoka, że sięgał jej zaledwie do piersi. – Uśmiechnął się z rozczuleniem, wspominając siebie z tamtych lat. Pełnego zapału wyrostka z długimi nogami i długimi rękami.

– I co się stało potem?

– To co zwykle w takich wypadkach. Po tygodniu wzięła mnie do łóżka i nauczyła, co to znaczy być mężczyzną. – Relacjonował to tak beznamiętnie, z taką obojętnością, że Hope nagle ogarnęła wściekłość, iż tak nonszalancko traktuje tamto doświadczenie.

– I to było wszystko, czego oczekiwałaś? – wycedziła przez zęby.

Zachichotał i mocniej przytulił ją do siebie.

– Gdy się jest tak młodym, ma *chérie*, wszystko wydaje się rajem. Tak, to było więcej, niż mogłem sobie wymarzyć.

– Tęskniłeś za nią później? – spytała, z trudem przełykając ślinę.

– Na pewno, ale zdobyłem tak dużo nowej, słodkiej wiedzy, że chciałem jak najprędzej wrócić do domu i wypróbować ją z innymi dziewczętami. Marie nauczyła mnie sztuki kochania, ale nie nauczyła mnie miłości.

– Rozumiem – westchnęła Hope ogarnięta zazdrością.

– Myślę, że nie rozumiesz, *ma chérie*. Marie przebywała w Wersalu tylko z tego jednego powodu. Zapewne i dziś są kobiety, które mają takie zadanie, prawda?

– Tak. Ale nie znam ich ani nikogo, kto by je znał – ucięła krótko Hope.

– Czy fakt, że nikt się do tego nie przyznaje, oznacza, że takie kobiety nie istnieją albo że nie oddają usług młodym mężczyznom?

– Nie.

– A więc wybac mi mój występki, Hope – powiedział, mierzwiąc jej włosy. – Byłem chłopcem i potrzebowałem takiej przewodniczki. Ona była moją nauczycielką. Wszystko się skończyło w dniu, gdy nasz powóz wyruszył w drogę powrotną. – Ucałował jej skroń, poczuła na skórze jego gorący oddech. – Tak czy inaczej, nie tę historię chciałem ci opowiedzieć. Zamierzałem opisać skarby Wersalu – malowidła i meble, a nie kobiety i intrygi. Był tam pewien obraz, którego nigdy nie zapomnę. Portret młodej kobiety o tajemniczym uśmiechu. Któregoś dnia ci go opiszę...

– Innym razem – mruknęła Hope, udając, że ogarnia ją senność. Widziała portret Mony Lisy.

– Innym razem – powtórzył. Nie ma sensu oddawać się wspomnieniom, gdy Hope jest w jego ramionach.

Leżeli obok siebie w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Słońce pomału zaczynało chylić się ku zachodowi, malując niebo płomienną barwą.

Tak wiele ich różniło, zadumała się Hope. Jego opowieść jest tego najlepszym przykładem. Gdy jednak trzyma ją w ramionach tak jak teraz, a ona czuje jego zmysłowy, męski zapach, dotyk jego ud, ramion i piersi, nie myśli o Wersalu sprzed dwustu lat. Myśli o tym, co dzieje się tu i teraz.

Zanim opuściła powieki, zastanawiała się, dlaczego ta opowieść uczyniła Armanda jeszcze bardziej realnym. Opowieść ducha o wydarzeniach sprzed dwu setek lat powinna jedynie pogłębić przepaść między nimi. Zanim zasnęła, stwierdziła jeszcze, że ludzie wcale się tak bardzo nie zmienili przez lata. Wciąż są tacy sami...

Armand stał na szczycie wzgórza i obserwował łódkę płynącą w kierunku drugiego końca jeziora, gdzie Hope trzymała to, co nazywała samochodem. Wziął do ręki podwójną lunetę, którą nazywała lornetką, i przyłożył do oczu. Obserwował twarz Hope.

Odgłos silnika niósł się po wodzie. Armand wpatrywał się w malejącą postać, wreszcie zamknął na chwilę oczy i odłożył lornetkę.

Hope. Była dla niego wszystkim. Była kimś więcej niż żoną, kochanką, powiernicą. Była tak słodka jak róża i tak jak róża potrafiła ukłuć. Była jego dziką różą, jego własną słodką kolczastą różą. Wydawało mu się, że stanowi jego drugą połowę. Była Faith – tyle że dorosłą.

Tak, kochał Faith, ale raczej opiekuńczym rodzajem miłości. Chroniłby ją przed światem i jego niegodziwościami, bo nie była dostatecznie silna, by móc znieść bolesną i twardą rzeczywistość. Mimo że wiedział o tym, chciał, by podjęła decyzję, czy wyjdzie za niego, czy pozostanie z ojcem.

Nigdy się nie dowiedział, co postanowiła. Dręczyły go wątpliwości, czy zjawiała się w umówionym miejscu, skąd mieli razem wyruszyć dalej. Prawdę mówiąc, nie na tyle wierzył w siłę jej uczucia, by być pewnym, że wybierze jego.

Gdyby matka pozwoliła jej dorosnąć, zamiast rozpieszczać jak małą porcelanową laleczkę... Gdyby ojciec traktował ją bardziej jak kobietę niż jak towar lub własność, którą można sprzedać na licytacji, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Teraz jednak myśli jego całkowicie pochłaniała Hope. Opiekowała się nim, chroniła go, starała się, by było mu dobrze i aby czuł się bezpieczny. Przejęła ster, ponieważ on nie mógł tego zrobić. Ograniczony niewidoczną barierą, która pozwalała mu wejść zaledwie parę kroków do wody, to on, a nie Hope potrzebował opiekuńczych skrzydeł.

Miał ochotę złorzeczyć bogom, że tak go pokarali, oskarżać los, że każe mu tułać się po ziemi, nie zaznając spokoju. Równocześnie chciał dziękować tym samym bogom, że pozwolili mu kochać taką kobietę jak Hope.

Jego wargi poruszały się w cichej modlitwie. Gdyby mógł wyrazić tylko jedno życzenie, poprosiłby, aby bogowie okazali się wspaniałomyślni i dali mu jeszcze jedną szansę, aby mógł spędzić swoje życie z Hope. Stała się jego *douceur de vivre*, słodyczą jego życia. Była jego życiem i jego miłością bardziej, niż wydawało mu się to kiedykolwiek możliwe.

Faith była jego pierwszą szansą na osiągnięcie szczęścia, Hope – drugą. *Mon Dieu*, potrzebował jeszcze jednej, by móc prowadzić normalne życie z kobietą, która była dla niego wszystkim. Trzeciej...

Hope stała przy wejściu na pocztę i otwierała list od profesora Richardsa. Modliła się w duchu, by zawierał pomyślne wieści. Przeczytawszy go, natychmiast pobiegła do telefonu i wykręciła numer profesora. Umówili się na spotkanie. W drodze na próżno starała się zachować spokój i nie obiecywać sobie zbyt wiele.

Profesor Richards był typowym okazem roztargnionego naukowca. Dobiał siedemdziesiątki, był nieprawdopodobnie chudy, a pochylone plecy sprawiały wrażenie, jakby całe życie spędził przy biurku.

– A więc ci mężczyźni przebywali tutaj przez pewien czas, na co wskazują dokumenty, czy tak? – spytał, podnosząc wzrok znad papierów piętrzących się na jego biurku.

– Tak – potwierdziła Hope, wręczając mu kartkę z nazwiskami i kopie rachunków za futra. – Sprawdziłam te źródła – dodała.

Profesor spojrział na papiery i odłożył je na biurko.

– Wiem, co zrobię, moja droga – powiedział. – Mam kopie pewnych dokumentów rodzinnych, które mogą się okazać pomocne. Prywatne listy, Biblie. Nie są dostatecznie wiarygodne dla badań naukowych, ale tak jest z większością dokumentów z tamtych czasów. Ludzie wówczas prowadzili dzienniki i pisali listy, ale najczęściej mocno wyolbrzymiali fakty. Pod tym względem dorównywali najlepszym rybakom – uśmiechnął się pod nosem. – Ale skoro mam nazwiska, jestem pewien, że znajdę jakieś informacje.

– Dziękuję, profesorze. – Hope odetchnęła z ulgą.

– Będę panu wdzięczna za wszystko, co pan znajdzie.

– Wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie. – Zatrzymałam się w hotelu na wschodnim krańcu miasta. Oto mój telefon.

Profesor podniósł się zza biurka i uściśnął jej dłoń. Myślami był już daleko.

– Do zobaczenia, moja droga. Gdy tylko coś znajdę, od razu do pani zadzwonię – powiedział, siadając i zagłębiając się ponownie w papierach.

Hope była już przy drzwiach, gdy ją zatrzymał.

– Panno Langston – zawołał. – Widzę, że figuruje tutaj nazwisko kapitana Trevora.

– Tak? – Hope wstrzymała oddech, czekając na dalsze słowa profesora. Milczał. – Podobno przebywał w Port Huron w Michigan – poinformowała skwapliwie. – Miał córkę o imieniu Faith.

Profesor zdjął okulary i przez dłuższą chwilę przecierał je chusteczką.

– Hm, tak. Myślę, że to ten sam.

– Ten sam?

– Zna pani rodzinę Haddingtonów? Bardzo sympatyczni ludzie. Z ogromną ofiarnością wspierają różne stowarzyszenia historyczne.

– Tak?

– Cóż, Haddingtonowie są bezpośrednimi potomkami Faith Trevor Haddington.

– Jest pan pewien? – Głos Hope drżał. – Jest pan tego absolutnie pewien?

– O, tak, moja droga, jestem pewien. Jaka szkoda, że nie ma ich teraz w mieście. Ich najmłodsza córka brała ślub w St. Paul w zeszłym tygodniu i rodzina wciąż jeszcze nie wróciła.

A więc Faith wyszła za mąż. Nie czekała na Armanda, lecz zakochała się w kimś innym.

– Wie pan, kiedy wróci? – spytała Hope.

– Któż to wie? – Profesor potrząsnął głową. – Jutro? Za parę dni? Może za tydzień? Być może do tego czasu zbierze pani dalsze informacje.

Pod Hope z wrażenia uginały się kolana.

– Dziękuję raz jeszcze, profesorze. Zostanę tutaj przez parę dni. Proszę nie zapomnieć zadzwonić do mnie, gdy tylko coś pan znajdzie.

Opuściła dom w stylu wiktoriańskim i podeszła do samochodu. Nie dysponowała wieloma informacjami, ale miała nadzieję, że je uzyska. A najważniejsze, że dowiedziała się czegoś o Faith.

Targały nią mieszane uczucia. Z jednej strony była wstrząśnięta odkryciem, że Faith okazała się tak niestała w uczuciach, jak przypuszczała. Z drugiej obawiała się, że ta wiadomość będzie dla Armanda ogromnym szokiem. Przecież Faith była dla niego wszystkim...

Kilka następnych godzin Hope spędziła w bibliotece publicznej w Duluth, a następnie w bibliotece uniwersyteckiej, gdzie studiowała archiwa, przeglądała stare listy, zapiski, stare Bible. Nic nie znalazła. Czowała rozczarowanie i żal.

Z trudem powlokła się do filii Historycznego Towarzystwa Północno-Wschodniego. Większość tutejszych źródeł pochodziła z drugiej połowy XIX wieku, ale natrafiła na kilka dotyczących interesującego ją okresu. Nie mogła tylko znaleźć nazwisk trzech mężczyzn.

Późną nocą, gdy jedząc przyniesiony do pokoju posiłek, oglądała wiadomości w telewizji, zdecydowała nagle, że rano wróci na wyspę. Wolała być z Armandem, niż wertować papiery, w których i tak niczego nie mogła odszukać.

Następnego dnia uznała, że cała ta wyprawa była bezowocna. Myślała tylko o tym, by jak najprędzej znaleźć się w ramionach Armanda.

Szybko spakowała byle jak walizkę. Właśnie szła do drzwi, gdy zadzwonił telefon. Zawahała się, zanim podniosła słuchawkę.

Piskliwy głos profesora sprawił, że serce zabiło jej mocniej.

– Jeśli to panią jeszcze interesuje, panno Langston – powiedział – to mam dla pani parę nowych informacji. Może pani wpaść do mnie o dowolnej porze. Miło mi będzie z panią porozmawiać.

– Dziękuję, zaraz będę – zawołała. Jak mogła być taka głupia? Już niemal się poddała, co mogłoby okazać się fatalne dla Armanda. Niezależnie od tego, jak bardzo za nim tęskni, musi szukać dalej.

ROZDZIAŁ 8

– Czy pan naprawdę uważa, że Haddingtonowie mogą więcej wiedzieć o Faith Trevor? – dopytywała się Hope, gdy ponownie znalazła się w gabinecie profesora Richardsa. Patrzyła wyczekująco na siedzącego naprzeciw uczonego.

– Moja droga, myślę, że jeśli ktokolwiek może coś o niej wiedzieć, to najprędzej Bella Haddington.

– Profesor spojrział na Hope znad okularów. – Faith była jedną z czterdziestu, a może pięćdziesięciu białych kobiet w Port Huron w tamtym czasie, a większość z nich albo wyszła za mąż, albo wróciła do miast rozrzuconych wzdłuż wschodniego wybrzeża. Z chwilą gdy wychodziły za mąż, ich nazwiska panieńskie znikwały z urzędowych rejestrów. – Profesor odkasznął, po czym mówił dalej. – Faith Haddington była jednak wyjątkiem, może dlatego że osiadła na zachodzie, a nie na wschodzie. Rozmawiałem telefonicznie z Bella Haddington, spotkałem ją też osobiście raz czy dwa. Lubi rozmawiać o tamtych czasach. Może wstąpi pani do niej po drodze? Niestety zapomniałem gdzieś jej numer telefonu – dodał. – Ale jeśli zapuka pani do jej drzwi i powie, o co chodzi, na pewno poświęci pani trochę czasu.

– Nie sądzi pan, że mnie wyrzuci? – Twarz Hope wyrażała zwątpienie.

Profesor zaśmiał się, wziął kartkę i zanotował na niej adres.

– Bella nie jest kobietą, która mogłaby kogokolwiek odprawić od drzwi – wyjaśnił. – Naprawdę, warto spróbować.

– Spróbuję – zapewniła Hope.

– Jeśli chodzi o tych mężczyzn – głos profesora wyrwał ją po chwili z zamyślenia – to sądzę, że doskonale dała pani sobie radę sama. Tajemnicą pozostaje dla mnie tylko ten dżentelmen, którego nie może pani zlokalizować, ten Henri Houdon. Jestem pewien, że w swoich notatkach coś o nim mam, ale nie mogę na to natrafić. Proszę o trochę cierpliwości – dodał uspokajająco. – Znajdę go. Moja pamięć może już nie jest taka niezawodna jak kiedyś, ale notatki na pewno.

– Dziękuję bardzo, panie profesorze – rzekła Hope, wstając. – Nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem panu wdzięczna.

– Nie ma sprawy, jak mówią moje wnuki. – Profesor uśmiechnął się, ściskając jej dłoń. – To dla mnie przyjemność, jeśli mogę zapoznać kogoś z jego przodkami. Taka więź między przeszłością a teraźniejszością jest bardzo ważna dla naszej przyszłości.

– Racja – przytaknęła Hope i ruszyła ku drzwiom. Znacznie łatwiej było powiedzieć profesorowi, że interesuje się swoimi przodkami, niż tłumaczyć mu, iż spotkała ducha, który chciałby dowiedzieć się czegoś ze swojej przeszłości. – Mogę wpaść jutro, przed wyjazdem z Duluth? – spytała jeszcze.

– Ależ oczywiście – odparł profesor. – Na pewno będę już miał coś nowego. – Spojrzął na papiery rozłożone na biurku. Hope była pewna, że tylko on może uporządkować jakoś cały ten chaos informacyjny. Nie miała zamiaru sama przedzierać się przez gąszcz źródeł i

dokumentów. Potrzebowała odpowiedzi, i to jak najszybciej, ale musiała działać rozważnie.

Spojrzała na zegarek. Uznała, że za wcześnie jeszcze na wizytę u kobiety, której nie zna. Powinna poczekać z godzinę lub dłużej.

Lekkim krokiem udała się do działu prasy miejscowej biblioteki. Musi się jeszcze niejednego dowiedzieć. Na pewno znajdzie jakieś artykuły z lat trzydziestych i czterdziestych na temat historii tych okolic. Może któryś z nich okaże się pomocny. Potrzebowała tylko jednego wyraźnego tropu.

Bibliotekarka wybrała mikrofilmy i wskazała jej miejsce przy monitorze. Hope strona po stronie przeglądała kolejne artykuły. Dzięki Armandowi epoka, w której żył, stała się jej bliższa. Ludzie, miejsca i wydarzenia, o których czytała, nie wydawali jej się wcale tak bardzo odlegli. Walki z Indianami, faktorie, gdzie skupowano i wysyłano skóry, dziwne ubiory i osobliwe narzędzia gospodarstwa domowego – wszystko to stanowiło część życia tych ludzi, którzy zmagali się tutaj z dziką przyrodą.

Nagle uwagę jej zwrócił jeden z artykułów. Zobaczyła fotografię portretu kobiety, co prawda wyblakłą nieco i zamazaną, ale rozpoznawalną. Wpatrywała się w nią zdumiona, serce skoczyło jej do gardła. Gdyby nie fryzura, mogłaby pomyśleć, że to jej portret.

Artykuł dotyczył Faith Trevor Haddington, która w rok po śmierci Armanda poślubiła oficera brytyjskiego. Jej mąż miał wtedy czterdzieści dwa lata, był więc znacznie starszy od niej. Zbudowali piękny dom w St. Paul i dochowali się trójki dzieci, syna i dwóch córek. Faith była świadkiem przesunięcia granic terytorialnych na korzyść Anglii, a następnie powstania Stanów Zjednoczonych. Przeżyła sześćdziesiąt dwa lata, ostatnie dziesięć jako wdowa. Jej potomkowie byli rozrzućeni po całej Minnesocie.

Krew odpłynęła z twarzy Hope, gdy czytała ten artykuł. Ukochana Armanda nie tylko wyszła za mąż, ale jeszcze wychowała troje dzieci. Hope słyszała głośnie bicie swego serca.

– Zna pani ten artykuł? – spytała bibliotekarkę. Bibliotekarka, krępa kobieta po czterdziestce, pochyliła się nad monitorem.

– Ależ tak, Faith Haddington. – Jej twarz rozjaśniła się nagle. – To tutejsza znakomitość. – Teraz jej głos brzmiał nieomal czule. – Jeden z jej potomków jest bardzo ważną osobą w Duluth. Musiała pani o nim słyszeć. To Jeff Haddington. Jest właścicielem jednej z największych firm handlu nieruchomościami w naszym stanie, z siedzibą tutaj, w Duluth. Oferuje zamożnym klientom tutejsze wyspy, na pograniczu Stanów i Kanady. Wie pani, nie cała ziemia należy do parku narodowego.

– Wiem – skinęła głową Hope, myślami błądząc zupełnie gdzie indziej. Nic dziwnego, że to nazwisko nie było jej obce. Ojciec często radził matce, by w razie sprzedaży wyspy skorzystała z pośrednictwa Jeffa Haddingtona. A Bella Haddington była jego matką. Teraz, myśląc o tym, Hope jak przez mgłę przypomniała sobie, że matka znała panią Haddington.

– A pani Haddington podarowała naszej bibliotece bardzo cenne materiały – dodała bibliotekarka. – To wspinała kobieta.

– Mieszka z synem? – zainteresowała się Hope.

– Chyba tak – uśmiechnęła się bibliotekarka.

– Mogę sobie zrobić kopię tego artykułu? – spytała Hope.

– Oczywiście. Proszę wrzucić monetę i nacisnąć ten guzik.

– A Jeff Haddington mieszka w pobliżu?

– Tak – skinęła głową bibliotekarka. – Dużo co prawda podróżuje, ale ma dom na końcu naszego miasta, w kierunku French Harbor. Wie pani, to piękny dom, z czerwonej cegły, ogrodzony wysokim kutym w żelazie płotem, usytuowany na zboczu góry, z której rozciąga się wspaniały widok na jezioro. To przepiękne miejsce, chyba najpiękniejsze w okolicy, jak mówią niektórzy.

– Nie mam co do tego wątpliwości – powiedziała Hope, wstając. – Bardzo pani dziękuję za pomoc. Przyjdę jutro.

W piętnaście minut później była już na drodze, która wiodła do rezydencji Haddingtonów. Z myśli nie schodził jej artykuł i fotografia portretu kobiety, która była tak ładną do niej podobną. Miała wrażenie, że stanęła twarzą w twarz z samą sobą. Po raz pierwszy od chwili, gdy ujrzała ten artykuł, pomyślała o Armandzie. Wziął ją za Faith. Teraz przynajmniej wiedziała dlaczego.

Była wstrząśnięta, że wygląda jak wierna kopia Faith. Ale jeszcze bardziej niepokoiło ją, że tak bardzo zależało jej na Armandzie. Teraz będzie musiała stawić temu czoło bogatsza o wiedzę, która była dla niej druzgocąca.

Kocha go. Sama mu to powiedziała. Teraz jednak wątpiła, czy zdołał dostrzec różnicę między nią a kobietą, którą kochał dawno temu. Jeszcze przed wizytą w bibliotece nie miała takiego zamętu w głowie, mimo że Armand był przecież duchem. Teraz, po odkryciu portretu i poznaniu losów Faith, czuła się bardziej niepewna niż kiedykolwiek.

Jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Armand zakochał się w niej tylko dlatego, że wyglądała jak Faith. Podejrzewała to co prawda, ale nie chciała przyjąć do wiadomości. Aż do tego momentu.

Ogromny dom z czerwonej cegły stał na zboczu góry, otoczony przepięknie kutym płotem i starannie utrzymaną zielenią. Na szczęście brama była otwarta i Hope wjechała na dziedziniec, kurczowo zaciskając dłonie na kierownicy. Modliła się w duchu, by czekały na nią tutaj odpowiedzi, których tak usilnie poszukiwała.

Gdy stanęła przed dużymi dwuskrzydłowymi drzwiami, opuściła ją nagle cała odwaga. Siłą woli zmusiła się, by nie uciec, i sięgnęła do dzwonka.

– Słucham? – W otwartych drzwiach stała starsza kobieta z przepięknymi siwymi włosami ściągniętymi w koński ogon. Miała na sobie dzinsy, jedwabną bluzkę w kolorze bursztynu i wiszące kolczyki w uszach. Mimo że musiała dobiegać sześćdziesiątki, miała doskonałą figurę.

– Pani Haddington? – wykrztusiła wreszcie Hope.

– Tak. W czym mogę pani pomóc?

– Chciałam prosić, aby zechciała mi pani opowiedzieć o Faith Trevor Haddington. Przygotowuję artykuł o pierwszych osadniczkach na tej ziemi i napotkałam również jej nazwisko.

Starsza pani przypatrywała się jej bacznie, studiując każdy szczegół twarzy. Najwidoczniej dostrzegła podobieństwo.

– Jest pani jej krewną? – spytała.

Hope uśmiechnęła się i wyciągnęła swoją legitymację prasową.

– Nie, ale mówiono mi, że jestem do niej podobna – wyjaśniła.

Mówił mi to pewien duch, który bardzo ją kochał, dodała w myślach.

– Oczywiście. – Na twarzy pani Haddington odmalowała się ulga. – Przecież pani jest córką Cynthii Langston. Spotkałam się z nią kilka razy, gdy przyjeżdżała na wyspę. Nie myłę się?

– Nie – odparła Hope. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczała.

– Słyszałam, że nie żyje. Tak mi przykro. Bardzo kochała te strony. Prawie tak samo jak ja.

– Wiem. Prawdę mówiąc, i ja przyjeżdżam tutaj zawsze, gdy mam coś do napisania. To mój prawdziwy dom.

Bella Haddington cofnęła się o parę kroków.

– Proszę, niech pani wejdzie, zobaczymy, czy zdołam pani pomóc. – Poprowadziła Hope do przestronnej biblioteki. Wzdłuż ścian stały przeszklone szafy pełne książek.

– Faith była niezwykłą kobietą – powiedziała pani Haddington.

– Naprawdę? – Hope usiadła na jednym z miękkich foteli przy kominku.

– Wyszła za mąż za oficera brytyjskiego, którego wybrał jej ojciec, wychowała troje dzieci w miejscu, gdzie dziś znajduje się St. Paul. Po śmierci męża prowadziła nadal rodzinne przedsiębiorstwo żeglugowe, dopóki syn nie dorósł na tyle, by móc je przejąć.

– Miała troje dzieci, prawda?

– Tak, chłopca i dwie dziewczynki. Chłopiec był moim prapradziadkiem.

– Był wysoki? – Hope odważyła się zadać pytanie, które cały czas chodziło jej po głowie.

– O Boże, nie – roześmiała się pani Haddington. – W tamtych czasach mężczyźni nie byli tacy wysocy jak teraz. Poza tym myślę, że oficer, którego poślubiła Faith, był mniej niż średniego wzrostu. Ojciec i syn byli chyba bardzo podobni do siebie.

– Skąd pani wie?

– Jak to... – Starsza pani uniosła pięknie zarysowane brwi. – Nie wie pani? Mam jej dziennik. Wszystko w nim szczegółowo opisywała. Każdy dzień, aż do śmierci.

– Czy można by... czy jest jakaś możliwość, bym go zobaczyła? – spytała Hope, za wszelką cenę starając się zachować spokój. Serce biło jej jak oszalałe. Czy Faith wspomina o Armandzie? O tym, czy czekała na niego tamtego dnia w Port Huron?

Bella Haddington potrząsnęła głową.

– Obawiam się, że nie. Jest zapieczętowany, żeby się jeszcze bardziej nie zniszczył. Może sobie pani wyobrazić, co zrobiła z nim wilgoć.

– No tak, oczywiście. – Hope z trudem ukryła rozczarowanie. Piętrzyła się przed nią przeszkoda za przeszkodą.

– Mam jednak kopię tego dziennika. – Starsza pani wstała. – Może ją pani zobaczyć, jeśli tak pani na tym zależy.

– Cudownie – wykrzyknęła Hope, podchodząc wraz z panią Haddington do dużego stołu w rogu biblioteki.

Z chwilą gdy zagłębiła się w dziennik Faith, zapomniała o bożym świecie. Zaczynał się od jej pierwszego dnia w nowym domu nad Missisipi, w osadzie, która z czasem stanie się St. Paul. W trzy godziny później płakała rzewnymi łzami, czytając ostatni rozdział.

„Wiem teraz, że młodość to czas błędów, wiek średni to czas wyrzutów sumienia, a starość żalu. Mój żal jest zbyt silny, bym zdołała go opanować. Mój żołnierz, mój żołnierz. Odszedł na zawsze i to była moja wina. Teraz, gdy tempo życia stało się wolniejsze i mam czas, by oddawać się rozmyślaniom, często się zastanawiam, co by się wydarzyło, gdyby Ojciec nie zachorował owej nieszczęsnej nocy i gdybym opuściła Port Huron? Czy on jest szczęśliwy? Czy ma dzieci, których tak bardzo pragnął? Czy tęskni za mną?”

Potem Faith pisała o swoich dzieciach i wnukach i wreszcie następowało zakończenie.

„Poznałam dziś młodego, świeżo upieczonego kupca o nazwisku Santeuil. Spytałam go, skąd to nazwisko, a on opowiedział mi swój rodowód. Powiedział mi też, że jego stryj musiał umrzeć dawno temu, gdyż nigdy nie powrócił do Francji ani też nie starał się ponownie odszukać brata. Ogarnął mnie smutek nie do zniesienia. Przez wszystkie te lata zastanawiać się nad szczęściem drugiej osoby, by na koniec dowiedzieć się o jej śmierci. Być może śmierć oznacza ostateczny spokój. Może jest miejscem spotkania myśli i miłości. Może. „

– Tylko niech pani nie płacze. – Bella Haddington wkroczyła do pokoju, niosąc tacę z filiżankami, dzbankiem i kanapkami. – Za każdym razem, gdy zbliżam się do końca, zaczynam beczeć. To tragiczna historia, prawda?

Hope zamknęła zeszyt.

– Ale jak ona zdołała przetrwać otoczona taką nienawiścią? Jej mąż musiał być potworem.

– Cóż, mam swoją teorię na ten temat. – Bella Haddington nalala herbatę i podała filiżankę Hope. – Myślę, że wiedział, iż Faith była zakochana w kim innym. W żołnierzu, jak się domyślam. Myślę, że mu to nie dawało spokoju i odgrywał się na niej. Nigdy co prawda nie użył wobec niej przemocy ani jej nie obraził, po prostu ją ignorował aż do momentu, gdy mógł publicznie powiedzieć coś złośliwego pod jej adresem. Z tego, co pisze Faith, wynika, że bardzo dobrze udawało mu się wprawiać ją w zakłopotanie.

Hope wyprostowała się i otarła łzy, trochę zażenowana swoim wzruszeniem.

– Ale dlaczego popełniła samobójstwo? Przecież on już od dawna nie żył! – wykrzyknęła.

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że Faith uważała się za starą i zmęczoną życiem kobietę. Żyła w ciągłym poczuciu winy i żalu, co czyniło z niej osobę prawdziwie nieszczęśliwą. Gdy dowiedziała się, że człowiek, którego naprawdę kochała, przypuszczalnie nie żyje, jej ostatnie marzenia prysły. Myślę, że chciała się z nim połączyć.

– Tylko że tak się nie stało – wyszeptała Hope.

– Kto to wie? – Bella Haddington wzruszyła ramionami. – Żyję dostatecznie długo, by wiedzieć, że na tym zwariowanym świecie wszystko jest możliwe.

Hope sięgnęła po herbatę. Na kanapki nie mogła nawet patrzeć.

– Zna pani może nazwiska mężczyzn, którzy pracowali u męża Faith? – spytała.

– Jedno lub dwa. A dlaczego?

– Tak tylko się zastanawiam. – Sięgnęła do torebki i wyjęła karteczkę z trzema nazwiskami. – Czy któreś z nich coś pani mówi?

Bella przyjrzała się bacznie nazwiskom, zmarszczyła brwi.

– Nie, na pierwszy rzut oka nie – powiedziała. – Ale może pani spytać profesora Richardsa w Duluth. On wydaje się wiedzieć wszystko o wszystkich, a przy tym jest uroczym rozmówcą. Może pani również odwiedzić historyczne budowle w tym mieście. W niektórych z nich są teraz muzea, pełne informacji.

– Dziękuję. – Hope wstała. – I dziękuję, że pozwoliła mi pani przeczytać dziennik Faith. Właśnie czegoś takiego poszukiwałam – dodała.

Starsza pani roześmiała się niemal dziewczęcym śmiechem.

– Bardzo się cieszę. Mój syn powiada, że mogłabym opowiadać historię naszej rodziny codziennie przez cały rok i jeszcze nie wyczerpałabym tematu. Ma rację.

Poszły wolnym krokiem do drzwi, zatrzymując się na chwilę w holu. Pani Haddington wskazała jeden z obrazów wiszących na ścianie.

– To właśnie Faith Trevor Haddington – powiedziała. – Nic dziwnego, że myślałam, iż pochodzi pani z jej rodziny.

Portret Faith umieszczony za szkłem wyblakł co prawda z biegiem lat, ale rysy twarzy były wyraźnie widoczne. Musiała mieć około trzydziestu lat, gdy go malowano. Z jej twarzy, mimo uśmiechu, emanował bezgraniczny smutek.

– Była piękna, prawda? – powiedziała ciepło Hope.

– Tak samo jak pani, moja droga – stwierdziła Bella Haddington. – Proszę dać mi znać, gdybym mogła pani jeszcze w czymś pomóc.

– Na pewno – obiecała Hope.

Przez całą noc obracała się z boku na bok, przeżywając po raz kolejny historię Faith. Nawet jeśli nie stawiała się na umówionym miejscu, pragnęła być razem z nim. Nie była za młoda na to, by nie wiedzieć, co dzieje się w jej sercu. Była tylko za młoda, by coś zdziałać.

I ta myśl nie dawała Hope spokoju.

Następnego ranka umyła się szybko w zimnej wodzie i wyszorowała zęby. Żeby mogła wyszorować w ten sposób swoje uczucia...

Niecały miesiąc temu spotkała ducha, który zupełnie odmienił jej życie, jej myśli i przekonania. Czy zakochała się w nim dlatego, że był duchem i niczym nie ryzykowała? Czy może dlatego, że był opiekuńczy, czuły i tak bardzo realny?

Nie wiedziała.

Według tego, co wyczytała w dzienniku, Faith była piękną, lecz kapryśną dziewczyną, która nie była skłonna poświęcić wszystkiego dla miłości. Później gorzko za to zapłaciła,

żyjąc z mężczyzną, który ją tyranizował.

Hope oparła rękę o umywalkę. Co to w końcu za różnica? Nieważne, co się stało, czy co czuł Armand, ona musi mu pomóc odnaleźć spokój duszy. Niebawem będzie musiała opuścić wyspę. Zima zaczyna się tutaj wcześniej, a wtedy okolica przypomina Arktykę. Niewidoczna ściana nie pozwoli Armandowi schronić się w domu. Nie ma wyboru. Musi teraz przyjść mu z pomocą, mimo że utraci go na zawsze.

Chwyliła torebkę i wybiegła z pokoju. Ma przecież jeszcze parę pytań do profesora.

Profesor grzebał w papierach.

– Mówiłem pani wczoraj, że jedno nazwisko nie jest mi obce. Nie myliłem się. Tourbet był francuskim żołnierzem, ale uznał, że sprzedaż futer do Francji jest znacznie lepszym sposobem zarobienia na życie i został traperem. Ożenił się z piękną Indianką, założył rodzinę. Później jego dzieci przeniosły się do Minneapolis, a teraz potomkowie tej rodziny żyją w Karolinie Północnej.

– Ach tak – powiedziała Hope. Starła się nadążać za słowami profesora, choć czuła wzmagający się głód. Powinna była coś zjeść, zanim przyszła tutaj.

– A słyszał pan może kiedykolwiek o kufierku inkrustowanym mosiądzem? – spytała. – Około trzydziestu centymetrów długości, misternie rzeźbiony i miał wysadzany mosiądzem uchwyt. Albo o kluczu z kości słoniowej? Wydaje mi się, że to była pamiątka rodzinna.

– Nie, chyba nie – zawahał się profesor. – Chociaż to nic nie znaczy, bo pamięć mnie ostatnio coraz częściej zawodzi. – Popatrzył na nią uważnie przez swoje grube szkła. – Czy ten klucz ma jakieś znaczenie?

– Tak naprawdę, to nie wiem – uśmiechnęła się.

– Jeden z moich przodków miał kiedyś taki klucz i była to rodzinna pamiątka. Być może gdybym go znalazła, odszukałabym także swoich krewnych.

– Rozumiem. – Profesor pokiwał głową. – Byłoby to dla pani coś w rodzaju potwierdzenia.

– Właśnie – przytaknęła Hope.

– Będę o tym pamiętał. Jeśli cokolwiek znajdę, dam pani znać. – Rzucił okiem na stos papierów na biurku.

– Mam pani adres.

– Tak, ale korespondencja przychodzi tutaj i odbieram ją raz w tygodniu. Proszę włożyć wiadomość do mojej skrytki, a gdy tylko ją dostanę, przyjdę do pana.

– Dobrze. – Widać było, że spieszno mu wrócić do pracy. – Nie mogę jednak niczego obiecać. Nawet we własnych badaniach nie wszystko udaje mi się rozwikłać. Jestem dopiero w” połowie drogi.

– Na pewno się panu uda – powiedziała Hope, podnosząc się z krzesła. – Jestem panu ogromnie wdzięczna za pomoc.

Ale on już tego nie słyszał. Zagłębił się w papierach.

Hope przez pół godziny starała się uzyskać połączenie z rodziną Tourbeta z Karoliny Północnej, by w końcu się dowiedzieć, że to ślepa uliczka. Nikt nigdy nie słyszał o kluczu z kości słoniowej. I nikt z rodziny szczególnie o to nie dbał...

Odebrała listy i nie otwierając ich nawet, włożyła do torebki. Wsiadła do samochodu. Po drodze wstąpiła jeszcze do sklepu spożywczego, po czym ruszyła w drogę powrotną.

Będzie musiała opowiedzieć Armandowi o tej rodzinie z Karoliny Północnej i o małżeństwie Faith. Poczula nagły skurcz żołądka. Oblała ją fala gorąca. Dopóki nie myślała o Faith, wszystko było w porządku. Ale na samą myśl o innej kobiecie ogarniała ją chorobliwa zazdrość. Nigdy przedtem nie była zazdrosna, ale też nigdy przedtem nie była aż tak bardzo zakochana. Nienawidziła tego stanu.

Armand stał na brzegu, nie opodał miejsca, gdzie zwykle cumowała łódkę. Ręce oparł o biodra, na piersi kołysała mu się lornetka, obserwował zbliżającą się łódź. Gdy tylko usłyszał warkot silnika, poczuł ogromną ulgę. Hope miała rację. Nic się nie stało, uspokajał sam siebie. Ale mimo że wróciła, coś jednak było nie w porządku. Nawet z daleka widział jej niespokojne ruchy. Twarz miała nienaturalnie bladą. Co się wydarzyło?

– O co chodzi? – spytał zaniepokojony, pomagając jej wysiąść z łódki. Nie zwracał uwagi na torby z zakupami, które wyrzuciła na brzegu. – Coś się stało?

– Nic – odparła. – Później ci powiem. Chwycił ją za ramiona i przytrzymał w miejscu.

Patrzył jej prosto w oczy.

– Nie. Powiesz mi teraz.

Hope nie znosiła, gdy ktoś jej rozkazywał.

– Najpierw wyniesiemy te paczki z łodzi – powiedziała.

– Masz mi powiedzieć, i to już – powtórzył, nie pozwalając jej zrobić ani kroku.

Zamknęła oczy, wiedząc, że jest tu tylko w zastępstwie kobiety, której podobiznę miała w torebce.

– Chodzi o Faith – domyślił się. Hope zadrżała.

– Tak – przyznała. – Dowiedziałam się, że Faith wyszła za mąż w rok po twojej śmierci i miała troje dzieci. Dożyła sześćdziesięciu dwóch lat.

– Kim on był? – Armand ścisnął jej ramiona aż do bólu.

– Oficerem brytyjskim. Nazywał się Charles Haddington.

Armand wydał okrzyk zdziwienia i rozluźnił uścisk. Hope cofnęła się. Pozwolił jej odejść, ukrył twarz w dłoniach, starając się opanować. Gdy wreszcie podniósł głowę, na jego twarzy malował się ból.

– Ten człowiek był najbardziej nadętym osłem, jakiego w życiu spotkałem – odezwał się wreszcie. – Faith starała się trzymać od niego jak najdalej, obawiając się, że może do tego dojść.

Hope milczała. Nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć – Nie lubiła go od chwili, gdy go po raz pierwszy zobaczyła. To było chyba na balu w forcie.

Hope skinęła głową. Miała nieodpartą chęć pogłodzić go po policzku, odgarnąć mu włosy z czoła, pocieszyć go, uspokoić, ale jego lodowate spojrzenie przykuwało ją do miejsca.

– Wiedziałem, że zmuszą ją do małżeństwa – westchnął, wzruszając ramionami. – Nie przypuszczałem tylko, że to będzie ten drań Haddington. Musiała mieć straszne życie.

Współczucie dla Faith podziałało na Hope jak płachta na byka. Zaczęła pakować z powrotem zakupy do pudełek, rzucając je byle gdzie i byle jak.

– Hope! Co ty robisz? – Armand chwycił ją w pasie, gdy pochyliła się nad torbami. Wykręciła się z taką siłą, że musiał ją puścić.

– Nic – syknęła. – Po prostu wracam do domu. Mam parę rzeczy do zrobienia, a ty potrzebujesz chwili samotności. Tak będzie lepiej, wierz mi.

– Nie! – krzyknął tak głośno, że odpowiedziało mu echo. Zacerpnął głęboko powietrza. – Przykro mi, ale nie pozwolę ci nigdzie pójść. Jesteś tutaj i tutaj zostaniesz.

– A niby po co? – wycodziła przez zęby. – Żeby patrzeć, jak rozpaczasz z powodu kobiety, która nie umiała postawić na swoim? Kobiety, która nie kochała cię na tyle mocno, żeby o ciebie walczyć? – Roześmiała się gorzko. – O, nie, dziękuję. Nie jestem masochistką, i nie mam zamiaru nikogo zastępować.

– Nigdy cię tak nie traktowałem – obruszył się.

Uklękła na ziemi, nogi odmówiły jej posłuszeństwa, ogarnęła ją furia. Oddychała pospiesznie, głos drżał z emocji.

– O, tak, właśnie tak mnie traktowałeś! – wykrzyknęła. – Powiedziałeś, że wyglądam tak jak ona i miałeś rację. Nic dziwnego, że myślałeś, iż mnie kochasz.

– Skąd wiesz?

Sięgnęła do torebki po kopię artykułu o Faith.

– Proszę! – Podsunęła mu papier. – Oto jej portret. – Zaśmiała się nerwowo, gdy brał kopię z jej drżących rąk. – Widziałam też oryginał portretu. Wyglądamy jak bliźniaczki, tylko fryzury mamy inne.

Armand uważnie przyjrzał się portretowi.

– Jesteście do siebie bardzo podobne, to prawda, i tak samo uczuciowe. Ale wasze charaktery są bardzo różne. Faith nigdy w życiu nie odważyłaby się mi sprzeciwić, powiedzieć swego zdania w czasie rozmowy, całkowicie oddać się uczuciom, kochać mnie tak żywo, bez żadnych zahamowań. – Rzucił okiem na artykuł i znów spojrzał na Hope. – Kobieta, którą jako młody człowiek kochałem w sposób wyidealizowany jest tu, na portrecie. Kobieta, którą kocham dojrzałą miłością mężczyzny, stoi przede mną.

– Czytałam jej dziennik, Armandzie. W młodości była kapryśną dziewczyną, a w podeszłym wieku rozgoryczoną, pełną żalu kobietą. Ale przeraża mnie to, że tak bardzo jesteśmy do siebie podobne. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Wydaje mi się, że nie potrafisz nas od siebie odróżnić.

– Ależ potrafię, Hope, potrafię – zapewnił ją żarliwie, obejmując i przyciągając do siebie. Była przecież jego miłością, jego ukochaniem.

Rozpląkała się, wtuliła głowę w jego szyję, miała wrażenie, że serce pęknie jej na drobne kawałeczki. Armand starał się ją uspokoić, pocieszyć, ukoić. Szeptał słowa miłości, delikatnie pieścił jej ciało. Przywarł do niej całym sobą, przypominając jej w ten sposób chwile, kiedy to on jej pragnął, potrzebował.

A później zaczęli się całować z takim zapamiętaniem, jakby to miał być ich pierwszy i ostatni pocałunek. Wtuliła się w niego, jakby chciała zespolić się z nim w jedną całość, jakby chciała szukać u niego ochrony. Chciała, by ją kochał, by ją całą wchłonął. Jak Faith mogła nie kochać go na tyle, by walczyć o prawo pozostania przy nim?

Ujęła w dłonie jego twarz, żarliwie oddawała mu pocałunki. Wargami dotykała jego twarzy, włosów, oczu.

Wsunął jej ręce pod bluzkę, likwidując pierwszą barierę między nimi. Rozpiął zamek jej dzinsów, ściągnęła je z siebie i położyła się na trawie. Znow przywarł do niej, nie chcąc ani na chwilę tracić z nią kontaktu.

Niecierpliwie rozpiniała guziki jego spodni. Tak bardzo go pragnęła. Dotknął ustami jej piersi, pieścił koniuszkiem języka sutki. Jęknęła cicho, gdy oderwał wargi i pogрузzył się w niej, przyciskając jej ciało do ziemi.

Kochali się tak namiętnie, tak zapamiętali jak nigdy przedtem. Zamknęła oczy z rozkoszy. Żyją, przecież to najlepszy dowód, że żyją, pomyślała. A później nie myślała już o niczym. Twarz jej płonęła, oczy błyszczały. Wpatrywała się w błękit jego oczu, aż wreszcie poruszył się po raz ostatni, doprowadzając ich ciała do takiego zespolenia, jakie może się zdarzyć tylko dwojgu kochającym się ludziom.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim wróciła do rzeczywistości. Patrzył na nią z tak ogromną tkliwością, że łzy wzruszenia napłynęły jej do oczu.

– *Ma petite* – wyszeptał, odgarniając jej włosy z czoła. – Tak bardzo cię kocham.

Armand pocałował ją raz jeszcze, po czym odwrócił się na bok i położył obok niej. Milczeli przez długi czas. W końcu wsparł się na łokciu i popatrzył na nią.

– Nie otworzyłaś listów, *chérie* – zauważył.

– To od ojca – odparła szybko.

– Oczywiście – bąknął zakłopotany. – Zaślepiiony ojciec, powinienem był się domyślić.

– Mój ojciec nigdy nie był zaślepiony.

– To dlatego pisze do ciebie aż dwa listy w tygodniu? – zdziwił się.

Hope wstrzymała oddech. Coś było nie tak. Usiadła i drżącymi rękami zaczęła przerzucać pocztę.

Armand miał rację. Były tutaj aż dwa listy od ojca, i to nie wystukane na maszynie na urzędowej papeterii, jak zazwyczaj, lecz włożone w zwykłe koperty i własnoręcznie zaadresowane.

ROZDZIAŁ 9

Hope szybko przebiegła wzrokiem listy od ojca. W pierwszym zawiadamiał, że wybiera się do niej, by samemu sprawdzić stan jej zdrowia. Przymknęła na moment oczy, starając się zachować spokój. Tylko tego jej brakowało. Czyż nie wystarczy, że ma tyle kłopotów z wyjaśnieniem zagadki Armanda? Teraz jeszcze będzie musiała uporać się z „zaniepokojonym” ojcem.

W drugim liście informował, kiedy przybędzie, i zapowiadał, że ze względu na pilne interesy pozostanie u niej tylko dwa dni. Pilne interesy? Nienawidził wyspy i najchętniej wcale by tutaj nie przyjeżdżał. Była zaskoczona, że aż tyle czasu zamierza z nią spędzić.

Jej stan zdrowia? Dzięki Armandowi nigdy nie był lepszy. Poza tym mogłaby przysiąc, że ojciec bardziej przejął się śmiercią swojej sekretarki niż jej przeżyciami w Ameryce Środkowej. Potrząsnęła głową, odsuwając od siebie tę myśl. Nie, to nie fair. Mimo że tyle ich dzieliło, ojciec nie był potworem. Prawdopodobnie chciał się upewnić, czy odzyskała równowagę psychiczną, aby móc z czystym sumieniem wrócić do swoich spraw. Zachowanie pozorów było dla niego najważniejsze. Armand obserwował ją, gdy po raz drugi czytała oba listy.

– Znowu będziemy musieli się rozstać – stwierdził ze smutkiem.

– Nie – odparła, dotykając palcami jego warg. – Ojciec przyjedzie tylko się upewnić, że wszystko jest w porządku. Będzie nocował w domu, a ja w namiocie. Z tobą.

– Naprawdę? – szepnęła, pochylając się nad nią. Poczowała na policzku jego ciepły oddech.

– Tak. Muszę doprowadzić do porządku dom i trochę posprzątać. Wkrótce przyjedzie. – Przejechała palcami po jego brodzie. Lubiała dotyk jego szorstkiej skóry. Nieważnie, co się stanie, ona i Armand spędzą razem resztę czasu, jaki im jeszcze pozostał. Na razie jest z nią, ale wkrótce odejdzie i wtedy będzie już żyła tylko wspomnieniami. Musi ich zachować jak najwięcej.

– Martwię się o ciebie – powiedział czule. – Masz w oczach napięcie i niepokój, a ja nie mogę nic na to poradzić.

– Wszystko jest w porządku – uspokoiła go z uśmiechem.

– Kocham cię, Hope. Teraz już o tym wiesz, prawda?

– Tak – szepnęła. – Teraz... wiem.

– Wszystko się ułoży.

Milczała. Nie wiedziała, czy on rzeczywiście tak myśli.

Właśnie kończyła makijaż, gdy usłyszała warkot silnika. Jeszcze raz przeczesła włosy, ściągnęła je do tyłu i spięła kłamrą. Szybki rzut oka w lustro upewnił ją, że wygląda jak nowo narodzona. Nawet trochę przytyła. Ojciec będzie mógł się przekonać, że pobyt na wyspie dobrze jej robi. Uśmiechnęła się sama do siebie. To Armand dobrze robi jej ciału i duszy.

Gdy motorówka przybiła do brzegu, Hope stała już na niewielkim moło, rozluźniona, z uśmiechem na twarzy.

Ojciec, w białych płóciennych spodniach i koszulce polo w biało-niebieskie paski, wyskoczył żwawo z łodzi. Ciemne włosy na skroniach lekko przyprószyła mu siwizna. Miał surową, kanciastą twarz, na której malowało się teraz pewne onieśmienie. Ale oczy, zazwyczaj zimne i opanowane, były przepelnione troską. Baczenie przypatrywał się córce. Podszedł do niej i wziął ją w ramiona, tak jak to czynił, gdy była dzieckiem.

– Dobrze wyglądasz, kochanie – mruknął. – Wciąż jeszcze trochę mizerna, ale znacznie lepiej niż miesiąc temu.

– Dzięki za komplement – zachichotała.

– Powiedziałem, że wyglądasz dobrze, ale nie w pełni zadowolająco – uściślił. – Ameryka Środkowa zrobiła swoje.

Hope pocałowała go w policzek, zaskoczona niespodziewaną czułością. Od kiedy przestała być dzieckiem, nie okazywał jej takich uczuć.

– Co za Ameryka Środkowa? – drażniła się z nim. – Niczego nie pamiętam. – W tym momencie uzmysłowiła sobie, że mówi prawdę. Nic jej to już nie obchodziło.

Ojciec wziął pudełko, które przywiózł ze sobą, drugą ręką objął ją za ramiona. Poszli wolno w kierunku domu. Nagle usłyszała gwizdanie. Spojrzała w lewo między drzewa. Stał tam, z rękami na biodrach, oparty o pień starej sosny, i gwizdał tę swoją melodię, którą znała tak dobrze. Widziała błyski w jego oczach.

Serce zabiło jej mocniej, gdy uprzytomniła sobie, że ojciec może go zobaczyć. Potrząsnęła ostrzegawczo głową, ale tylko wzruszył ramionami i pozostał na miejscu.

– Co się stało, kochanie? – Ojciec zatrzymał się.

– Coś cię boli? A może ci słabo?

– Ach, nie – wyjąkała. – Wszystko w porządku. Po prostu stanęłam na kamień i wykręciła mi się noga. Ale to nic. – Pochyliła się i roztarta kostkę.

Ojciec pochylił się również, więc wyciągnęła rękę, dając znak Armandowi, by się ukrył.

Musiał zauważyć, bo przestał gwizdać. Hope wyprostowała się i uśmiechnęła z ulgą. Ojciec nie spuszczał z niej wzroku. Przez chwilę patrzył na nią tak, jakby oszalała.

Przyłożył dłoń do jej czoła.

– Dobrze się czujesz? – spytał, przypatrując się jej baczenie. Czyżby obawiał się o jej zdrowie?

Nagle roześmiała się głośno. Przecież Frank nie może słyszeć ducha.

– Świetnie, naprawdę świetnie – zapewniła ojca.

– Nic mi nie jest. Po prostu troszkę naciągnęłam sobie ścięgno. Wiesz, że to moja pięta Achillesa.

– Ach tak – odparł zbity z tropu. Ruszyli dalej.

– W każdym razie nie straciłaś poczucia humoru.

– O, nie. Jest w jak najlepszym stanie. – Odetchnęła z ulgą.

Chrząknął w odpowiedzi, jakby nie wierzył w ani jedno jej słowo.

Otworzyła drzwi i wprowadziła go do kuchni.

– Napijesz się herbaty? A może coś zjesz? – spytała.

– O, nie, dziękuję. – Postawił pudełko na stole.

– Przywiozłem własne jedzenie. Bar w którym się zatrzymałem po drodze, pozostawiał wiele do życzenia, ale coś niecoś tam zjadłem.

Hope mogła to sobie wyobrazić. Między jeziorem a Two Harbors znajdował się tylko jeden bar, w którym serwowano domową kuchnię. Nie było tam szefa kuchni z Francji ani dań dla smakoszy, tylko pożywne, zdrowe jedzenie dla ciężko pracujących mężczyzn – zupełnie nie odpowiadające wybrednemu podniebieniu jej ojca.

Nie mogła się powstrzymać, by mu nie dokuczyć.

– Wielu tutejszych ludzi uważa, że to najlepsza restauracja w okolicy – rzuciła, stawiając czajnik na gaz.

– Nie wątpię. Ale mnie ona nie odpowiada. Chciałem zjeść rybę z rusztu, a dostałem smażoną. – Jego ton mówił sam za siebie. Hope roześmiała się.

Nalała herbatę i usiedli na ganku. Czekali, które pierwsze się odezwie. Zwróciła ku niemu głowę, ciekawa, o czym myśli. Wyglądał na zaniepokojonego, a Frank Langston nie bywał zdenerwowany bez ważnego powodu.

– Hope – zaczął z wahaniem – chciałbym, abyś pojechała ze mną do domu. Spędziła trochę czasu w Waszyngtonie. Wypoczęła.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Wiedziała, że się o nią martwił. Nie umiał tylko tego okazać. Nigdy nie umiał.

– Dzięki, Frank. – Ścisnęła go lekko za ramię. – Doceniam twoją troskę, ale czuję się naprawdę dobrze.

– Nie podoba mi się pomysł samotnego pozostawiania na wyspie. To zbyt niebezpieczne.

– Porwano mnie, kiedy byłem u ciebie – przypomniała mu łagodnie. – A poza tym Waszyngton jest twoim domem. Mój jest tutaj.

– To ten twój przeklęty zawód. – Frank dał upust złości, jaka nagromadziła się w nim po drodze. – Jest cholernie niebezpieczny. Gdyby nie ta praca, wyszłabyś za mąż i zajmowała domem pełnym dzieci, a nie włóczyła po świecie.

Uniosła w górę brwi. Nie na próżno była córką Franka Langstona.

– Uważasz, że wszystkie kobiety są stworzone tylko do tego – wykrzyknęła z oburzeniem. – A może tylko ja, bo mam to szczęście być twoją córką?

– Tylko nie tym tonem, młoda damo – ostrzegł.

– Nie tylko uważam, że twoja praca jest niebezpieczna, jestem też zdania, że powinnaś pomyśleć o innym stylu życia, nie tak prymitywnym. – Ruchem ręki wskazał wyspę.

Hope świetnie wiedziała, o co mu chodzi.

– Słyszałam już kiedyś ten argument. Szczerze mówiąc, niejeden raz. – Zwróciła ku niemu twarz.

– Czy to samo mówiłeś matce? – spytała ostro. – Zanim się z tobą rozwiodła, by zostać jedną z najlepszych programistek w kraju?

Nawet ptaki zamilkły. Ojciec popatrzył na nią z oburzeniem.

– To wstrętne, co mówisz – zachnął się.

– Owszem, tak samo wstrętne jak to, że chcesz mnie wciąż traktować jak dziewczynkę. – Spojrzała na niego z rozżaleniem. – Pamiętasz tamten rok, Frank? Kiedy umarła mama, a ty chciałeś, żebym przerwała naukę w college’u, bo wydawało ci się, że muszę dojechać do siebie po jej śmierci. A tak naprawdę chciałeś mieć posłuszną córeczkę, która odgrywałaby rolę pani domu dla połowy Waszyngtonu. – Hope przerwała na chwilę. – I nawet nie pofatygowałeś się na pogrzeb.

– Miałem atak choroby wrzodowej – bronił się Frank. – I był to również rok, kiedy zaczęłaś mówić do mnie Frank zamiast tato.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jakby chcieli sprawdzić, czyj ból jest większy. I nagle cała złość z niej uszła. Popatrzyła na spokojną, błękitną wodę jeziora.

– A niech to cholera – powiedziała spokojnie. Cykady przygotowywały się już do swej wieczornej serenady, słychać było wyraźnie plusk wody uderzającej o molo.

– Wiesz, że ją kochałem – zaczął ojciec. – Kochałem ją tak bardzo, że pragnąłem, by była ze mną przez cały czas.

– Ale nie na tyle, by pozwolić jej być sobą. – Hope z trudem zachowywała spokój. Nie chciała widzieć jego bólu i wyrzutów sumienia. – Chciałeś nas zamknąć w czterech ścianach, żebyśmy nie robiły nic innego, tylko czekały w gotowości, gdybyś przypadkiem zapragnął być ojcem i mężem.

– Nie wiesz, o czym mówisz – oburzył się. – Do małżeństwa trzeba dwóch osób.

– Tak samo jak trzeba było dwoje, by mnie spłodzić. Ale tylko jedno z was miało czas lub ochotę, by się mną zajmować. – W głosie Hope brzmiało rozgoryczenie. – A więc nie wygłaszaj tutaj takich komunałów. Wszystkie je znam na pamięć.

– Być może do pewnego stopnia masz rację. Ale fiasko naszego małżeństwa nie miało nic wspólnego z tobą i nie ono stanowi przedmiot naszej rozmowy. Przypominasz tamte sprawy tylko po to, by odwrócić uwagę od siebie.

– Wasze małżeństwo miało bardzo dużo wspólnego ze mną. Byłam przecież w samym jego środku.

– Hope zaczerpnęła głęboko powietrza. – A poza tym to ty nawiązałeś do waszego małżeństwa – dodała.

– Ja już odrzuciłam twoją propozycję.

– A więc wróćmy do tematu – rzekł, nie zwracając uwagi na niemiły nastrój, jaki się znów między nimi wytworzył. – Chcę, byś pojechała ze mną na parę tygodni do Waszyngtonu. Proszę. Później zobaczymy, co dalej.

– Dlaczego?

– Naprawdę uważasz, że całkowicie doszłaś do siebie po przeżyciach w Ameryce Środkowej? – Głos Franka złagodniał. Hope wzmożła czujność.

Nachyliła się do ojca, spojrzała mu prosto w oczy. Nie może przecież opuścić Armanda. Nie teraz.

– Chciałabym cieszyć się z twojej wizyty, Frank, ale nie mogę, jeśli wiem, że przyjechałeś tu tylko po to, żeby namówić mnie do wyjazdu. Wolałabym, żebyś zaakceptował moją decyzję. Nie wyjadę stąd. Zostanę tak długo, jak będę uważała za stosowne. Sama zdecyduję, kiedy opuszczę wyspę. I wtedy do ciebie przyjadę.

Mierzyli się spojrzeniem. Żadne z nich nie miało zamiaru ulec. Wreszcie ojciec spuścił wzrok. Hope wydała westchnienie ulgi. Za wcześniej.

– Jest jeszcze inny powód – zaczął ostrożnie. Hope przeszedł zimny dreszcz. – Komisja Spraw Zagranicznych Senatu chce, byś złożyła zeznania. Analizują naszą politykę wobec Ameryki Środkowej i dokonują weryfikacji kadr. Chcą, żebyś zabrała głos w tej sprawie. Prawdę mówiąc, żądają tego.

– A ty o tym od początku wiedziałeś – wycodziła przez zęby.

– Tak.

– A więc dlatego tu przyjechałeś? – Czy nie powinna była wyczuć, że za jego wizytą coś się kryje? – Chciałeś, żebym uwierzyła, że troszczysz się tylko o moje zdrowie. O moje dobro.

– Bo tak jest. Twoje zdrowie jest najważniejsze. Przesłuchania będą trwały trzy tygodnie i myślałem, żebyś najpierw trochę u mnie wypoczęła, zanim stawisz się przed komisją. Gdybyś miała normalny dom i rodzinę, nie byłabyś zamieszana w to wszystko. Oto dlaczego wolałabym, żebyś zrezygnowała z kariery zawodowej. Kariera ogałaca życie z wielu rzeczy. Także z radości. Wiem coś na ten temat. – Przymknął oczy. Na twarzy malował mu się ból. – Jak można mieć czas na miłość, gdy dwie osoby są pochłonięte pracą?

Hope odwróciła się i wpatrywała w ciemny las za domem, niczego tak nie pragnąc jak znaleźć się w opiekuńczych ramionach Armanda. Potrzebowała jego ciepłego dotyku, jego uspokajających słów, jego siły.

– Hope, robiłem co mogłem, żeby skreślono z listy twoje nazwisko – tłumaczył się Frank. – Ale nie było to w mojej mocy. Niezależnie jednak od tego, czy musiałabyś zeznawać, czy nie, chciałem, żebyś pobyła ze mną przez jakiś czas.

Westchnęła. Wiedziała, że przypuszczalnie jest tak, jak mówi.

– Nie martw się, Frank. Stawię się przed komisją. Ale wyjadę stąd dopiero w ostatniej chwili.

– A ja nie mam tu nic do powiedzenia?

– Nie – oświadczyła zdecydowanie.

– Jesteś moją córką, Hope. Miałem nadzieję...

– zawiesił głos.

– Ja też. Myślałam, że pewnego dnia staniemy się przyjaciółmi, jeśli nie rodziną.

– Nie mów w ten sposób. – Głos mu drżał. Naprawdę, czy tylko jej się wydawało?

– Gdyby to ode mnie zależało, Frank, to by cię tutaj nie było – powiedziała, wolno cedząc słowa.

– Siedziałabyś w Waszyngtonie i wysyłała do mnie kartki zapewniające, że chciałabyś być ze mną, a tymczasem myślałabyś wyłącznie o interesach. Tak jak to dawniej bywało... – Hope

dała upust rozgoryczeniu, które gromadziło się w niej przez te wszystkie lata.

– Mój Boże. Mówisz jak surowy sędzia.

Hope bez słowa odwróciła się i weszła do domu. Ojciec podążył za nią.

Resztę wieczoru spędzili na konwencjonalnej rozmowie. Jedzenie było wyborne, ale Hope myślała tylko o tym, by zostawić choć trochę dla Armanda. Po tym, czym go karmiła, byłaby to dla niego prawdziwa uczta.

– Hope? – Głos ojca wyrwał ją z zamyślenia.

– Tak?

– Gdzie mogę się położyć? – spytał, walcząc z ogarniającą go sennością.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Hope popatrzyła na ojca życzliwie. Dotychczas nie zauważyła zmarszczek między oczami i wokół ust, wyrazu zmęczenia na twarzy. Poczowała wyrzuty sumienia. Czas robi swoje, pomyślała. Postarzał się, a ona nawet nie wie, kiedy to się stało. Być może była tak samo ślepa jak on...

– Idź do sypialni. Wszystko już przygotowałam. Ja prześpię się poza domem.

– Co ci przyszło do głowy? Na litość boską, potrzebujesz odpoczynku bardziej niż ktokolwiek inny.

– Nie przejmuj się. Na szczycie wzgórza mam namiot. Świetnie mi się w nim śpi. Częściej sypiam tam niż w domu – wyjaśniła.

– A więc życzę ci dobrej nocy – powiedział, ruszając ku schodom. Najwyraźniej miał już na dziś dość kłótni.

W piętnaście minut Hope zrobiła w kuchni porządek. Było to najdłuższe piętnaście minut w jej życiu.

Wybiegła z domu. Wiedziała, że Armand na nią czeka. Mój Boże, tak niewiele czasu im zostało.

– Zaczynałem się już martwić. – Jego głos dochodził zza drzewa. Hope wpatrywała się w noc, usiłując dojrzeć w ciemności jego wysoką smukłą postać. Zupełnie zapomniała, że Armand nie może przekroczyć niewidocznej ściany. Siedział pochylony, ze skrzyżowanymi nogami, z dłońmi opartymi o kolana, wpatrzony w dom i ścieżkę.

Połowę jego twarzy rozjaśniało światło księżyca, reszta pogrążona była w cieniu. Nadawało mu to jakiś niesamowity wygląd. Oczy lśniły mu srebrzysto-błękitnym blaskiem.

Teraz, gdy wreszcie była przy nim, opuściło ją całe napięcie.

– Nie mogłam się wcześniej wyrwać – usprawiedliwiała się.

– Wiem coś na ten temat – zaśmiał się cicho. Wyciągnął rękę, chwycił ją i posadził obok siebie.

– Jak to? – spytała, przytulając się do jego piersi. Znowu się roześmiał i mocno ją objął.

– Znam cię. Pewno zawzięcie dyskutowałaś. Ale teraz, moja Hope, pozwól mi cieszyć się pięknem tej nocy. Jest tak spokojnie.

– Uhm – mruknęła, grzejąc się w ciepłe jego ciało. Oparła mu głowę na ramieniu. Znakomita poduszka, przemknęło jej przez myśl. Już zasypiała, gdy nagle otrzeźwił ją jego głos.

– Twój ojciec wydaje się bardzo rozsądnym człowiekiem. Nie rozumiem, dlaczego tak martwiłaś się jego wizytą.

– Rozsądnym? Próbuje zmusić mnie, bym pojechała z nim do Waszyngtonu. I to natychmiast. A ty mu jeszcze pomagasz, sprawiając, że zachowuję się jak wariatka.

– Dlaczego chce, żebyś z nim pojechała? – Armand wydawał się zaniepokojony. – Mówiłaś, że to twój ojciec, ale zwracasz się do niego po imieniu.

– To się zaczęło wiele lat temu – wyjaśniła usprawiedliwiająco. Po raz pierwszy jednak od czasu śmierci matki zastanowiła się, czy aby jej zachowanie rzeczywiście nie było dziecinne. Może i tak, ale z czasem coraz trudniej było zmienić tę sytuację.

– Myślę, że zaczynam cię rozumieć, moja Hope – powiedział Armand. – I z jakiegoś powodu martwi mnie to bardziej niż cokolwiek innego. – Westchnął zrezygnowany, jedną ręką gładząc ją pieszczotliwie po piersi. Wreszcie wstał i pociągnął ją ku sobie. – Chodź. Czas spać. – Objął ją w pół i poprowadził na szczyt. Opierała głowę o jego pierś, mocno trzymała go za rękę. – Chcę, żebyś leżała obok mnie. Wiem, że wtedy jesteś bezpieczna.

– Jestem bezpieczna – odrzekła, wspinając się na palce, by go pocałować. – I jestem szczęśliwa. Bardzo.

– Ja też, moja najdroższa. Ja też. – Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło.

Księżyc świecił jasno na rozgwieżdżonym niebie, ale Hope nie zauważała tego. Była tam, gdzie pragnęła być – w ramionach Armanda.

Łudziła się, że on nie zniknie, choć ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Im więcej miała informacji, tym szybciej to następowało.

– Jak moje własne dziecko może być tak uparte!

– Frank z dezaprobatą kręcił głową. Był najwyraźniej niezadowolony.

Siedzieli przy śniadaniu. Hope spokojnie pociągnęła łyk kawy.

– Nie znam drugiej osoby, która mogłaby dorównać ci w uporze – odcięła się Hope. – Musisz to mieć zapisane w genach.

– Uważaj co mówisz, młoda damo – ostrzegł ją.

– Wciąż jeszcze jestem twoim ojcem.

– Nikt temu nie przeczy. – Sięgnęła po dżem śliwkowy, który przywiózł ze sobą, i zaczęła rozsmarowywać go na grzance. – Ale nie jesteś moim strażnikiem. Zostanę tutaj do czasu rozpoczęcia przesłuchań.

– Proszę cię, jedź ze mną – nalegał Frank. – Wybrałem się tutaj, bo chciałem cię lepiej poznać, nadrobić czas, który straciliśmy przez naszą głupią dumę Langstonów. – Z wahaniem dotknął jej ręki.

Mimo że zachowywał się wobec niej jak nigdy przedtem, nie mogła ustąpić. Był przecież Armand, a ona nie może zachować się tak jak Faith. Nie przełoży ojca nad Armanda.

– Nie mogę. W każdym razie nie teraz. Proszę cię, daj mi trochę więcej czasu.

Zrezygnowany, opuścił ręce na kolana i pochylił głowę.

– A więc nie zgodzisz się, niezależnie od tego, co powiem? – spytał.

– Przykro mi, ale nie mogę – potrząsnęła głową Hope. – Daj mi dwa tygodnie. Tylko dwa tygodnie. Potem przyjadę do Waszyngtonu.

– Jeden. Musisz mieć parę dni na przygotowanie się do przesłuchania.

– Dwa – powtórzyła. – Twój zespół jest kompetentny⁴ a ja i tak nie mam wiele do powiedzenia.

– Dziecko, targujesz się jak wytrawny polityk – powiedział ze smutkiem, ale i z podziwem. – Kto wie, czy nie minęłaś się z powołaniem.

– O, nie – roześmiała się. – Nie mogłabym żyć w ciągłym napięciu. Lubię to, co robię.

– W porządku – westchnął Frank. – A więc dwa tygodnie. A potem przylecisz do Waszyngtonu. – Zawahał się, po czym popatrzył na nią nieśmiało. – Myślisz, że będziesz mogła zostać ze mną przez parę dni po przesłuchaniu?

– Z przyjemnością. Dziękuję – odparła.

– Bardzo się cieszę. – Frank umknął wzrokiem w bok. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miał łzy w oczach.

Reszta dnia upłynęła im leniwie. Spacerowali wzdłuż brzegu, rozmawiali o matce i Hope ze zdumieniem stwierdziła, że ojciec jest dumny z jej osiągnięć zawodowych. Nigdy tak naprawdę nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo był zazdrosny o pracę matki. Po południu odprowadziła go do mola, gdzie przycumował łódź. Trzymali się pod rękę.

– Wyrosłaś na prawdziwą młodą damę – powiedział. – Jestem z ciebie dumny.

– Dzięki, że to zauważyłeś – odparła, siląc się na obojętność, ale twarz jej oblała rumieniem.

– O, zauważyłem to już wcześniej – dodał z błyskiem w oczach. – Tylko nie miałem okazji ci tego powiedzieć.

– Okazji?

– No dobrze – westchnął. – Nic nie mówiłem, bo kiedy byłaś blisko mnie, tak bardzo starałem się wynagrodzić ci moją nieobecność, że aż przesadnie grałem swoją rolę ojca. Zresztą zawsze krępowały mnie wyznania. Ale bardzo cię kocham. Nawet jeśli nie okazuję tego tak, jak powinienem.

– Wiem, Frank – powiedziała, ściskając jego dłoń. – Ja też.

Zatrzymał się i popatrzył jej prosto w twarz.

– A więc zrobisz coś dla mnie? – spytał z nadzieją w głosie.

Skinęła głową, zastanawiając się, co też mogłaby dla ojca uczynić. Chyba nie będzie jej znowu prosił, by opuściła wyspę.

– Mogłabyś mówić do mnie tato? – spytał nieśmiało. Głos zadrżał mu lekko. Hope ścisnęło w gardle. W milczeniu zarzuciła ojcu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

– Rozumiem, że to znaczy tak? – spytał, nie ukrywając łez napływających mu do oczu.

– Tak, tato – odparła z trudem.

– Dziękuję, kochanie – powiedział, całując ją w policzek. – Muszę już jechać, bo ucieknę mi samolot. Za dwa tygodnie się widzimy, prawda?

W odpowiedzi uściśnęła go raz jeszcze. Wsiadł do łodzi, a ona poczuła się szczęśliwa, że po raz pierwszy od lat znów stali się sobie bliscy. To dopiero początek.

Hope pochyliła się nad Armandem i połaskotała go lekko w nos źdźbłem trawy. Leżał na śpiworze, z rękami pod głową, oczy miał zamknięte. Na ustach błąkał mu się uśmiech. Wyglądał jak mały chłopiec, który właśnie ukradł jabłko z czyjegoś drzewa.

– Muszę wracać do Duluth – powiedziała Hope.

– Wiem, czuję to.

– Co masz na myśli? – spytała zaalarmowana. Uśmiechnął się, otworzył oczy i spojrzał jej prosto w twarz.

– Myślałem nad tym, *chérie*, i doszedłem do wniosku, że im* bliższa jesteś znalezienia odpowiedzi na pytania, tym czuję się słabszy.

– Słabszy? – szepnęła przerażona. Serce zabiło jej mocno.

– Powinienem był ci to powiedzieć.

– Muszę wiedzieć takie rzeczy. – Hope z trudem przełknęła ślinę. – Kiedy to się zaczęło?

– W dniu, gdy wróciłaś z ostatniego wyjazdu.

– Ach, tak. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Nie byłaś sama i nie widywałem cię często. Cofnął rękę. Hope przeszedł dreszcz. Wbiła wzrok w jezioro. Czowała, że za chwilę się rozpłacze. Dotknął lekko jej uda.

– Hope, spójrz na mnie – poprosił. Odwróciła ku niemu głowę.

– Chcę znać wydarzenia ze swojej przeszłości i złożyć je w jedną całość, ale to nie oznacza, że chcę cię opuścić, moja najdroższa.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. Cóż z tego, że pragnąłem być częścią życia Faith, skoro jestem tutaj. Z tobą. Chciałbym zostać na zawsze, ale wiemy oboje, że to niemożliwe. Jeśli tylko będzie na to jakiś sposób, znów cię odnajdę. Na pewno – obiecał.

Rzuciła się w jego ramiona. Płakała. Łzy spływały jej po policzkach na jego nagą pierś. To niesprawiedliwe, że pokochała go tylko po to, by go utracić.

Ale teraz on jest tutaj z nią i trzeba wykorzystać te chwile jak najlepiej. Samotność i tak w swoim czasie nadejdzie.

ROZDZIAŁ 10

Profesor siedział przy biurku i gorączkowo wertował piętrzące się przed nim papiery.

– Gdzieś tutaj musi być, moja droga... o, jest.

– Podniósł głowę, uśmiechnął się z zadowoleniem. Widać było, że szukanie odpowiedzi na pytania Hope sprawiało mu przyjemność. – Nie zgadnie pani, co znalazłem.

– Nie. Co takiego? – spytała z uśmiechem, ale serce zabiło jej mocno. Wyglądało na to, że profesor odkrył coś naprawdę interesującego.

– Dzwoniła Bella Haddington. Powiedziała, że pani u niej była. Wspomniała również, że poradziła pani odwiedzić parę historycznych obiektów w okolicy.

– Spojrzał na Hope znad okularów. – Zrobiła to pani?

– Cóż, jeszcze nie – westchnęła Hope. – Chciałam to zrobić dzisiaj, choć nie wiem, czy to ma jakikolwiek sens. Kupcy, których losy mnie interesują, żyli sto lat przedtem, zanim wybudowano te domy.

– Wybacz mi, młoda damo, ale większość ludzi rozumowałaby podobnie. – Profesor odchylił się do tyłu, zadowolony z siebie. – Tymczasem ja przeprowadziłem małe śledztwo na własną rękę. Jeden z domów, dom Picarda, należy prawdopodobnie do prawnuka jednego z mężczyzn, którymi się pani interesuje. – Zajrzał do notatek. – Ten dżentelmen zwał się Jacques Pillon. Wiele nazwisk uległo zmianie w tamtych czasach. Istniało przecież wówczas tak wiele narodowości, a każda z nich miała własną pisownię i wymowę. Niekiedy człowiek zmienia nazwisko na nazwisko dalekiej, bardziej zamożnej odnogi rodziny, jakby w ten sposób i on mógł stać się bogatszy lub polepszyć życie swoje i swoich bliskich. Działo się tak zwłaszcza wtedy, gdy wielkie nazwiska i powiązania ze starą ojczyzną były symbolem statusu społecznego. Według moich notatek Pillon zniknął na krótko przed tym, gdy do jego firmy wszedł niejaki Picard. Dlatego sądzę, że to jeden i ten sam człowiek.

Hope potrzebowała paru minut, by przetrwać tę informację. Wpatrywała się w profesora, myśląc intensywnie. Nagle wstała i uśmiechnęła się szeroko.

– Dom Picarda? W Duluth? – spytała.

– Tak, oto adres. – Profesor wręczył jej małą karteczkę. – Życzę powodzenia. Jeśli dowiem się jeszcze czegoś, natychmiast zostawię wiadomość w pani skrytce.

Hope skierowała się ku drzwiom, nie mogąc się już doczekać, kiedy rozpocznie dalsze poszukiwania.

– Jest pan pewien, że to coś da? – upewniła się jeszcze.

– Pewien nie jestem. Myślę jednak, że powinna pani tam pójść.

Zawróciła i ściskając mocno dłoń profesora, potrząsnęła nią energicznie.

– Bardzo dziękuję, profesorze. Naprawdę bardzo dziękuję. Jest pan wspaniały. Po prostu wspaniały.

– Miło mi to słyszeć, moja droga – odparł, patrząc na nią tak, jakby nękała ją jakaś tajemnicza choroba. – Życzyłbym sobie, aby wszyscy tak gorliwie poszukiwali informacji o

swoich przodkach.

– O przodkach? No tak, właśnie – powtórzyła, myślami będąc już całkiem gdzie indziej. Odwróciła się i szybko pobiegła do samochodu.

Zaparkowała silnik, pomachała przez okno profesorowi i już jej nie było. Nagle roześmiała się głośno. Profesor stał w oknie, pocierając dłoń, którą uściśnęła mu na pożegnanie. Prawdopodobnie upłynie jeszcze parę minut, zanim będzie się nią mógł posługiwać.

Ponad godzinę szukała właściwej ulicy. Przez ten czas jej entuzjazm znacznie osłabł. Przypuszczalnie to kolejna ślepa uliczka. A poza tym, cóż to może mieć za znaczenie, że dom należał do przodków Pillona? Armand żył przecież sto lat wcześniej.

Dom Picardów wznosił się majestatycznie między starymi pałacami, w których żyli milionerzy w czasach, gdy kopalnie rudy tworzyły potentatów, a pieniądze płynęły tak obfitym strumieniem jak wody jeziora Superior.

Na trawniku przed rezydencją ustawiono dużą drewnianą tablicę, która informowała, że Dom Johna Picarda można zwiedzać przez cały tydzień z wyjątkiem poniedziałku, od godziny jedenastej do piątej po południu. Rzut oka na zegarek uświadomił Hope, że do zamknięcia pozostało jeszcze pół godziny.

Przekręciła gałkę u ciężkich, dębowych drzwi. Otworzyły się zadziwiająco łatwo, ukazując jasny hol i białą wazę ze świeżymi kwiatami, których zapach na moment przyprawił ją o zawrót głowy.

– Jest tu ktoś? – zawołała. Odpowiedziała jej cisza. – Serdecznie witamy – powiedziała sama do siebie, przestępując próg. Zauważyła foldery informujące o historii rezydencji i księgę pamiątkową leżącą po drugiej stronie stołu, na którym stała waza z kwiatami. Wzięła jeden z folderów i zajrzała do salonu po prawej stronie.

Pod jedną ze ścian stał stół z małymi krzesłami w stylu wiktoriańskim, służący przypuszczalnie do rozmaitych gier, przed kominkiem umieszczono sofę w czerwono-błękitny deseń, między sofą a fotelem dwie kanapy.

Wzdłuż ścian rozstawiono krzesła, a na małych stolikach lampy – również w stylu wiktoriańskim. Meble były najwyraźniej młodsze niż sam dom.

W następnym pomieszczeniu urządzone sypialnię z ogromnym wysokim łóżem. Była tam również pięknie zdobiona szafa na ubrania i skrzynia, na której stała miska i dzban.

Wyszła z sypialni, stukając obcasami po wywoskowanej drewnianej podłodze. Zajrzała do następnego pokoju. Mieścił się tu gabinet z dużym drewnianym biurkiem pośrodku, na którym rozłożono tylko kilka folderów. Pod ścianą stał szeszlong z drzewa mahoniowego. Prawdziwy skarb, prawdopodobnie jeden z tych, których John Picard nigdy nie posiadał.

Hope westchnęła. Podniecenie, jakie odczuwała w czasie rozmowy z profesorem, powoli ją opuszczało, ustępując miejsca rozczarowaniu.

Chciała już wyjść, gdy uwagę jej przyciągnęła gablotka na bocznej ścianie. Serce zabiło jej mocno. Wstrzymała oddech. Przez chwilę zastanawiała się, czy to nie złudzenie optyczne. Zmrużyła oczy. Cyzelowana rama zrobiona była z ciemnego drewna, a sama gablotka wyłożona zielonym aksamitem. W środku na aksamicie leżał duży klucz z kości słoniowej.

Pod gablotką umieszczono mosiężną tabliczkę informującą, że klucz ten w połowie XVIII wieku podarował pradziadkowi Johna Picarda pewien kapitan.

– Mój Boże, on naprawdę istnieje – wyszeptała Hope, wpatrując się w klucz, o którym Armand tyle jej opowiadał.

Wyciągnęła rękę, dotykając szklanej szyby, która dzieliła ją od upragnionego przedmiotu. Nigdy do końca nie wierzyła, że go znajdzie.

– Przepraszam, ale nie wiedziałam, że ktoś tu jest. – Usłyszała nagle za sobą damski głos. Cofnęła rękę i obejrzała się. W drzwiach stała wysoka kobieta w stroju z czasów wiktoriańskich. Uśmiechała się, ale bacznie obserwowała Hope, która była na tyle bezczelna, by chcieć dotknąć cenny eksponat pozostawiony pod jej opieką.

– Cóż, może pani przyjść tu jutro – dodała, spoglądając na zegarek. – Zaraz zamykamy.

– Proszę, jeszcze nie – wykrzyknęła Hope. – Niech mi pani pozwoli jeszcze zostać. Bardzo proszę... jeszcze chwilkę – wołała, wybiegając z gabinetu. Pomknęła do samochodu i w pośpiechu wyjęła z bagażnika aparat fotograficzny. Pędem wróciła do pałacu i z błyskiem podniecenia w oczach wpadła z powrotem do gabinetu. Kobieta patrzyła na nią zdumiona.

– Proszę mi tylko pozwolić zrobić zdjęcie i już mnie tu nie ma – błagała Hope. Wiedziała, że zachowuje się jak wariatka, ale przecież zachowywała się tak, od kiedy spotkała Armanda.

– Przykro mi, ale obawiam się... – zaczęła kobieta. Hope nie pozwoliła jej dokończyć.

– Wiem, że może się to pani wydać dziwne, ale to jeden z moich przodków był owym kapitanem, który podarował ten klucz Johnowi Picardowi. Pokonałam szmat drogi, żeby go zobaczyć. Zrobię tylko zdjęcie i zaraz odjadę. Obiecuję – kłamała Hope. Skłamał jednak i ten, kto umieścił napis na tabliczce. Czy jest jakaś różnica między jego a jej kłamstwem?

Twarz kobiety złagodniała.

– W takim razie, dobrze... – zaczęła, ale Hope już jej nie słuchała. Zajął się zdjęciami. Zrobiła ich chyba z piętnaście, a może dwadzieścia, aż wreszcie kobieta zaczęła głośno chrząkać, okazując w ten sposób zniecierpliwienie.

Hope nie pamiętała, jak przebyła drogę powrotną do centrum miasta, ale pierwszą rzeczą, jaką tam zauważyła, był duży szyld zakładu fotograficznego informujący, że robi się tu odbitki w ciągu jednego dnia, a wywołanie filmu jest bezpłatne.

Miała już gotowy plan działania. Powodowała się bardziej instynktem niż logiką, ale to była jej stała praktyka. Oddała negatyw dziewczynie za kontuarem i pojechała z powrotem do hotelu. A więc klucz istnieje. Przez cały czas był w zasięgu jej ręki. Teraz musi go już tylko ukraść.

Nie, to się nie uda. Był zamknięty w tej, jak się wydawało, dobrze zabezpieczonej gablocie przytwierdzonej na dodatek do ściany czterema małymi mosiężnymi śrubami. Jeśli go zabierze, natychmiast zauważą kradzież, a ona będzie pierwszą podejrzaną, zwłaszcza że oświadczyła, iż klucz należał do jej rodziny.

Musiałyby poza tym zrobić to w ciągu dnia, gdy dom jest otwarty. W oknach był zainstalowany alarm, a to znaczy, że włamanie jest wykluczone.

Wpadła na inny pomysł. A może by tak podmienić klucz na inny, identyczny. Nie wiedziała jeszcze, jak to zrobić, ale uznała, że to najlepszy sposób.

Nie mogła się już doczekać, kiedy zobaczy Armanda, by podzielić się z nim swoim odkryciem. Tylko że na wieść o kluczu Armand może zacząć znikać jeszcze szybciej.

Pochyliła się gwałtownie. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Radość ustąpiła miejsca niepokojowi. Intuicja mówiła jej, że teraz utraci mężczyznę, którego kochała bardziej niż samo życie. Potrzebowała czasu, by się zastanowić. Potrzebowała czasu, by się wypłakać.

Następnego ranka błyskawicznie się wykąpała i ubrała. W nocy obmyśliła bardziej konkretny plan i teraz nadszedł czas, by wprowadzić go w życie.

Pojechała do zakładu fotograficznego i odebrała zdjęcia. Miała czternaście odbitek, na każdej inne ujęcie klucza. Przyjrzała mu się dokładnie. Prawdziwie mistrzowska robota. Armand musiał zapłacić fortunę za tak piękny okaz rzemieślniczego kunsztu. Przede wszystkim musi poznać jego dokładne rozmiary.

Następną godzinę spędziła na poszukiwaniu sklepu z niezbędnymi narzędziami. Kupiła stalową miarkę, śrubokręt na tyle mały, by mogła ukryć go w dłoni i pasujący, jak jej się zdawało, do śrub mocujących gablotkę.

Pojechała po raz drugi do domu Johna Picarda. Kolana ugiwały się pod nią z przejęcia, gdy szła do frontowych drzwi. Odetchnęła z ulgą na widok zbliżającej się ku niej przewodniczki w stroju z epoki królowej Wiktorii, innej niż poprzedniego dnia. Przynajmniej jeden problem miała z głowy. Wystarczy jej już zamieszania z kluczem. Szła przez pokoje z przewodniczką, która szczegółowo objaśniała jej styl poszczególnych mebli i sprzętów znajdujących się w pałacu. Zmusiła się, by rzucić tylko pobieżnie okiem na klucz, gdy przechodziły z gabinetu do sypialni. Udawała, że uważnie przysłuchuje się słowom przewodniczki, starając się za wszelką cenę zachować cierpliwość.

Na zakończenie wyciągnęła dwudziestodolarowy banknot i z uśmiechem włożyła go do skarbonki, przeznaczonej na datki od zwiedzających. Przewodniczka szeroko otworzyła oczy. Uśmiechnęła się.

– Czy mogłabym jeszcze przez chwilę pobyc tu sama? – spytała Hope. – Ten dom jest tak piękny, że chciałabym dokładniej przyjrzeć się wszystkiemu, co mi pani pokazała.

– Ależ oczywiście. Proszę czuć się jak u siebie, tylko niczego nie dotykać. Wszystkie sprzęty są bardzo stare i delikatne, niektóre wazony i naczynia sklemano już nieraz.

– Może pani być spokojna. Kocham wszystko co stare – powiedziała Hope z figlarnym uśmiechem. Armanda i klucze z kości słoniowej, dodała w duchu.

– A więc zostawiam panią. – Uśmiechnęła się przewodniczka. – Gdyby miała pani jeszcze jakieś pytania, jestem w każdej chwili do dyspozycji.

Hope odpowiedziała jej uśmiechem i skierowała się do holu. Udała, że pilnie studiuje jedną z rzeźbionych skrzyń na ubrania, po czym udała się do gabinetu. Upewniwszy się, że jest sama i nikt jej nie obserwuje, wyjęła miarkę, papier i ołówek i przystąpiła do działania. Parę minut zajęło jej wymierzenie klucza, gdyż wisiał nieco powyżej poziomu jej oczu i nie wiedziała, czy może ufać swemu wzrokowi.

Słyszając głosy w holu, szybko schowała miarkę. Odwróciła się i stanęła przy biurku.

– O, pani jeszcze tutaj? – zdziwiła się przewodniczka, wchodząc do pokoju. Najwyraźniej o niej zapomniała.

– Tak. Właśnie oglądałam raz jeszcze to przepiękne biurko. Mistrzowska robota, prawda?

Młoda kobieta skinęła głową, po czym zwróciła się do dwóch starszych pań, którym towarzyszyła. Hope zaczęła, aż przejdą do następnego pomieszczenia. Ze zręcznością, o jaką by siebie nie podejrzewała, zaczęła odkręcać jedną ze śrub przytwierdzających gablotkę do ściany. Nie było to łatwe, tkwiły tam przecież od niepamiętnych czasów, ale w końcu się udało. O wpół do trzeciej była już u jubilera, dokładnie objaśniając mu, o co jej chodzi.

– To nie będzie proste – powiedział, kręcąc głową.

– Wynagrodzę pana czas i trud. Może pan być spokojny. Jestem pewna, że potrafi pan to zrobić.

– Owszem, pod warunkiem, że uda mi się znaleźć taki duży kawałek kości słoniowej. Piętnaście centymetrów to nie byle co.

– Dla artystów nie ma rzeczy niemożliwych – zaprotestowała Hope. – Jeśli pan uważa, że nie, pojedę do Minneapolis. Jestem pewna, że tam ktoś zrobi mi taki klucz w ciągu paru dni.

– Ależ ja to zrobię – obruszył się jubiler. – Muszę tylko sprowadzić kość słoniową.

– Więc proszę się pospieszyć. Potrzebuję tego klucza na koniec tygodnia. – Wyjęła małą śrubkę wykręconą z gablotki. – I ma być wmontowany w identyczną obudowę, a więc proszę zrobić otwory na śruby tego rozmiaru.

– Tak, proszę pani – odparł znużony. Ten dzień na pewno nie należał do najbardziej udanych.

W samochodzie Hope oparła głowę o kierownicę i odetchnęła z ulgą. Teraz może już wracać do Armanda.

Motorówka czekała na nią cierpliwie. Gdy tylko zapuściła silnik, jej wzrok powędrował ku wyspie. Gdzieś tam, na szczycie wzgórza, był Armand. Z brzegu wyspa wydawała się cała porośnięta drzewami, ale Hope dostrzegła, choć z trudem, głaz na szczycie. Wkrótce pogoda się zmieni z letniej na jesienną. W północnej Minnesocie jesień bywa co prawda krótka, ale zadziwiająco piękna. Dęby, klony i brzozy przybiorą barwy czerwieni i złocistej żółci, a później liście opadną, odkrywając wszystkie swe sekrety. A wtedy Hope wyjedzie.

Nie zauważyła Armanda. Dobiła do brzegu, wyłączyła silnik i zarzuciła linę na pal. Wskoczyła z łodzi. Osłaniając oczy przed słońcem, wpatrywała się w ścieżkę prowadzącą na szczyt, ale nie widziała Armanda do chwili, kiedy o mało się z nim nie zderzyła.

Stał obok niewielkiej sosny znaczącej granicę niewidocznej ściany. Zatrzymała się pod jego smutnym spojrzeniem, zanim jeszcze dotarli do niej inne szczegóły. Widziała krzak, przed którym stał. Armand tu był, ale zupełnie przezroczysty.

Oczy napełniły jej się łzami. A więc to prawda. Im bardziej zbliżała się do klucza, tym szybciej on znikał. Jej sukces był dla niego zabójczy.

– A więc zdecydowałaś się mnie odwiedzić? – spytał łagodnie.

Zatrzymała się o parę kroków od niego.

– Na pewno już wiesz, że coś znalazłam. W przeciwnym razie nie znikalbyś na moich oczach.

Armand potarł w zadumie brodę. Wyciągnęła rękę, by pogłodzić jego ramię, ale po chwili opuściła ją bezradnie.

– Tak, Hope, wiem – odparł zrezygowany, nie zauważając jej gestu.

Drogę na szczyt wzgórza przeszli w milczeniu. Żadne z nich nie miało ochoty ujawniać swego bólu z powodu nieubłaganej zbliżającej się samotności.

Hope usiadła na kocu pod dębem. Od razu przeszła do rzeczy.

– Znalazłam klucz. Jest w muzeum mieszczącym się w dawnym domu Johna Picarda. Był prawnikiem jednego z twoich trzech traperów, Jacquesa Pillona.

– Czuję, że go znalazłaś. – Armand stał nadal, z rękami opartymi na biodrach, wpatrzony w las za jeziorem. Myślami błądził w przeszłości. – To on prawdopodobnie mnie zabił. Dziwne, ale nigdy bym się tego po nim nie spodziewał. – Spojrzał przez ramię na Hope. – Masz ten klucz? – Chciał jej dotknąć, pocieszyć, ale nie bardzo wiedział jak.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Jest przymocowany do ściany, a muzeum przez cały czas pilnują strażniczeki. – Sięgnęła do torebki i wyciągnęła jedno ze zdjęć. – Chcę mieć pewność, że to ten. – Wręczyła mu fotografię z nadzieją, że sprawi mu tym przyjemność i wywoła uśmiech na jego twarzy.

Armand jednak nie uśmiechnął się. Rzucił tylko pobieżnie okiem na zdjęcie i skinął głową.

– Tak, to ten klucz.

– Tak też myślałam powiedziała łamiącym się głosem.

Odwrócił się ku niej, ręce wciąż miał oparte na biodrach, słońce lekko przeświecało przez jego postać. Dziwne, ale ta świetlana aura wokół niego sprawiała, że wydawał się jakby silniejszy.

– Co teraz zrobimy? – spytał.

– My – nic. To ja mam coś do zrobienia. – Hope spojrzała w dal, oczami wyobraźni widząc Armanda takim, jakim chciała go widzieć: rzeczywistym, silnym, należącym całkowicie do niej. Wolno odwróciła głowę i popatrzyła mu prosto w twarz.

– Zaniósłam zdjęcie do jubлера i podałam mu wymiary. Do końca tygodnia wykona kopię. Zastąpię oryginał kopią i przywiozę go tutaj.

– Mówiłaś przecież, że go pilnują.

– Owszem, ale chyba znalazłam sposób, żeby ich przechytryć. W każdym razie nie pozostaje mi nic innego, tylko spróbować.

– A później?

– A później wrócę tutaj i włożymy klucz do zamka. A później... – wzruszyła ramionami, jakby to była rzecz oczywista – zobaczymy.

Spojrzała w niebo. Rozpaczliwie starała się powstrzymać łzy napływające jej do oczu. Armand nie może zobaczyć, że płacze.

Oddychała z trudem. Poczula na włosach dłoń Armanda. Delikatnie odwracał jej twarz ku sobie.

– Nie, moja Hope – powiedział. – Tego nie zrobisz. Rozumiesz?

– Wracasz – wyszeptała, dotykając ręką jego policzka. Stawał się coraz bardziej realny.

– Tak – odparł. – Ale nie o to mi chodziło. Nie zrobisz tego. Rozumiesz?

– Czego? – Podniosła brwi, udając, że nie wie, o czym on mówi.

– Nie pozbawisz siebie życia – powiedział łagodnie, ale zdecydowanie.

Spuściła wzrok. Chociaż nigdy nie ujęła tej myśli w słowa, wiedziała, że właśnie to chciała zrobić, by pozostać razem z nim.

– Dlaczego nie? – zaprotestowała.

– Bo to nie czas na ciebie, by umierać. Masz przed sobą długie życie, masz przed sobą przyszłość. – Ścisnął lekko jej kark. – Możesz mi nie wierzyć, ale ja wiem. Wiem to na pewno, tak samo jak wiem, że kocham cię całym sercem. Jestem przekonany, że nasze dusze kiedyś się spotkają, by zakończyć to, co zapoczątkowała nasza miłość.

Hope nie była w stanie dłużej powstrzymać łez.

– Opuścisz mnie, odejdziesz do Faith, a ja zostanę tu sama. Nie rozumiesz? Kocham cię bardziej niż ona. Chcę spędzić z tobą życie – lub umrzeć.

– I zrobisz to, ale nie wcześniej, niż Bóg wezwie cię do siebie.

– Faith popełniła samobójstwo, mając sześćdziesiąt dwa lata – wykrzyknęła. – Wiesz dlaczego? Bo uświadomiła sobie, że popełniła błąd i chciała być wreszcie z tobą.

Uśmiechnął się smutno, potarł dłonią jej policzek.

– Biedna Faith – powiedział. – Nie była dostatecznie dorosła, nie dojrzała do miłości. Nawet w wieku sześćdziesięciu dwu lat.

– Ty nadęty ośle – oburzyła się Hope, uderzając pięściami w jego pierś. – Umarła dla ciebie. Ona, ze swą dziecięcą miłością. Dlaczego i ja nie mogę tego zrobić?

Chwycił ją za nadgarstki i przytrzymał mocno.

– Musisz żyć, abym, gdy mój czas się dokona, mógł wrócić do ciebie – wyszeptał.

Hope uspokoiła się. Wyswobodziła rękę i wytarła łzy spływające jej po policzkach.

– Nie wierzę ci – oświadczyła wreszcie, omijając wzrokiem jego twarz. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Powiedziałem ci przedtem, że myślałem, iż twoja dusza jest częścią duszy Faith. Tą częścią, która dorosła i dojrzała – i jako kobieta, i jako człowiek. Wciąż w to wierzę. Wierzę również, że się spotkamy ponownie, w przeciwnym razie nie bylibyśmy teraz tutaj. Jesteśmy sobie przeznaczeni. – Uśmiechnął się i ujął jej podbródek, podnosząc w górę twarz, by spojrzała na niego. – Muszę w to wierzyć. I ty też.

– Jesteś szalony – stwierdziła Hope, ustępując przed takim argumentem. – Wiesz o tym.

– Ale nie jestem sam, Hope.

– Nie, nie jesteś sam – przyznała.

– A więc wierzysz mi?

– Staram się...

Uśmiechnął się i tym razem jego uśmiech złamał jej serce. Zachowa tę chwilę w pamięci. Przez długi, długi czas...

– Uwierzysz – powtórzył z naciskiem. – A jeśli masz rację, moja Hope, i samobójstwo jest jedynym rozwiązaniem, to czy Faith nie powinna być teraz u mego boku? – Rozejrzał się wkoło. – Jeśli tak, to gdzie ona jest?

– To wszystko na nic – poddała się Hope. Uzmysłowała sobie, ile prawdy tkwi w jego słowach.

– A więc spróbujmy zrobić to, co ja zaproponowałem, dobrze? – nalegał. – Wiem, że to najwłaściwsza droga. Po prostu wiem. – Zamknął ją w ramionach i przytulił do siebie. Zaczął delikatnie pieścić jej piersi. Westchnęła.

– Kocham cię Armandzie – wyszeptała. – Kocham cię aż do bólu.

– A więc pozwól mi ukoić ten ból.

– Zrób to – szepnęła, tuląc się do niego z rozpaczą i nadzieją zarazem.

Kochali się z taką desperacją, jakby widzieli się po raz ostatni. A później leżeli przytuleni do siebie, trzymając się w ramionach. Patrzyła w jego ciemnobłękitne oczy i nagle ogarnęło ją uczucie takiego absolutnego spełnienia, jakiego nie doznawała nigdy przedtem.

– Leż spokojnie, moja Hope – poprosił. Czuł się lżejszy niż przedtem. Wiedziała dlaczego. Wyczerpał całą swoją energię i rozplywał się w powietrzu.

Hope poczuła ciężar w piersi i ucisk w gardle. Nie liczyło się nic poza tym, że on z nią jest. Teraz.

Udawała, że wszystko jest w porządku.

Dni mijały teraz zbyt szybko. Choć starała się tego nie okazywać, cały czas towarzyszył jej lęk, że on zniknie.

Zbyt szybko nadejdzie pora, gdy będzie musiała wracać do jubilera po replikę klucza. Nie mówiła o tym. Nie mogła. Ale oboje o tym wiedzieli.

ROZDZIAŁ 11

Uśmiech zadowolenia na twarzy jubilera świadczył, że był dumny ze swego dzieła.

– Jak się pani podoba? – spytał, pokazując Hope klucz.

Przyjrzała mu się dokładnie, a następnie porównała z oryginałem na zdjęciu. Skinęła głową z aprobatą.

– Świetna robota. Są identyczne – stwierdziła. Jubiler ostrożnie położył swoje dzieło na szklanym kontuarze. Zmarszczył czoło.

– Wie pani, jedna z dziewcząt mówiła, że gdzieś już taki klucz widziała.

– Z pewnością – przytaknęła z uśmiechem Hope.

– Oryginał znajduje się w domu Johna Picarda. Widzi pan, jeden z moich przodków był owym kapitanem statku, który dał ten klucz pradziadowi Picarda, a ponieważ nie mogę mieć oryginału, poleciłam wykonać jego replikę dla mojej matki. Interesuje się historią naszej rodziny, więc podaruję jej ten klucz na urodziny – kłamała jak z nut.

– To miło z pani strony. – Jubiler rozpromienił się.

– Moją matkę też interesują rodzinne pamiątki. – Zaśmiał się. – Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem dlaczego. W naszych żyłach nie płynie błękitna krew. Wywodzimy się z rodziny drwali.

Hope odetchnęła z ulgą. Przeszli na bezpieczniejszy temat. Usiłowała sobie wyobrazić, ile lat może mieć matka jubilera, skoro on sam wygląda na sześćdziesiąt lub więcej.

– Drwale przyczynili się do tego, że ten świat jest dziś właśnie taki. Są tak samo ważni jak kapitan statku dla naszej rodziny. – Sięgnęła po książeczkę czekową i wypisała odpowiednią sumę.

W piętnaście minut później opuściła zakład jubilerski. Jubiler okazał się bardzo rozmowny i zadawał całą masę pytań, na które musiała udzielać wymijających odpowiedzi. Ale teraz, gdy miała już swój skarb, wiedziała, że warto było się trudzić. Nie opłacało się spieszyć. Pośpiech mógłby się wydać podejrzany, a jubiler mógłby nie uwierzyć w jej wyjaśnienia. A nuż zapytałby nawet kogoś z domu Picarda...

Odsunęła od siebie te myśli, zbyt zaabsorbowana następną częścią swego planu. Przez cały czas była tak spięta, jakby czekała, że za chwilę ktoś chwyci ją za ramię i oskarży, że łamie prawo.

Gdy tylko znalazła się w samochodzie, schowała klucz do dużej torby. Wyjęła ostrożnie śrubkę z portmonetki. Pasowała idealnie do otworków w gablotce. Odetchnęła z ulgą.

Podjechała do stoiska z hamburgerami, zamówiła kanapkę z serem i sałatą i zjadła ją w samochodzie. Za godzinę przewodniczki pilnujące domu Picarda zmieniają się. Wtedy ukradnie klucz. Przy odrobinie szczęścia będzie na wyspie przed wieczorem.

Musi być. Tego ranka Armand przypominał ducha bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Wyglądał jak widmo na tle błękitnego nieba i ciemnej zieleni drzew. Nie może zniknąć przed jej powrotem. Nie może.

Marzyła o tym, by te dni, które minęły, nie stały się przeszłością. Może jeśli wszystko zrobi tak jak trzeba i uporządkuje sprawy tak, jak powinny być uporządkowane, los wynagrodzi ją za to, pozwalając Armandowi zostać.

Nadszedł wyznaczony czas. Zaparkowała przed domem Picarda, wcisnęła śrubokręt do tylnej kieszeni dżinsów, wyjęła aparat fotograficzny i statyw i poszła w kierunku drzwi. Torba przewieszona przez ramię ciążyła jej, ale Hope zachowywała się tak, jakby była to najlżejsza rzecz pod słońcem.

Zmartwiała, gdy zobaczyła przed sobą tę samą przewodniczkę, co pierwszego dnia. Uśmiechnęła się jednak jak gdyby nigdy nic.

– A, to pani, witam – zawołała z udaną obojętnością. – Mam zrobić parę zdjęć dla jednego z tutejszych prominentów. Mam nadzieję, że dzwonił i uprzedził panią?

– Nikt nie dzwonił – odparła lodowato kobieta, patrząc na Hope podejrziwie. – O jakiegoż to tu prominenta pani chodzi?

– Jeffa Haddingtona. Chce je podarować matce. Interesuje się bardzo historią Duluth, więc zdjęcia sprawiłyby jej miłą niespodziankę. Poza tym jego matka miała podobno kiedyś taki mahoniowy szeszlony jak ten, a więc ucieszy się, widząc podobny. Te zdjęcia będą tylko do prywatnego użytku. Pan Haddington miał panią powiadomić. – Nazwisko mężczyzny, który był filarem społeczności w Duluth, wymówiła ze specjalnym naciskiem. Liczyła, że wyrze ono odpowiednie wrażenie. Przewodniczka zastanawiała się przez chwilę.

– Proszę, niech pani idzie. Może pani w czymś pomóc? – powiedziała wreszcie.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie sama – rzuciła szybko Hope, kierując się prosto do gabinetu. – Muszę się spieszyć – wyjaśniła. – Światło może się zmienić i zdjęcia się nie udadzą.

Szybko rozstawiła statyw i umieściła na nim aparat. W ciągu pięciu minut wykręciła dwie śruby z oryginalnej gablotki, zdjęła ją i wsunęła do torby, wieszając na jej miejsce replikę. Właśnie wkładała śrubę i zamierzała ją na powrót przykręcić, gdy w drzwiach ukazała się przewodniczka.

Hope zmartwiała. Uśmiechnęła się do kobiety, po czym zaczęła odkręcać śrubę, którą dopiero co umocowała.

– Co pani robi? – spytała zdumiona przewodniczka.

– Zdejmuję klucz, żeby go sfotografować – odparła Hope jak gdyby nigdy nic. – Jest za wysoko, a światło odbija się w szkle. Będę musiała położyć go na biurku.

– Obawiam się, że to niemożliwe – powiedziała kobieta surowo. – Niczego tutaj nie wolno dotykać ani ruszać. Mogłaby pani coś uszkodzić.

Hope wzruszyła ramionami, jakby nie miało to dla niej większego znaczenia.

– W porządku. Skoro pani tak mówi. Chciałam po prostu zrobić jak najlepsze zdjęcie, to wszystko. – Zabrała się ponownie do wkręcania śrub, modląc się w duchu, by nie trzęsły jej się ręce. Gdy tylko uporała się z tą robotą, skierowała aparat na gablotkę z kluczem. Przewodniczka nie spuszczała z niej oka.

Gdy w końcu wyszła, uśmiech ulgi pojawił się na twarzy Hope. Odetchnęła głęboko. Przez następne pięć minut robiła zdjęcia. Wreszcie spakowała sprzęt i skierowała się do wyjścia. Oryginalny klucz spoczywał bezpiecznie w jej torbie. Przez cały czas bała się jednak, że jeszcze w ostatniej chwili ktoś ją zatrzyma.

Dopiero w samochodzie odprężyła się całkowicie. Hope Langston, wszędobylska fotoreporterka i mistrzyni intrygi, pomyślała o sobie z dumą.

Nie mogła się doczekać, kiedy wróci na wyspę i opowie o wszystkim Armandowi. Nagle uśmiech znikł jej z twarzy. Nacisnęła z całej siły na pedał gazu. Dałaby wszystko, żeby móc zobaczyć go jeszcze jeden raz.

Jeszcze raz...

Nad horyzontem zawisły ciemne chmury. Wierzchołki drzew wyglądały na ich tle niesamowicie i złowieszczo. Hope nie zwracała uwagi na otoczenie. Myślała tylko o Armandzie. Czy będzie jeszcze na wzgórzu, czy może już zniknął? Może nastąpiło to w chwili, gdy wkręcała ostatnią śrubę? A może czeka na nią nie uwięziony już za żadną niewidoczną ścianą? Modliła się szeptem, wspinając się ku skale – i ku Armandowi.

Wpatrywała się w ścianę drzew, szukając niewidocznej ściany, szukając jego. Ogarnęła ją panika. Oczami przeszukiwała las.

– Armand – zawołała.

– Armand – odpowiedziało jej echo. Z sercem ściśniętym bólem szła dalej. Gdy znalazła się na ich polanie, rzuciła torbę na ziemię i zaczęła przeszukiwać każdy zakątek. Wreszcie bezsilnie osunęła się na trawę, opierając o duży klon.

– Nie ma go – wyszeptwała bezgłośnie. Nie wiedziała, co się dzieje wokół niej. Myślała tylko o jednym. Musi go odzyskać. Musi. Choćby na chwilę, po to tylko, by mu powiedzieć, jak bardzo go kocha, poczuć jego bliskość. On miał rację, są sobie przeznaczeni. Jest jej drugą połową. Oczy jej płonęły. Nie mogła znieść myśli, że straciła te ostatnie chwile i nie zdążyła mu powiedzieć, że go potrzebowała jak ziemi, powietrza, wody, pożywienia.

Kuferek, przypomniała sobie nagle. Skoczyła na równe nogi i pobiegła do namiotu. Kuferek. Przecież wciąż jeszcze nie włożyła klucza w zamek. Może to coś da, może Armand nie zniknie, może znów stanie się kimś realnym. Jest jeszcze szansa... Z siłą, o jaką by siebie nie podejrzewała, chwyciła za rączkę i wyciągnęła kuferek z namiotu. Zniosła go do skały. Słyszała bicie swego serca.

Wróciła po śrubokręt i zaczęła wydłubywać ziemię z zamka. Po policzkach płynęły jej łzy bezsilności. Krzyknęła wściekła, że nie może się z tym uporać.

Wreszcie udało jej się wydłubać ziemię na tyle, by móc wydmuchać resztę brudu. Dmuchnęła z całej siły. Wytarła łzy, pozostawiając na policzkach szare smugi. Sięgnęła po torbę i wyjęła gablotkę. Spróbowała ją otworzyć. Na próżno. Jęknęła. Podniosła kamień i uderzyła w szklaną szybkę. Skaleczyła się, wyciągając klucz. Spojrzała na krwawiącą rękę. Co to ma za znaczenie! Nie czuła bólu. Ból ścisnął jedynie jej serce. Włożyła klucz do dziurki, usuwając tym samym resztki ziemi. Musi być ostrożna, żeby przypadkiem nie

uszkodzić klucza albo zamka. Gdyby klucz się złamał, przepadłyby wszelkie szanse na odzyskanie Armanda. Łzy nadal spływały jej po twarzy. Nie czuła, że ma wilgotne policzki. Nie wiedziała nawet, że płacze.

Gdy nagle usłyszała gwizdanie, myślała, że to wiatr. Za chwilę jednak się powtórzyło, i tym razem usłyszała znajomą melodię. Znieruchomiała. Bała się uczynić choćby najmniejszy ruch.

– Armand? – wyszeptała niepewnie. Czekala, aż melodia ucichnie. Tymczasem słycać ją było coraz bliżej i bliżej.

– Armandzie, jesteś tu? – spytała z lękiem.

– Tak, *ma petite chérie*. – Jego głos był delikatny jak powiew wiatru, ale przepełniony humorem przemieszonym ze smutkiem. – Obawiam się, że widzę cię znacznie lepiej niż ty mnie – dodał.

Hope rozejrzała się wokół.

– Gdzie jesteś? – spytała, lękając się przez chwilę, że grozi jej utrata zmysłów.

– Jestem w powietrzu, nad tobą, blisko ciebie, moja Hope.

– Znalazłam klucz. – Podniosła go w górę, jak ofiarę, która ma ułagodzić gniew bogów. Oddałaby wszystko, by mieć Armanda. Wszystko. – Włożę go w zamek, Armandzie – mówiła z trudem. Nawet oddychanie sprawiało jej ból. Ból przejmował ją całą. Miała wrażenie, jakby za chwilę miała rozlecieć się na drobne kawałeczki. Otarła rękawem łzy. – Myślałam, że może wrócisz, gdy użyję klucza. Ale się spóźniłam.

– Nie. Nie spóźniłaś się, najdroższa. Zdażyłaś na czas.

– Co mam zrobić?

– Wstań, moja ukochana. Chcę cię zobaczyć. Całą. Tak jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Drżały jej kolana. Pewnymi ruchami ściągnęła z siebie ubranie. To nieważne, że ona nie może go zobaczyć, dopóki on z nią jest. Wciąż z nią jest. Rozmawia z nią. Nie może zerwać tej ostatniej nici, która ich jeszcze łączy. Nie zrobiłaby tego.

Ciepły wiatr pieścił jej piersi, brzuch, biodra tak, jakby robiły to jego dłonie. Wydawało jej się, że czuje na sobie ciepło jego ciała.

– Kocham cię, moja Hope. Kocham cię bardziej, niż potrafię to wypowiedzieć. Ale chyba nie muszę ci tego tłumaczyć, prawda? Rozumiesz wszystko?

Niepotrzebnie się bała. Teraz żadne wyjaśnienia nie są potrzebne. On rozumie głębię ich miłości i ona również. Słowa są zbędne.

– Tak. Wiem. I ty wiesz, że jesteś moim życiem – powiedziała po prostu. Stała wyprężona jak rzeźba wykuta w marmurze.

– Bądź silna, moja Hope. Bądź silna, tak jak ty to potrafisz. Kiedyś znów się spotkamy. Nieważne jak i gdzie, ale kiedyś znów będziemy razem. Przysięgam. A kiedy to nastąpi, będziemy oboje wolni, by móc kochać i być kochanymi. Tak jak jest nam to przeznaczone.

Serce jej waliło, bała się, że go straci. Wiedziała jednak, że nic już nie da się zrobić. Jeśli on odejdzie, pozostanie sama ze swą tęsknotą i wspomnieniami. Chyba że on ma rację...

– Skąd... skąd to wiesz? – spytała.

– A skąd wiem, że słońce znów wzejdzie? – odparł, śmiejąc się smutno. – A skąd wiem, że będziesz miała piękne dzieci? Po prostu wiem.

Jej lęk nagle zmienił się w furję. Musiała jakoś rozładować swoje napięcie.

– Jesteś aroganckim, nadętym Francuzem – wykrzyknęła, pragnąc od niego zapewnienia, którego nie mógł jej dać.

– A ty jesteś oddaną, kochającą kobietą, która temperamentem mogłaby konkurować z mitycznymi furiami – wyszeptał jej do ucha. – Jesteś moją dziką różą.

Łzy przysłoniły jej wzrok. Uderzała rękami powietrze, na próżno starając się go znaleźć.

– Nie odchodź – błagała rozpaczliwie. – Nie opuszczaj mnie.

– Cicho, maleńka. Pozwól mi cię dotknąć po raz ostatni.

Wiatr rozwiewał jej włosy. Stała bez ruchu. Zamknęła oczy, by nie widzieć tego, co nieuniknione. Nagle poczuła ciepły powiew na swoim ciele, i znów miała wrażenie, iż dotykają jej ręce kochanka. Poczuła zawrót głowy.

I wezbrała w niej tęsknota.

Owiewający ją wiatr sprawiał, że narastało w niej podniecenie, ogień, jaki rozpalał w niej dotychczas tylko Armand. Wiatr bawił się jej włosami, muskał powieki i usta, dotykał piersi, które nabrzmiewały jak pod dotykiem dłoni Armanda.

Z jej ust wydobył się jęk, ale nie potrafiłaby powiedzieć, czy był to jęk rozpacz z powodu utraty kochanka, czy jęk rozkoszy, jaką sprawiała jej pieszczota wiatru.

– Kocham cię, Hope. Pamiętaj o tym zawsze – powiedział wiatr, a usłyszała w nim głos Armanda.

Westchnęła. Odrzuciła w tył głowę i zwróciła twarz ku niebu.

– Nieważne jak i gdzie, ale kiedyś znów będziemy razem. Przysięgam ci to, moja Hope. Bóg jest miłosierny, a my już dostatecznie dużo wycierpieliśmy.

Zachwiała się, gdy ciałem jej wstrząsnął dreszcz najwyższej rozkoszy. Wiatr jednak trzymał ją w swych objęciach, nie pozwalając upaść. Lekki podmuch znów musnął jej wargi. Rozchyliła je. Gwałtowna błyskawica przecięła zygzakiem niebo, po czym znów zaległa ciemność.

Hope upadła na trawę, wyciągnęła ręce ku niebu. Z jej gardła wydobył się krzyk rozpacz.

– Neeee!

Musi spróbować. Musi sprowadzić go z powrotem. Na czworakach poczołgała się do kufierka, włożyła klucz w zamek, przekręciła go. W tym samym momencie na wyspie zaległa cisza. Nawet ptaki umilkły.

Armand odszedł.

Trzy następne dni upłynęły jej jak we śnie. Nie bardzo wiedziała, co się z nią działo. Była z tego nawet zadowolona. Zdziwiła się, gdy spojrzawszy wreszcie w lustro, zobaczyła tę samą osobę, którą widywała od lat.

– Chodzi, mówi, wygląda właściwie jak człowiek – mamrotała do siebie. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała od owego pamiętnego popołudnia na wzgórzu. Roześmiała się wreszcie, ale śmiech zamienił się w szloch.

Nie była w stanie jasno myśleć. Każda czynność, jaką wykonywała, miała jedynie pozwolić jej przeżyć do następnego dnia. Wszystko straciło znaczenie. Nic się już nie liczyło. „Nic” było tym słowem, które określało teraz jej życie. Bez Armanda nie było dla niej życia.

Tygodnie, jakie z nim spędziła, wydawały jej się teraz całym życiem. Jedyne, co jej pozostało z tej miłości, to zardzewiały kuferek wraz z zawartością – dziennikiem pisanym po francusku i miniaturą kobiety, która wyglądała tak jak ona. Ach, tak. I jeszcze klucz z kości słoniowej, który nosiła zawieszony na szyi jak talizman. To on przypominał jej ukochanego, to on dawał pocieszenie w ciężkich chwilach. Za każdym razem, gdy płakała, trzymała klucz przy piersi i on dodawał jej otuchy. Przecież kiedyś trzymał go w swoich dłoniach Armand. Chwilami uważała klucz za najcenniejszy skarb, to znów chciała go zniszczyć, by się od niego uwolnić raz na zawsze. Targały nią sprzeczne uczucia, ale jej miłość do Armanda zawsze zwyciężała nad jej nienawiścią do losu.

Czwartego dnia obudziła się wściekła. Usiadła na łóżku i popatrzyła na siebie. Przez ostatnie trzy dni chodziła bez przerwy w starym podkoszulku i krótkich spodenkach. Nie były już pierwszej świeżości. Włosy miała tłuste, twarz obrzmiała od płaczu i wory pod oczami.

– Do diabła z tobą, Armandzie! – wykrzyknęła.

– Zostawiłeś mnie. Teraz ty masz spokój, a ja nie mam nic. Dosłownie nic. Słyszysz mnie? – wrzasnęła i od razu poczuła się trochę lepiej. – Do diabła! Gdybyś był mężczyzną, znalazłbyś wyjście z tej sytuacji.

Waliła pięściami w materac. Jak on miał czelność zostawić ją tutaj samą, a sam rozpląnąć się w powietrzu? Co on sobie myśli? Za kogo się ma, by dać jej smak nieba po to tylko, aby pozostawić ją w piekle?

Nagle zaczęła się śmiać. Nie dość, że zrobił z niej idiotkę, to jeszcze ona mu na to sama pozwoliła. Nigdy więcej, przyrzekła sobie w duchu. Nigdy więcej. Może być przygnębiona, ale nie zamierza trwać w tym stanie po wsze czasy. Niech ją piekło pochłonie, jeśli straci jeszcze choć jeden dzień na tęsknocie za nim. Zebrała się w sobie. Spakowała błyskawicznie rzeczy na tydzień. Po raz pierwszy przestała myśleć o kluczu, który spoczywał teraz spokojnie w torbie. Zamknęła drzwi i pojechała do Duluth, skąd zamierzała udać się do Waszyngtonu. Zobaczy się z ojcem, stawi się przed komisją i wróci na wyspę po resztę rzeczy. W drodze na lotnisko zostawiła dziennik Armanda u tłumacza. Poleciała mu, by zaczął od końca, od ostatniej strony i zrobił tyle, ile zdąży przez tydzień.

Następnie poszła do fryzjera skrócić włosy, do manikiurzystki i do kosmetyczki. Wciąż jeszcze miała sińce pod oczami, oczy przybrały twardy wyraz, jakiego nie było w nich przed paroma miesiącami. Nawet pobyt w dżungli nie pozostawił takich spustoszeń na jej twarzy. Wszystko w jej życiu – ojciec, porwanie, kariera – wydawało się niczym w porównaniu z doświadczeniem, jakim było spotkanie Armanda.

Nie mogła się jednak oprzeć, by nie odwiedzić domu Johna Picarda. Chciała koniecznie raz jeszcze zobaczyć klucz z kości słoniowej. Był tam, wyraźnie widoczny na zielonym aksamicie. Uśmiechnęła się smutno.

– Mogę pani w czymś pomóc? – Usłyszała nagle kobiecy głos. W drzwiach stała młoda dziewczyna w stroju wiktoriańskim.

– Nie, dziękuję. Przyszłam się tylko pożegnać – odparła Hope. Rzuciła jeszcze okiem na klucz i wyszła, stukając obcasami po drewnianej posadzce.

Po tygodniu znowu znalazła się w Duluth. Między nią a ojcem wreszcie zapanował pokój. Porozumiewali się lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Nareszcie.

Wciąż jeszcze jednak wszystko przypominało jej Armanda. Jeśli kiedykolwiek myślała, że po jego zniknięciu pęknie jej serce, była w błędzie. Życie płynęło swoim rytmem, choć na każdym kroku uświadamiała sobie swoją samotność i przypominała jego miłość. Tęskniła za nim, ale nie mogła nikomu o tym powiedzieć. Nikt by jej przecież nie uwierzył. Podejrzewano by, że nie jest przy zdrowych zmysłach. Z całą pewnością nie może powierzyć swej tajemnicy ojcu. A więc uśmiechała się zdawkowo do obcych ludzi, prowadziła obojętne rozmowy na tematy, które jej nie interesowały, i udawała, że czuje się świetnie. Jednak przez cały czas serce jej krwawiło. Rana, którą jej zadano, nie dawała się ani opatrzyć, ani zaleczyć.

Opuszczając Waszyngton, obiecała ojcu, że wróci za miesiąc, by spędzić z nim zimę. Próbowwała go zapewnić, że wszystko jest w porządku, ale oboje wiedzieli, że to nieprawda. Dostrzegła troskę i niepokój w jego oczach, ale nic na to nie mogła poradzić. Powrót do Duluth i na wyspę był jeszcze trudniejszy niż pobyt w Waszyngtonie. Przybiła łodzią na wyspę o wpół do szóstej po południu, z przetłumaczonymi fragmentami dziennika Armanda w torebce. Jeszcze ich nie czytała. Noc zapadała teraz szybciej, lato się kończyło, nadchodziła jesień. Liście zaczynały już wysychać, przybierając złocistoczerwony kolor.

Tej nocy spała jak nowo narodzona.

Następnego ranka umyła włosy i zrobiła nawet lekki makijaż. Wzięła dzienniki i powędrowała na wzgórze. Uważała, że to najlepsze miejsce na zapoznanie się z najbardziej intymnymi szczegółami życia Armanda.

W trzy godziny później płakała cicho. Wydawało jej się, że go znała, ale teraz poznała go o wiele lepiej. Ostatni fragment jego zapisków wyjaśniał więcej, niż kiedykolwiek chciała wiedzieć.

„Nie wiem, czy Faith będzie w stanie sprzeciwić się woli ojca. Jest jeszcze taka młoda i tak bardzo lęka się świata, który ją otacza. Modłę się, by dorosła na tyle, aby ufać własnym osądom, aby stać się kobietą, jaką może się stać. Ale osiągnięcie dorosłości jest trudnym procesem i nieraz pociąga za sobą ból związany ze zdobywaniem mądrości życiowej. Ona wciąż jeszcze jest młodą dziewczyną, a ja chciałbym, aby była już kobietą zdolną do uporania się z problemami, jakie wiążą się z rolą żony i matki. Chcę, aby była moim partnerem w życiu, a nie moją córką czy towarzyszką zabaw. Wydaje mi się, że ona przekłada nade

wszystko przyjemności... ale może nie powinienem pisać w ten sposób o mojej ukochanej. Ja też mam wady, z którymi muszę żyć, i popełniam błędy, na których muszę się uczyć. Tyle że nie mam pewności, czy Faith w ogóle chce się uczyć. Wydaje mi się, że ona bardziej kocha myśl o kochaniu mnie niż mnie jako takiego. Za cztery dni wszystko się rozstrzygnie. Mamy spotkać się poza Port Huron. Jeśli przyjdzie, będę wiedział, że jest gotowa wziąć na siebie odpowiedzialność związaną z małżeństwem. Jeśli nie, to też będzie dla mnie odpowiedź. Modłę się, by jej odpowiedź i moja były takie same nie tylko teraz, ale przez resztę naszego życia.”

Było jeszcze parę zdań wypisanych drżącą ręką na oddzielnej kartce.

„Żadna miłość nigdy nie pozostaje taka sama. W miarę upływu czasu i miłość dojrzewa. A jeśli nie, to więdnie i umiera. Ale tym, czego miłość potrzebuje najbardziej, jest nadzieja. Bez niej wszystko jest nic niewarte”.

Hope odłożyła kartkę. Łzy zalały jej oczy. Kiedy napisał tę ostatnią stronę? Zanim umarł, czy zanim opuścił tę ziemię?

Co do jednego miał rację. Faith była za młoda, by stawić czoło miłości, która przejmowała ją dreszczem i lękiem zarazem.

Tyle było podobieństw w życiu jej i Faith. Faith straciła matkę w czasie, gdy potrzebowała jej najbardziej, ona również. Faith chciała walczyć przeciwko dominacji ojca, ale nie miała odwagi. Hope udało się uciec, po czym wrócić i zawrzeć z ojcem pokój. Faith – nie. Nawet ich urodziny przypadły w odstępach dwóch dni. Hope otarła łzy. I kochały tego samego mężczyznę. Hope o wiele bardziej niż Faith, ale była starsza i mądrzejsza.

Uśmiechnęła się na tę myśl. Jeśli tak, to dlaczego siedzi tutaj, wciąż rozpamiętując swą miłość do ducha? Na ogół z chwilą śmierci człowiek nie dostaje drugiej szansy. Gdy życie się kończy, kończy się wszystko. Armand musiał być wyjątkiem, w przeciwnym razie duchy wypchnęłyby z ziemi żyjących.

Bez Armanda jej życie będzie puste. Ma jednak wiele do zrobienia, nawet jeśli nie istnieje już osoba, z którą chciałaby dzielić życie. Wciąż ma przecież swoją pracę, karierę, którą zyskuje nawet szacunek mężczyzn. To nie wszystko wprawdzie, ale wystarczająco dużo.

Musi żyć dalej.

– Ale nie tutaj – mruknęła. – Nigdy więcej tu nie przyjadę.

Rozejrzała się po okolicy, którą kiedyś tak kochała. Zawsze znajdowała tu spokój. Drżące osiki, dęby wyższe niż domy, smukłe sosny wdzięcznie kołyszące się na wietrze. To wszystko tworzyło nastrój. Ryby pluskające w przezroczystej wodzie jeziora, dzika, nie skażona cywilizacją przyroda. Jej wyspa – oaza spokoju i ciszy.

Kochała to wszystko, ale teraz wspomnienia z wyspy będą łączyć się z Armandem. Błędne koło, z którego nie wydobędzie się nigdy.

Powinna wierzyć Armandowi. Powiedział, że któregoś dnia wróci. Kiedyś... Gdyby to miała być prawda, to znajdzie ją wszędzie, niekoniecznie akurat tutaj.

Nie oglądając się za siebie, zesłała ścieżką w dół ku domowi i rzuciła kartki maszynopisu na stół w kuchni, po czym skierowała się do mola. Dolała benzyny do baku i udała się w drogę powrotną. Wiedziała, co powinna teraz zrobić. Podjechała do miejscowej restauracji, weszła i zamówiła lunch, a następnie podeszła do telefonu.

– Z panem Haddingtonem proszę – powiedziała. Wstrzymała na moment oddech, gdy podeszedł do telefonu, zła na siebie, że w każdym męskim głosie słyszy głos Armanda.

– Mówi Hope Langston – odezwała się wreszcie. – Chciałabym sprzedać swoją wyspę. Myślę, że pan mógłby być tym zainteresowany. – Przeszła od razu do rzeczy.

– Ależ tak – odpowiedział ciepłym głosem. – Kiedy mogę ją obejrzeć?

– W każdej chwili.

Na moment zaległa cisza.

– Może dziś po południu, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu – zaproponował.

– Trochę się panu spieszy, prawda? – spytała. Zaśmiał się. Brzmienie jego głosu zaskoczyło ją.

Przymknęła oczy.

– To dlatego że już dawno chciałem zobaczyć to miejsce. Byłem tam raz, gdy żyła pani matka, i od tego czasu wciąż o nim myślę. Prawdę mówiąc, kto wie, czy nie kupię tej wyspy dla siebie.

Hope przypomniała sobie jak przez mgłę wysokiego chudego chłopca z rękami w kieszeniach wpatrującego się we wzgórze, gdy pani Haddington przyjechała z wizytą do jej matki.

– Dobrze – zgodziła się. – Zobaczymy się po południu.

– Nawiasem mówiąc, to miło z pani strony, że odkryła pani tę informację o szezlongu.

– Słucham? – spytała, nie mając pojęcia, o czym on mówi.

– To chyba pani napomknęła, że jeden z moich przodków miał dokładnie taki sam? – Najwyraźniej starał się z nią podroczyć. Dom Picarda, przypomniała sobie nagle. Powiedziała przewodniczce, że Jeff Haddington uważał, iż jego przodek mógł mieć taki sam szezlong, jaki znajdował się w muzeum.

– Nigdy nic nie wiadomo, panie Haddington – powiedziała obojętnym tonem. – Po prostu nigdy nic nie wiadomo.

– Ma pani rację. Bardzo bym chciał dowiedzieć się czegoś więcej o innych pani odkryciach. Najwyraźniej zrobiła pani duże wrażenie na przewodniczkach w muzeum.

– To nie było trudne – uśmiechnęła się. – A więc do zobaczenia – dodała jeszcze, odwieszając słuchawkę. Co za ironia losu, że potomek Faith kupi wyspę, która należała tak naprawdę do Armanda. Może tak powinno być?

Gdy wracała na wyspę, na niebie gromadziły się ciemne chmury. Czy w tej części kraju są tylko błyskawice i grzmoty, czy też wszystko to się zaczęło z chwilą pojawienia się Armanda? Nie mogła sobie przypomnieć drugiego tak burzliwego lata. Błyskawice zbliżały się i oddalały.

Od ponad godziny siedziała w salonie, żegnając się z wyspą. I z Armandem. Popatrzyła przez otwarte okno, w którym lekko poruszały się na wietrze staroświeckie koronkowe firanki.

Stopniowo próżnia, w jakiej żyła od zniknięcia Armanda, zaczynała się wypełniać. Z każdą chwilą coraz bardziej uświadamiała sobie, jak zmienia się jej spojrzenie na życie.

Przeszła ciężką próbę w Ameryce Środkowej i przetrwała. Nauczyła się dostosowywać do tego, co niesie życie, oczekiwać z nadzieją każdego dnia i brać to, co ma do zaoferowania. Robiła to. I będzie to robić nadal. Była pewna, że Armand powiedziałby to samo.

Przed nią i przed ojcem rysowała się nowa szansa. Nie uda im się odbudować więzi, łączącej zwykle ojca i córkę, na to jest już za późno. Jednak mają szansę na prawdziwą przyjaźń.

Rozmyślania przerwał jej warkot motorówki. Podeszła do okna, odsunęła firankę i popatrzyła na małą zatoczkę. Jeff Haddington właśnie wyskoczył z łodzi i przycumował ją do niewielkiego palika. Obserwowała go, gdy zbliżał się do domu, szeroki w ramionach, z rozrzuconymi w nieładzie gęstymi ciemnymi włosami.

Wydawał jej się dziwnie znajomy. Znieruchomiała, starała się odepchnąć tę myśl od siebie. Na próżno. Dziwne, ale w tej właśnie chwili czuła się bliżej Armanda bardziej niż przez cały miniony tydzień. Wydawało jej się nawet, że słyszy jego chrapliwy śmiech... Że słyszy jego słowa. „Nieważne jak i gdzie, kiedyś znowu będziemy razem. Przyrzekam ci, moja Hope. „

Przypomniała sobie te słowa, czy też ktoś szeptał jej do ucha?

Nagle z ciemnej chmury, która zawisła nad wyspą, wyrwała się błyskawica i w sekundę potem piorun uderzył tuż za plecami Jeffa Haddingtona. Hope podskoczyła, serce w niej zamarło, wstrzymała oddech. Obserwowała go w napięciu, oczekując, że upadnie na ziemię śmiertelnie rażony. Czuła, że włosy jej się unoszą, tak bardzo naelektryzowane było powietrze. Zamiast upaść, Jeff spojrzał jedynie w niebo i spokojnie szedł dalej, jakby nie zdawał sobie sprawy, że piorun uderzył tuż za nim. Wpatrywała się w jego postać szeroko otwartymi oczami. Nagle uśmiechnęła się. A później roześmiała radośnie. Nogi niosły ją same do drzwi. Jeff pogwizdywał starą francuską piosenkę...